

SIECI



**UJAWNIAMY
DOKUMENTY**

**DLACZEGO SĄD NIE
MIAŁ LITOŚCI DLA
MARIKI?**

**„INTELIGENCJA
PRACUJĄCA” SZUKA
ZEMSTY NA PIS**

**SPRAWA JOANNY,
CZYLI ABORCJA
JEDNAK NIE JEST OK**

**LEGUTKO:
UE PRZYPOMINA
POTWORA**

SIECI

**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

Nr 30 (556) 2023
24–30 lipca 2023

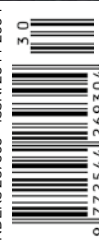
CENA: 8,90 zł
(w tym 8% VAT)

**AFERA
KORUPCYJNA**

ILE WIEDZIAŁ TUSK?

**SPRAWA SŁAWOMIRA NOWAKA
NIE MOŻE DOCZekać SIĘ FINAŁU W SĄDZIE.
A PRZECIEŻ DOWODY SĄ BEZDYSKUSYJNE.
CO KRYJE SIĘ ZA TĄ GRĄ?**

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694



31 LIPCA

w tygodniku **SIECI**

DODATEK W **79.** ROCZNICĘ WYBUCHU
POWSTANIA WARSZAWSKIEGO



- Kobiety w Powstaniu Warszawskim i wojsku II RP
- Pożegnalne listy powstańców przed wyruszeniem do walki
- Rozmowa z Janem Ołdakowskim, dyrektorem Muzeum Powstania Warszawskiego
- Odsiecz powstańczej Warszawie – dlaczego zatrzymano jednostkę spadochronową gen. Sosabowskiego?

Chwała Bohaterom!

PARTNER MERYTORYCZNY



PARTNERZY DODATKU



Za karierę w Unii zapłacił Polskę

W serialu dokumentalnym „Reset” ujawniono list, który Donald Tusk wysłał 24 marca 2009 r. do Władimira Putina. Polski premier wprost prosił prezydenta Rosji o poparcie kandydatury Włodzimierza Cimoszewicza na stanowisko sekretarza generalnego Rady Europy. „W pełni podzielam rekomendacje z raportu Jeana-Claude’a Junckera wskazujące, że tylko osobistość o najwyższych kompetencjach, najwyższej uczciwości powinna kierować tą najstarszą instytucją polityczną na naszym kontynencie” – czytamy w liście Tuska do Putina. Dalej mamy prośbę szefa PO: „Jestem głęboko przekonany, że doświadczenie polityczne pana Cimoszewicza, jego zaangażowanie w polską transformację na przestrzeni dwóch dekad oraz jego gruntowna znajomość stosunków europejskich czynią go szczególnie predestynowanym na to stanowisko. Będę wielce zobowiązany za Pańskie życzliwe poparcie dla kandydatury Włodzimierza Cimoszewicza na stanowisko sekretarza generalnego Rady Europy”.

W tym jednym tekście zbiegają się trzy środowiska, przed którymi polityk z Gdańska upokarzał się w swojej karierze. Płaszcz się przed Putinem siedem miesięcy po rosyjskiej inwazji na Gruzję to po prostu skandal – Lech Kaczyński leci do Tbilisi zatrzymać czołgi Kremla, a Tusk na ten sam Kreml śle pokorne supliki. Ciekawa jest wzmianka o Jeanie-Claudzie Junckerze znanym, wysoko postawionym europejskim polityku, który często nadużywał alkoholu – to jemu Tusk podawał marynarkę, zyskując w niepodległościowym elektoracie miano „szatniarza Brukseli”. Wreszcie w całej tej akcji załatwiania stanowiska dla Cimoszewicza jest stare umizgiwanie się do postkomuny. Tusk, pisząc do Moskwy o doświadczeniu politycznym pana Cimoszewicza, jego zaangażowaniu w polską transformację oraz znajomości stosunków europejskich, wysłał coś w rodzaju politycznego komunikatu: Władimirze Władimirowiczu, to swój człowiek, dojrzewał w tych samych czasach i wierzył w to samo co pan. Chwalenie postkomunisty za transformację czy znajomość stosunków europejskich brzmi jak ponury żart – eks-SLD-owcy mogli się wykazywać jako lobbyści postsowieckich oligarchów

(jak Kwaśniewski u prezydenta Kazachstanu), a nie jako znawcy cywilizowanego świata. Polski premier, kierując prośbą do Moskwy w sprawie Cimoszewicza, zszedł z poziomu reprezentanta państwa polskiego do poziomu drugorzędnego kacyka załatwiającego dla kolegi darmową rehabilitację w sanatorium na Krymie. Degradowanie Polski, zero aspiracji państwowych, za to kolesiostwo i marzenia o wygodnych stanowiskach jak najbardziej wygórowane.

I tak wygląda Polska Platformy Obywatelskiej w dokumentach pokazywanych w „Resecie”. Polska prosi Putina, prosi Merkel, dostosowuje się do niemieckich życzeń, ulega groźbom rosyjskim, opuszcza Gruzję i Ukrainę i jedynie śp. prezydent Lech Kaczyński pozostaje obrońcą polskiej racji stanu.

Ileż my wtedy nie wiedzieliśmy, ileż głębiej można dziś zajrzeć za „spór o krzesło w Brukseli” czy zmagania Tuska, by nie dać głowie państwa samolotu na zagraniczne wizytacje. Wtedy było widać małość Tuska i dramatyczną polaryzację polityczną w Polsce, ale dziś dochodzi do tego atakowanie prezydenta w imię interesów Moskwy i Berlina. Z ujawnionych dokumentów wiemy, że przed prezydentem zatajano wiedzę o relacjach z Moskwą, próbowano odciąć od wpływu na politykę zagraniczną, wiemy już także, że to właśnie Putin nie życzył sobie obecności śp. Lecha Kaczyńskiego na rosyjskiej ziemi. I to zatajono przed głową państwa, a ten sekret pokazał swoje oblicze 10 kwietnia 2010 r.

Cimoszewicz nie został sekretarzem generalnym Europy, wybrano norweskiego eks-premiera Thorbjørna Jaglanda z Partii Pracy. Ale też Tusk nic nie stracił w związku z płaszczaniem się przed zbrodniarzem, to tylko państwo polskie traciło na znaczeniu, nie szef PO. Ten ostatni załatwił sobie przecież lepszą, bezpieczniejszą fuchę, będąc przez dwie kadencje przewodniczącym Rady Europy. Taki kraj, 40 mln mieszkańców, 1000 lat historii, a przerebiony przez bandę cwaniaków na trampolinę do zdobycia wejściówki na salony z drogimi cygarami i poklepywaniem po ramieniu. Absolutnie żenujące.

Jakub Augustyn Maciejewski




30

**Czy w wyborach 2023
zwycięży zdrowy
rozsądek Polaków?**
Andrzej Kisielewicz


44

**Opozycja nie lubi
poszukiwaczy
skarbów**
Maciej Walaszczyk


56

**Zimna wojna
na piaskach Sahary**
Małgorzata Wołczyk

NA POCZĄTEK

- 6 SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8 GALOPEM DO SENATU**
Krzysztof Feusette
- 9 ABORCJA JEST OK?**
Dorota Łosiewicz
- 10 ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejcki
- 12 ROZRZUT PRAWA CZY SĘDZIÓW?**
Jerzy Jachowicz
- 12 PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort
- 13 ILUŻE AUTENTYZMU**
Bronisław Wildstein
- 14 WALIZKA DR. HAB. NORBERTA
MALISZEWSKIEGO**
Michał Korsun
- 16 OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
- 17 POMOST MIĘDZY WSCHODEM
I ZACHODEM**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 18 UKRYTY CEL ROZPALANIA EMOCJI**
Samuel Pereira

TEMAT TYGODNIA

- 20 NOWAK? NIE SĄDZĘ**
Marek Pyza, Marcin Wikło

KRAJ

- 24 NAKRĘCENI I ZDESPEROWANI**
Stanisław Janecki
- 26 Z PROF. RYSZARDEM LEGUTKĄ**
rozmawia Dorota Łosiewicz
- 30 CZY W WYBORACH 2023 ZWYCIĘŻY
ZDROWY ROZSĄDEK POLAKÓW?**
Andrzej Kisielewicz
- 34 POKOLENIE KONFEDERACJI**
Konrad Kołodziejcki
- 37 SĄD NIE DAŁ ŻADNEJ
SZANSY MARICE**
Wojciech Bieroń
- 40 Z RYSZARDEM CZARNECKIM**
rozmawia Michał Karnowski
- 44 OPOZYCJA NIE LUBI
POSZUKIWACZY SKARBÓW**
Maciej Walaszczyk

ŚWIAT

- 46 PO CO ROSJA WYSYŁA
PRIGOŻYNĄ NA BIAŁORUŚ?**
Marek Budzisz

- 49 DRUŻYNA EUROPY W TUNISIE**
Jan Rokita
- 52 LUDOBÓJSTWO NOWEJ GENERACJI**
Jakub Augustyn Maciejewski
- 54 ZIELONY (NIE)ŁAD**
Aleksandra Rybińska
- 56 ZIMNA WOJNA NA
PIASKACH SAHARY**
Małgorzata Wołczyk

OPINIE

- 60 PATRIARCHA CYRYL:
IDEOLOG IMPERIUM**
Grzegorz Górny

SIECI KULTURY

- 65 RÓŻ W NATARCIU**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 68 „KALIFAT”, CZYLI MULTIKULTI
W ROZKWICIE**
Artur Kołęda
- 70 KULT I KULTURA**
Robert Tekieli
- 71 WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli
- 72 POLECA**
Łukasz Adamski

GOSPODARKA

- 74 BEZPIECZEŃSTWO ŻYWNOŚCIOWE
WAŻNE JAK MILITARNE**
Debate V Forum wGospodarce.pl

KUCHNIA

- 84 MOJE SZLAKI: GNIEWOMIR KNAPSKI**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 85 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

- 86 LEWICOWY NIEMIECKI EKSTREMIZM**
Wojciech Reszczyński
- 87 TRZY SPRAWY**
Aleksander Nalaskowski
- 88 PIWO WYBORCZE**
Ryszard Makowski
- 89 POCHWAŁA LATA...**
Leszek Długosz
- 90 WSZYSCY SUPERKREATYWNI**
Andrzej Zybortowicz



Efektywność energetyczna w firmie?
Zrób audyt z TAURONEM i oszczędzaj!

biznes.tauron.pl/audyty

Sygnalista nadaaje

Jarosław Kaczyński w czasie pikniku rodzinnego w Woli Grzędzińskiej tak podsumował dorobek Platformy: „Bronią ubeków i ich wysokich emerytur, razem z sądami. Pułkownik Mazguła, różni Cimoszewicze, Miller, który był przedstawicielem twardej frakcji mówiącej, żeby nic nie zmieniać, nie iść na kompromisy. Później się zmienił, przystosował się, ale takie było jego pierwotne stanowisko. Wiedźcie to: SLD już jest nieboszczykiem. Lewica zorganizowana jest taka sobie, ledwo dychająca. Prawdziwa komuna dzisiaj to jest PO! Tamci byli Moskwa, ci Berlin”. To także komuna zmutowana i podmalowana, a taka zawsze jest najgroźniejsza.

Prezes PiS wypominał także Tuskwowi konkretne zbrodnie gospodarcze: „Mówiliśmy, że będziemy służyli społeczeństwu, a nie elitom, zewnętrznym interesom. Bo co robił ten krzykacz Tusk, który nieustannie nas obraża, wrzeszczy. Co robił? On doprowadzał do tego, że jak był interes niemiecki i polski, to zawsze wygrywał niemiecki. Na zimno wykańczało się polskie stocznie, żeby nie padły stocznie niemieckie. My nigdy do niczego takiego nie dopuściliśmy. Uważamy, że obowiązkiem władz państwa jest bronić interesu swojego narodu i państwa. Tak będziemy postępować”. W czasie ostatnich ośmiu lat Tusk tak bardzo zadłużył się u swoich patronów, że jeśli wygra i spłaci dług, to z Polski już pozostanie bardzo niewiele. Oby coś więcej niż wspomnienie.

Nazarzut, że PO to komuna, odpowiedział na łamach „Gazety Wyborczej” Agnieszka Kublik. Jak? Rytualnie. Wskazała, że w PZPR byli m.in. związani z PiS Wojciech Jasiński i Krzysztof Czabański (ten drugi inwigilowany od 1976 r., wystąpił z PZPR w czasie powstania Solidarności,

odznaczony Krzyżem Wolności i Solidarności za działalność antykomunistyczną i niepodległościową). „Dziś zatem to Kaczyński stoi tam, gdzie rozgrzesza się za SB i PZPR. A PO stoi po drugiej stronie – tam, gdzie nie rozgrzesza się za PiS” – stwierdza dziennikarka „GW”. Napisać można wszystko, ale to Platforma po 2005 r. weszła w buty SLD, i to ona przyjęła jako swoje 90 proc. linii narracyjnej postkomunistów.

Puentą niech będzie list Donalda Tuska skierowany do Władimira Putina, pokazany w serialu „Reset”, w którym ówczesny szef polskiego rządu prosi Rosję o poparcie kandydatury Włodzimierza Cimoszewicza na sekretarza generalnego Rady Europy. W liście datowanym na 24 marca 2009 r. Tusk napisał m.in.: „Jestem głęboko przekonany, że doświadczenie polityczne Pana Cimoszewicza, jego zaangażowanie w polską transformację na przestrzeni dwóch dekad oraz jego gruntowna znajomość stosunków europejskich czynią go szczególnie predysponowanym na to stanowisko. Będę wielce zobowiązany za Pańskie życzyliwne poparcie dla kandydatury Pana Włodzimierza Cimoszewicza na stanowisko sekretarza generalnego Rady Europy”. To była ciągłość pełniejsza, niż sądziliśmy.

Ważne są też sprawy drobne, ale symboliczne. Renata Kaznowska, wiceprezydent Warszawy, którą rządzi Platforma, poinformowała o hucznych obchodach 68. urodzin Pałacu Kultury i Nauki, który do 1956 r. nosił imię Józefa Stalina. Zabawa ma być huczna: „Tort urodzinowy, wata cukrowa, animacje, konkursy, gry i zabawy dla dzieci to tylko niektóre z atrakcji”. Na końcu pytanie: „Z kim widzimy się na urodzinowym torcie?”. Wiceminister klimatu i środowiska Jacek

Chętnych
jednak
brak. Nie
pomogła
nawet laurka
od Adama
Michnika.
„W wielu
sprawach zmienił
zdanie, uznał swój
błąd. Od dawna
konsekwentnie
występuje w obronie
ludzi niszczonego przez
PiS i konsekwentnie
broni wartości
demokratycznych. A sporo
ryzykuje, bo jest z tego
powodu ścigany przez PiS.
[...] Obóz demokratyczny przed
wyborami i po nich bez Giertycha
będzie słabszy. To jest niezwykle
inteligentny i sprawny polityk”
– napisał redaktor naczelny
„GW”. Niestety, nawet wsparcie tak
wielkiej, politycznie bezinteresownej,
brzydzącej się brudnymi kompromisami
postaci nic w sprawie Giertycha nie
zmieniło. Upadliśmy naprawdę nisko.

Ozdoba odpowiedział: „Symbol zniewolenia, zniszczenia wolności i miasta. Oficjalnie w protokołach dowód »niewzruszonej przyjaźni narodów radzieckiego i polskiego«...». Jak widać, platformerskie władze stolicy mają inne wspomnienia i inne skojarzenia.

Dominika Wielowieyska, także na łamach „Wyborczej”, martwi się perspektywą powyborczej koalicji prawicy: „Może być też tak, że powstanie koalicja PiS-Konfederacja, która w praktyce wyprowadzi Polskę z Unii Europejskiej, osłabi więzi z USA, a przede wszystkim sprawi – o ile zapowiedzi PiS i konfederatów będą realizowane – że Polska nie dostanie już żadnych pieniędzy z Krajowego Planu Odbudowy i głównego budżetu UE albo tylko niewielką ich część” – snuje swoje przypuszczenia. Polska z Unii nie wyjdzie, a członkostwo popiera także większość wyborców Konfederacji. Ale ważniejsze jest co innego: to totalna, oparta na emocjach polityka opozycji, w tym „GW”, nakręciła tę partię. Konfederacja jest w dużej mierze – niechcianym, ale jednak – dzieckiem „Wyborczej”.

Grzegorz Schetyna sądzi, że Konfederacja, która dziś w sondażach zbiera nawet i 16 proc., jest przeszacowana. „Ludzie mówią ankieterom, że będą głosować na Konfederację, ale nie przywiązują się do tego. [...] często jest tak, że jest dużo deklaracji, a mało z tego wynika przy urnie wyborczej. [...] Niespójny przekaz, konflikty wewnętrzne, szukanie kandydatów w rodzinie i wśród znajomych. Uważam, że jak dojdą do 10 proc., to będzie dla nich dobry wynik. Ale nie uważam, że to będzie czarny koń. Konfederacja nie będzie trzecią siłą”. Zobaczymy. Dziś wygląda to raczej na myślenie życzeniowe. Energia włożona w ataki na PiS wybiła nie tam, gdzie to zaplanowali reżyserzy całej operacji.

Satyryk Artur Górski skomentował w rozmowie z „Wprost” katastrofę w „Szkle kontaktowym” TVN24, z którego odeszła większość prowadzących – po tym, gdy pracę w audycji stracił Krzysztof Daukszewicz. A stracił za pytanie skierowane w stronę dziennikarza Piotra Jaconia: „A jakiej płci on dzisiaj jest?”. Górski, odnosząc się do postawy Jaconia, mówi: „To, że nie przyjął przeprosin [Daukszewicza], jest czymś skandalicznym, jest to – mówiąc krótko – chamstwo. Człowiek, który przychodzi z wyciągniętą ręką, bo nie miał złych zamiarów, próbuje się pokajać, zostaje odprawiony z kwitkiem. To jest coś nieprawdopodobnego”. I dalej: „Stacja wystosowała szalenie kająące się przeprosiny wobec osób LGBT+. Nawiasem mówiąc, moim zdaniem one wcale nie zostały obrażone. Wszystko poszło jeszcze w dziwniejszą, zgoła szaloną stronę”. W sumie bardzo dziwi to zdziwienie.

W odpowiedzi na pytanie, czy odszedł z programu „bardziej jako kolega czy jako satyryk”,



Górski odpowiada: „To przecież jasne, że to, co się wydarzało, uderza w podstawy mojego zawodu jako satyryka i podstawy mojego istnienia w tym kraju jako obywatela”. I dodaje: „Mamy do czynienia z cenzurą żartu i cenzurą słowa. Z czymś, co pamiętam z najciemniejszych zakamarków mojego dzieciństwa. Z koszmarem, o którym myślałem, że nigdy nie wróci”. Cóż, od dawna było widać, że ten potwór politycznej poprawności nie zadowoli się trupami wrogów obozu lewicowo-liberalnego. Może to ostatni moment, by wyciągnąć wnioski i przyjąć, że to PiS jest obrońcą polskiej wolności?

Inny satyryk, znacznie mniej zdolny, w zasadzie w ogóle niezdolny, Krzysztof Skiba, poszedł na wymianę ciosów z europosem Zjednoczonej Prawicy: „Nominowany wielokrotnie do zaszczytnego tytułu Dzbana Roku, polityk Suwerennej Polski Patryk Jaki, nazwał mnie w wypowiedzi dla magazynu plotkarskiego lizusem Platformy Obywatelskiej o intelekcie liścia. Ten Człowiek Mem i słynna HATAKUMBA zapomniał najwyraźniej, że karierę zaczynał w Platformie Obywatelskiej, a później był wesołym turystą politycznym i zaliczył jeszcze PiS, a obecnie jest podkomendnym Zbigniewa Zerrow, czyli posłem kolejnej partii, tym razem o rekordowym poparciu w granicach błędu statystycznego”. Jeśli Skiba swoim ZMP-owskim stylem rozśmiesza część Polaków, to jesteśmy już blisko dna. Ale raczej nie rozśmiesza.

Jaki odpowiedział tak: „Nie jestem oczywiście idealny, ale jeśli ocenia mnie człowiek, który nie ukrywał nawet specjalnie, że zostawił żonę, bo mu się znudziła... Dla mnie rodzina jest podstawową komórką społeczną, która stanowi o sile Polski. Warto ją promować. Pokazywać, że wierność to coś dobrego. [...] To kwestia szacunku do kobiety, swojego słowa, przysięgi oraz zobowiązań. Jeśli każdy będzie chciał być jak pan Skiba i rozbijać rodziny, bo kobieta się znudziła, to będzie to osłabiało naszą wspólnotę. Więc rzeczywiście, jeśli chodzi o moralność, to z panem Skibą mocno się różnimy i jestem z tego tytułu dumny”. Chyba za wysoko. Skiba nie zrozumie.

Co z kandydaturą Romana Giertycha do Senatu? Lider Lewicy Włodzimierz Czarzasty wyjaśnia: „Pierwszy problem pana Giertycha jest taki – i musi to sobie pewnie przemyśleć – że nikt nie chce podpisać swojej partii pod jego nazwiskiem. Nie jest to jakaś wielka tajemnica: ani PO, ani pan Hołownia, ani pan Kosiniak nie zgłaszają pana Giertycha. To, że nie zgłasza go Lewica, jest rzeczą oczywistą”. Czarzasty dodał: „Jeżeli ktoś weźmie odpowiedzialność za pana Giertycha i go zgłosi w ramach swojej puli, to my jako Lewica nie będziemy w tej sprawie oponowali i to uszanujemy”. Powinna zgłosić Platforma. To przecież bardzo bliski współpracownik Sikorskiego i Tuska.

Galopem do Senatu

R.G.: Halo, czy jest suchy chleb dla konia?

D.T.: Ale o co chodzi?

R.G.: No, czy jest...

D.T.: Ale o co chodzi?

R.G.: Ojej, nie pamięta pan przewodniczący, jak sobie hasło układaliśmy do prywatnych rozmów na publiczne tematy? Że skoro wojnę domową trzeba wywołać, to ja będę jak w tym serialu pytać o suchy chleb dla konia?

D.T.: I co ja na to odpowiadałem?

R.G.: Właśnie nie wiem. Bo to miał pan przewodniczący dopiero ustalić.

D.T.: To skąd wiecie, że źle odpowiedziałem? A może ja ustaliłem odpowiedź właśnie jako: „Ale o co chodzi?”

R.G.: Ale o co chodzi?

D.T.: Dokładnie.

R.G.: Chodzi o to, że kiedyś pan przewodniczący rzucił mimochodem, jak Józia broniłem przed komisją, że życzę mi, bym wyszedł na ludzi. No więc dzwonię, żeby powiedzieć, że wyszedłem.

D.T.: Owszem, wyszliście. Przed szereg. Kto wam pozwolił o Senacie gadać? Ja myślałem, że z wami można konie kraść, a dziś to mi was żal, jak w tej piosence. Dawne życie poszło w dal...

R.G.: Dziś na zimę ciepły szal.

D.T.: Nie przesadzajcie. Tak wam źle we Włoszech?

R.G.: Mnie już od spaghetti głowa boli! Ja muszę do Polski, na łąki zielone i pagórki leśne, a mnie nikt nie zaprasza! Kiedyś bez przerwy o koniu gadali, nawet w kontekście powrotu pana przewodniczącego, a teraz co? Wio, koniku, a jak się postarasz, to ci nasypimy? Piachu w tryby!

D.T.: Trzeba było wszechpolaka nie udawać, bo tatuś kazali. Cieszcie się, że was z tego wora wyciągnęli, bo mogliście być już na dnie jak kryzysowa narzeczonka.

R.G.: O, przepraszam, ja swoje odpracowałem. Jak nasza szkapa, jak Łysek z pokładu Idy. I po co? Miał być „Powrót człowieka zwanego Koniem”, a jest „Czyż nie dobija się koni?”!

D.T.: Western to western.

R.G.: Nawet Kaligula mógł konia senatorem ogłosić, to pan przewodniczący nie może?

D.T.: A co ja mam z Kaliguli? Chyba gula, jak mi skacze po sondażach. Trzeba było nie wyskakiwać z niezależnym startem. Tak wam dobrze wychodziły animacje z młodzieżą: „Kto nie skacze, ten za PiS” albo farma trolli na wybory, nawet wasze prokremlowskie popłuczyny po Sikorskim były lepsze niż wyborcze rumakowanie. Pewnych spraw nie przeskoczycie, choćbyście trenowali jak Artemor przed Moskwą pod Janem Kowalczykiem. Wy mi oczywiście powiecie, że



KRZYSZTOF FEUSETTE

nie widzicie przeszkód. A ja wam odpowiem, że macie klapki na oczach.

R.G.: A Rysiek mógł?

D.T.: Jaki Rysiek?

R.G.: Każdy! I Petru się wyrwał, i Kalisz!

D.T.: Akurat Kalisz poglądów nie zmienił, no, chyba że na praworządność, ale tylko dlatego, że mu żonę na bańce za kółkiem zatrzymali, a dziecko z tyłu siedziało. Przyda mu się izba refleksji na pewno, bo najlepiej o praworządności myśli się z imunitetem. Grodzki praktycznie z Senatu nie wychodzi, tak się boi, że go zgubi. A Gwłowski? Niedawno był u nas sekretarzem generalnym w partii, a dziś co? Grypsuje jak stary. Może coś ma w tej Chorwacji, ale skoro rzecz dzieje się na wyspie Brač, to jak nie wziąć? Zwłaszcza że ulica też Domobrana? A Kwiatkowski, co miał konkursy ustawiać, ale go Najwyższa Izba Kontroli nie namierzyła, gdyż to w niej te konkursy urządzał jako prezes? Senat to nie jest miejsce dla uczciwych ludzi.

R.G.: Uff! Bo już mi się słabo robiło na myśl o tym, że pan przewodniczący o tym nie wspomni. Cena, którą przyszło mi płacić za zmianę władzy w Polsce, jest większa niż Wielka Pardubicka. Oni, to znaczy prokuratura, chcą

mi wręczyć wezwanie, a pan pamięta zapewne, jak ja reaguję na wręczanie. Mnie się od razu kręci w głowie, a potem jakby mi głos wewnętrzny szeptał komendę Maklakiewicza z serialu „Karino”: „Koń kuleje... No, koń kuleje!”. Dalej nie pamiętam.

D.T.: To stawcie się normalnie jak człowiek przed sądem, a nie, że będziecie nam teraz immunitet blokować. Wiecie, jaka jest kolejka? Jak nad Morskie Oko, a tam się nikt z końmi nie liczy. Sami czujecie, jaki smród się wokół was zrobił. Ja was ogólnie nawet szanuję, zwłaszcza za to, co żeście dla mojej rodziny zrobili. Ale prywatnie powiem: mierzcie siły na przeszkody. Kto wie, może warto przemyśleć, czy żeście się jednak nie za mocno na drugą stronę przewrócili? Czy nie za giętki macie kręgosłup nawet jak na polityka?

R.G.: To co ja mam robić?

D.T.: Chcecie, to startujcie, jak wam się pizza znudziła, ale nie do Senatu. Macie niedaleko miejsca obecnego pobytu piękne miasteczko Siena. Co roku odbywa się tam wyścig po rynku, znajdźcie sobie jakiegoś Włocha, a jak wygracie, to wrócimy do rozmowy. Może w Koninie moglibyście się sprawdzić?

R.G.: A czemu nie? Jak człowiek głodny, to wszystko zeżre...

Są tacy, którzy uważają, że wyborów nie wygrywa się programami, tylko emocjami. Jednak same emocje bez programu mogą nie wystarczyć. Oczywiście gdy nie masz programu lub przynajmniej wolisz go nie ujawniać przed wyborami, by nie zrazić wyborców, potrzebujesz dużo emocji. I to skrajnych. To dlatego po raz kolejny dramat kobiety staje się polityczną palką do okładania rządu i służb w rękach Donalda Tuska. Najgorsze, że dla lidera opozycji w tej sprawie nie liczą się fakty, tylko emocje. Im większe, tym lepiej.

W sprawie pani Joanny – podobnie jak we wcześniejszych dramatach kobiet, z których polityczny użytek próbowała robić opozycja – nic nie jest takie, jak wydaje się na początku lub jak przedstawiła to stacja TVN, a później Tusk. Według liberalnych mediów ta historia wyglądała tak: kobieta, która dokonała aborcji, została otoczona przez opresyjnych policjantów, gdy była w szpitalu i gabinecie ginekologicznym. Jednak prawda okazała się zupełnie inna. Policja została wezwana przez lekarkę i to nie z powodu aborcji, lecz możliwej próby samobójczej.

Lider Platformy Obywatelskiej natychmiast uderzył w najwyższe tony: „Atak prokuratury i policji na kobietę szukającą pomocy w szpitalu to dopiero początek. Chcesz głosować na PiS lub Konfederację? Powiedz to, tchórze, w twarz swojej żonie, dziewczynie, córce!”. Na fali tej manipulacji Tusk zapowiedział wielki marsz miliona serc w obronie praw kobiet.

Jednak warto zapoznać się z materiałem udostępnionym przez policję z samego momentu zgłoszenia sprawy przez psychiatrę. Uderzający jest bowiem powód chęci odebrania sobie życia, który lekarce miała podać pani Joanna. Jest nim przeprowadzona własnie aborcja. Z materiału, który przedstawiono podczas briefingu w Komendzie Głównej Policji, a który jest zapisem zanonimizowanego nagrania z rozmowy dyspozytora numeru alarmowego 112 ze zgłaszającą sprawę lekarką pani Joanny, wynika niezbicie, że zgłoszenia dokonano z powodu występującego ryzyka targnięcia się na własne życie przez zdesperowaną kobietę. Co więcej, zgłaszająca problem lekarka stwierdziła, że owa próba samobójcza może być wynikiem przeprowadzonej

Aborcja jest OK?

Uderzające jest to, że pani Joanna skontaktowała się ze swoim psychiatrą, ponieważ nie mogła znieść faktu, że dokonała aborcji

miejską policji w Krakowie. Dyżurny komendy natychmiast skierował patrol do miejsca zamieszkania kobiety.

Uderzające w zapisie tej rozmowy jest to, że pani Joanna skontaktowała się ze swoim psychiatrą, ponieważ nie mogła znieść faktu, że dokonała aborcji. I z tego powodu chciała się targnąć na własne życie. Czy po takim nagraniu lewicowe aktywistki wciąż będą przekonywały kobiety, że aborcja jest OK? Kiedy z tego dramatycznego nagrania wynika, że nie jest OK, nic już potem nie jest OK. Czy kogoś to w ogóle obchodzi?

Czy obchodzi to Donalda Tuska, który natychmiast postanowił rzucić się na tę sprawę, by użyć jej – i to w zakłamej, zmanipulowanej wersji – w celach politycznych? Lider PO rozpaczliwie potrzebuje głosów kobiet, jednak ponieważ nie ma dla nich żadnej konkretnej oferty programowej poza metodą „suwaka” na listach wyborczych, czyli naprzemiennej kolejności na nich kobiet i mężczyzn – chce rozbudzić emocje i skierować gniew kobiet przeciw rządowi. To Tusk instrumentalnie traktuje kobiety, próbując wykorzystać ich emocje i okłamując je w tej sprawie. Jak wcześniej kłamał w innych. Bo nie jest prawdą, że lekarze nie mogą ratować życia i zdrowia kobiet. W takiej sytuacji można przeprowadzić aborcję i wyrok TK nic tu nie zmienił. Jednak jak pokazuje sprawa pani Joanny, życie kobiety może być zagrożone po przeprowadzeniu aborcji. Bo po prostu nie może tego znieść i może próbować się na nie targnąć.

Dorota Łosiewicz





Armenia

Kościół po stronie Moskwy

W świątyni w Moskwie odbyła się ceremonia pobłogosławienia ormiańskiego batalionu ochotniczego Arbat, który wyruszył do Donbasu, by walczyć tam przeciwko Ukrainie. W skład jednostki wchodziły obywatele Rosji narodowości ormiańskiej oraz mieszkańcy Armenii.

Ich dowódca oświadczył, że celem oddziału jest zademonstrowanie jedności wszystkich narodów zamieszkujących wspólne państwo. Dodał: „Mamy jedną wielką ojczyznę – Rosję”. Ceremonii przewodniczył miejscowy arcybiskup Jezras Nersisjan. Uroczystość musiała odbyć się za zgodą najwyższego kierownictwa Apostolskiego Kościoła Ormiańskiego, tym bardziej że wspomniany hierarcha jest rodzonym bratem katolika wszystkich Ormian Karekina II.

Tak mocne zaangażowanie się po stronie Rosji Kościoła, którego członkami mogą być tylko etniczni Ormianie, wywołało olbrzymią irytację rządu w Erywanu. Premier Nikol Paszynian obawia się, że zostanie to odebrane wręcz jako wypowiedzenie wojny Ukrainie przez Armenię. Niewiele może jednak zrobić, ponieważ pozostaje w ostrym konflikcie z katolikiem, który nie liczy się z opinią władzy. Przyczyną sporu między nimi jest m.in. stosunek do Moskwy. Karekin II uważa, że obecny obóz rządowy niepotrzebnie skonfliktował się z Putinem i dlatego Rosja nie przysłała Armenii z pomocą w trakcie wojny z Azerbejdżanem w 2020 r. Rezultatem była m.in. utrata większości Karabachu. Duchowny obwinia o to właśnie Paszyniana.

Sam premier musi nieustannie lawirować, by nie zrazić do siebie ani Zachodu, ani Kijowa, ani Moskwy, która pozostaje nie tylko jedynym dostawcą gazu, lecz także jedynym, choć – jak pokazuje sprawa Karabachu – niezbyt wiarygodnym gwarantem nienaruszalności terytorialnej Armenii. Przegrana wojna z Azerbejdżanem osłabiła pozycję Paszyniana, który ma coraz mniejsze pole manewru. To otwiera przestrzeń do działania dla jego przeciwników, w tym dla prorosyjskiego katolika.

Grzegorz Górny

 **Wielka Brytania**

Rezygnacja ministra

Brytyjski minister obrony Ben Wallace odejdzie z rządu przy okazji jego rekonstrukcji na jesieni. Tak w każdym razie wynika z wywiadu, którego udzielił gazecie „The Sunday Times”. Minister zapewniał, że planował ten krok od dawna i informował premiera Rishiego Sunaka o swoich planach.

Do jesieni wprawdzie jest jeszcze trochę czasu, ale – jak podkreślił – „wolał ogłosić to już latem, żeby nie wywoływać spekulacji o upadku torysów”. Według YouGov notowania Sunaka spadły do najniższego poziomu, odkąd objął urząd w październiku ub.r. Zaledwie 24 proc. Brytyjczyków ocenia jego działania pozytywnie, a konserwatyści pozostają w sondażach daleko w tyle za laburzystami (25 do 47 proc.). Na 2025 r. są planowane wybory i jeśli torysi nie znajdą sposobu, by wyprowadzić kraj z kryzysu, przegrają wybory.

Ben Wallace to zaufany człowiek Borisa Johnsona z najdłuższym stażem spośród wszystkich członków gabinetu Sunaka – pełnił różne stanowiska ministerialne od 2015 r., a od 2019 r. jest ministrem obrony. Zajmował przy tym regularnie czołowe miejsca w sondażach popularności torysów i znalazł się pod ogromną presją, by stanąć na czele partii po dymisji Johnsona w ub.r. Odmówił. Wówczas twierdził, że jest zmęczony. Tym zmęczeniem ma być także spowodowana jego dymisja ze stanowiska ministra obrony. „Spędziłem ponad siedem lat z trzema telefonami przy łóżku” – powiedział. Zapytany, do czego mu służyły, odparł: „Tajne, tajne i jeszcze raz tajne”. Do odejścia z polityki – bo wraz ze stanowiskiem ministra Wallace zamierza także zrezygnować z poselskiego mandatu – miała namawiać go rodzina.

Ale jest też drugie dno. Minister, który odegrał kluczową rolę w brytyjskiej pomocy dla Ukrainy, miał być sfrustrowany politycznymi kosztami wynikającymi z tej roli. Według Sky News marzył o objęciu funkcji sekretarza generalnego NATO i przez pewien czas był uważany za jednego z faworytów. Jednak mimo intensywnego lobbingu na jego rzecz Sunakowi nie udało się przekonać części sojuszników, w tym zwłaszcza Stanów Zjednoczonych, do poparcia Wallace’a. Francja także stanęła okoniem, argumentując, że szef paktu powinien pochodzić z Unii, a nie spoza niej.

Wallace był postrzegany w Waszyngtonie jako jastrząb, ktoś, kto idzie w żądaniach pomocy dla Kijowa ciut za daleko. Cała frustracja wylała się z Wallace’a podczas szczytu NATO w Wilnie, gdy zwrócił uwagę Ukraińcom, że Wielka Brytania nie jest „serwisem Amazona w dziedzinie dostaw broni” i oczekuje więcej wdzięczności za okazaną pomoc. Później złagodził nieco swoją wypowiedź, ale na Downing Street najwyraźniej uznano, że to może rzeczywiście być dobry moment, by ustąpił.

Aleksandra Rybińska



Ben Wallace

Spór o Gibraltar

Gibraltar nigdy nie będzie hiszpański!” – powtarza szef ministrów Gibraltaru zaniepokojonych faktem, że 23 lipca władzę w Hiszpanii może przejąć prawica, która nigdy nie pogodziła się z utratą skały na rzecz Wielkiej Brytanii.

Gibraltar to najgęściej zaludniony skrawek Europy, z każdej strony otoczony Hiszpanią, która uznaje za upokarzający fakt, że terytorium należy ciągle do Wielkiej Brytanii. Owszem, na mocy traktatu z Utrechtu z 1713 r., Madryt scedował Skałę Gibraltarską na rzecz Londynu, ale definicja terytorium cedowanego jest obecnie przedmiotem sporu, tym bardziej wobec brytyjskiej okupacji przemyku, która jest sprzeczna z zapisami traktatu. Jak do tej pory sądy międzynarodowe przyznawały rację Hiszpanii, a ewentualny nowy rząd w Madrycie, który ma się wyłonić po wyborach, z pewnością powróci do kwestii odzyskania Gibraltaru, zwłaszcza jeśli koalicjantem Partii Ludowej zostanie nieprzejednany w tej materii Vox. Obie partie zresztą obiecały swoim wyborcom podjęcie kwestii odzyskania suwerenności nad Gibraltarem. Wielu Hiszpanów oskarża Brytyjczyków nie tylko o bezprawne okupowanie ich terenu, lecz także o stworzenie raję podatkowego na ich ziemi, tolerowanie piractwa, handlu narkotykami, przemytu i prania pieniędzy. Konserwatyści z Voxu zapowiedzieli już, że będą domagać się od UE „zdecydowanego zaangażowania w uzasadnione dążenia Hiszpanii do odzyskania Gibraltaru” i zastosują „wszelkie międzynarodowe naciski, aby odzyskać okupowane terytorium”.

Premier Gibraltaru Fabián Picardo nie tylko nie godzi się na zakwestionowanie brytyjskiej władzy, lecz także zaprzecza, jakoby Gibraltar kiedykolwiek należał do Hiszpanii. Nie ukrywa też, że bardziej komfortowo czuje się, rozmawiając z lewicą hiszpańską, bo socjaliści opowiadają się za „osiągnięciem porozumienia w sprawie Gibraltaru, które stworzy strefę wspólnego dobrobytu”.

Umowa między Unią a Wielką Brytanią w sprawie pobrexitowych relacji Skały Gibraltarskiej z Hiszpanią i resztą krajów UE będzie musiała poczekać do rozstrzygnięcia wyborów parlamentarnych. Trzeba jednak przyznać, że władze hiszpańskie długo tolerowały nielegalny rozrost Gibraltaru (budowa lotniska, atomowe okręty podwodne i rakiety w bazie wojskowej, nękanie rybaków z Kadyksu). W każdym razie nam, Polakom – gdyby ktoś się o to pytał – zupełnie nie przeszkadza, że pojawiają się tam brytyjskie i amerykańskie okręty odstraszaające Rosję na Morzu Śródziemnym.

Małgorzata Wolczyk

Fala pijaństwa

 **Iran**

Homayoun Najafabadi, irański deputowany i członek komisji ds. zdrowia, przyznał po ostatniej fali śmiertelnych zatruc, że konsumpcja oficjalnie zakazanych w Iranie napojów alkoholowych jest dziś większa niż przed 1979 r., czyli w czasach, kiedy był on legalny i powszechnie dostępny. W świetle analiz Iran Open Data ponad połowa dorosłych mieszkańców kraju mimo obowiązującej tam prohibicji regularnie spożywa alkohol domowej produkcji. W 2018 r. Światowa Organizacja Zdrowia umieściła Iran na dziewiątym miejscu spośród 189 państw ujętych w zestawieniu pod względem konsumpcji alkoholu na głowę mieszkańca.

Najgłośniejszą ostatnio śmiertelną ofiarą fali pijaństwa w Iranie jest Khosrow Hassanzadeh, znany również na Zachodzie malarz. Mieszkający w Teheranie artysta pił w gronie przyjaciół aragh, tradycyjną wódkę z rodzynek i daktyli, którą kupił u „zaufanego dostawcy”. Trunek w istocie okazał się napojem zawierającym metanol.

W ostatnich trzech miesiącach w Iranie notuje się średnio 10 zatruc dziennie nielegalnym alkoholem. W samym Teheranie od maja odnotowano już 39 ofiar śmiertelnych. Jednak na prowincji sytuacja może być poważniejsza, bo wielu zatruc nie zgłasza się w obawie przed represjami za złamanie prawa.

Abbas Masjedi Arani, szef irańskiej Organizacji Medycyny Sądowej, przyznał, że prohibicja, która dotyczy wyłącznie muzułmanów i nie obejmuje mniejszości religijnych, w 2022 r. pośrednio doprowadziła do śmierci 644 osób. Ofiary zmarły z powodu zatruc nielegalnie produkowanym alkoholem. Rosnący popyt na trunki skłonił bowiem producentów do wykorzystywania spirytusu technicznego lub mieszania rozmaitych rodzajów alkoholu. Z raportów policji wylania się obraz szybko rosnącego w Iranie podziemia alkoholowego. Nielegalne wytwórnie odkryto już w klinice weterynaryjnej, w opuszczonych magazynach i w fabryce dezodorantów.

Po Iranie krążą też pogłoski, że za ostatnią falę zatruc alkoholem odpowiada frakcja twardogłowych. Islamistów podejrzewa się o incydent z listopada 2022 r., gdy 13 tys. studentów w Teheranie zatruli się gazem nieznanego pochodzenia. Również teraz – w świetle tych opinii – reżim może być zainteresowany odwróceniem uwagi społeczeństwa od problemów kraju, w którym przed rokiem wybuchła rewolta przeciwko władzy ajatollahów.

Marek Budzisz



Rozrzut prawa czy sędziów?

Jak co roku letni okres lipca i sierpnia – kiedy miliony Polaków korzystają z różnych form wypoczynku – dla setek przyszłych sędziów to jeden z przełomowych momentów w drodze do tego wyjątkowego zawodu. Często przesadzający o powodzeniu ambitnego planu lub jego porażce. Większość kandydatów na sędziów po zakończeniu aplikacji, by rozpocząć pracę, odbywa kwalifikacyjne rozmowy z prezesami sądów. O tym, że droga ta nie jest usłana różami, świadczy dźwiękowy zapis jednej z rozmów, przekazanych nam przez zaprzyjaźniony z nami tygodnik „Peryskop Parlamentarny” (popularny „PP”), prowadzony przez młodych specjalistów fizyki molekularnej. Oto jej treść.

Prezes Włodzimierz Pierzasty (członek Stowarzyszenia Niezawisła Temida): Miła pani, radzę się dobrze zastanowić, czy to właściwa kwalifikacja.

Kandydatka Krystyna Sowa: Raczej inna być nie może. To klasyczne wykroczenie. Wprawdzie oskarżony zniszczył jedno ramię, ale to ledwie drobna część konstrukcji. Nie naruszył mechanizmu wprawiającego w ruch, więc tęcza nadal



Jerzy Jachowicz

się obraca. Naprawa uszkodzonego elementu z pewnością nie przekroczy 500 zł. W pełni wystarczy kara grzywny 1 tys. zł. Tak mi się wydaje.

Prezes: No właśnie. Fatalnie. Ograniczając sprawę literalnie do wyłamania ramienia, zamyka pani oczy na o wiele ważniejsze aspekty tego przestępczego czynu. Nowe czasy wymagają świeżego spojrzenia. I adekwatnych do sytuacji interpretacji prawa. Po pierwsze, sprawca dokonał tego w biały dzień i na oczach wielu świadków. Czemu? Żeby zademonstrować arogancką postawę wobec władz stolicy wybranych w demokratycznych wyborach. W czasie kiedy sprawca próbował zniszczyć obracającą się potężną konstrukcję, w pobliżu znajdowali się przechodnie z małymi dziećmi. W przypadku runięcia obiektu czyn zagrażał utratą zdrowia bądź nawet życia przypadkowych obserwatorów, bijących brawo. W istocie jest to więc akt terrorystyczny. Nie grzywna, lecz pięć lat odsiadki. Przykro mi, że muszę pani odmówić. Na pocieszenie mogę powiedzieć, że kolega, z którym minęła się pani w drzwiach, właściwie zinterpretował ten *casus*.

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Nie tym razem

Jestem namiętnym oglądaczem sportu. Wolę tak się określać niż jako kibic, bo kibicuję czasem, a oglądać lubię zawsze, nawet gdy nie walczą Polacy lub moja ulubiona drużyna piłkarska. Po prostu lubię patrzeć na sportowe zmagania, tak jak lubię oglądać dobre filmy i seriale. Przyglądanie się górskiej wspinaczce w Tour de France z udziałem mistrzów kolarstwa sprawia mi tyle samo radości, co oglądanie nowego filmu z Clintem Eastwoodem czy Jackiem Nicholsonem.

Tak, w sporcie gwiazdy są równie ważne jak w kinematografii. Znane twarze i nazwiska zazwyczaj gwarantują wysoką jakość, a na pewno budzą emocje i przyciągają widownię. A właśnie rozpoczęły się futbolowe mistrzostwa świata. Pewnie P.T. Czytelnicy (w większości) się zdziwili. No cóż, to mundial w damskim wydaniu.

Nie jestem przeciwnikiem kobiecego sportu, z wielką przyjemnością oglądam starcia tenisistek czy sprinterek, z trochę mniejszą zawody pań podnoszących ciężary. Ktoś powie, że to seksizm, ale to tylko kwestia estetyki. Mężczyzna, wystarczy, by był ładniejszy od diabła, kobieta nie powinna narażać swojej urody na szwank.

Panie, które rozpoczęły turniej w Australii i Nowej Zelandii, wielkiej widowni w naszym kraju nie przyciągną, i to nie tylko



Dominik Zdort

dlatego, że transmisje są w płatnej telewizji (choć niektóre mecze można zobaczyć za darmo). Także nie dlatego, że futbol to sport chwilami brzydki, i nie dlatego, że reprezentantek Polski na antypodach nie będzie (choć zakwalifikowały się piłkarki z Zambii czy Wietnamu). Również nie dlatego, że kobiety grają słabo, bo sam wiem, z jakimi emocjami oglądałem mecze na poziomie męskiej polskiej III ligi.

Problemem jest to, że na stadionach w Auckland czy Melbourne najsłynniejszymi gwiazdami będą panie Karchaoui, Rapinoe i Putellas. To nie są nazwiska, które przyciągną przeciętnego oglądacza sportu, to nie genialny Messi, nie Lewandowski, nawet nie siedzący na ławce rezerwowych sfrustrowany Ronaldo. Żeby było zainteresowanie kibiców i ich idolki mogły zarabiać miliony, potrzebne są lata, bo na renomę i nazwiska trzeba zapracować. A kobieca piłka na poważnie funkcjonuje dopiero od początku lat 70., wcześniej w wielu krajach, m.in. w Anglii, Niemczech, Hiszpanii czy Brazylii była wręcz zakazana, bo obawiano się o zdrowie pań.

W erze wszechmocnych mediów i politycznej poprawności żeński futbol prędzej zdobędzie popularność, niż zajęło to męskiej piłce. Ale jeszcze nie tym razem.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

BRONISŁAW WILDSTEIN

Iluzje autentyzmu

Byc sobą – to jeden z najczęściej powtarzanych współcześnie frazesów. Sobą, czyli kim? „Nie najlepszą – nie najgorszą” – jak śpiewała Halina Kunicka. Deklaracja, że nie chce się być lepszym, ma charakter rewelacji. Dobro to jakoś elementarna, a więc nie-definiowalna, ale można ją opisać jako cel ludzkiego dążenia. Zmierzamy do rozmaicie rozumianych dóbr. Ktoś, kogo nie interesuje żadne, nie dąży do niczego. Podkreśla to finał piosenki, w którym wokalistka deklaruje, że chce być „jak kwiat kwiatem”. Czy znaczy to, że rezygnuje z ludzkiego statusu i marzy o roślinnym?

Spośród nieskończonej liczby piosenek wzywających do bycia sobą w Polsce największą karierę zrobił utwór Perfectu z 1981 r. Tyle że odwoływał się on – a w każdym razie był interpretowany w takim kontekście – do najbardziej wspólnotowego doświadczenia, którym było odrzucenie komunizmu w wielkim ruchu Solidarności. Tak rozumiany był tekst: „Nikt mi nie powie, wiem, co mam robić”, który miał stanowić kontrast do paraliżującego lęku ciecia, negatywnego punktu odniesienia Perfectu.

Sting w piosence „Englishman in New York” opiewa non-konformistę, który zachowuje się jak angielski dżentelmen w stolicy „American way of life”. „Bądź sobą bez względu na to, co mówią” – tak brzmi puenta. Mamy nie poddawać się presji zbiorowości i wybrać... określony i to wymagający ogromnej dyscypliny etos kulturowy. Mieści się to na antypodach obiegowego, indywidualistycznego rozumienia autentyczności. Zgodnie z nim każdy z nas ma swoją niepowtarzalną drogę życia, której powinien się trzymać, a która wyrasta z jego unikatowej osobowości. Wyobraźmy sobie chaos dziesiątków miliardów odmiennych istnień z nieprzystającymi, oryginalnymi modelami istnienia...

Nie, nie lękajmy się, zwykle odmiennosc sprowadza się do wierzchniego ubrania, jak w wypadku Sailora z „Dzikości serca”, bohatera wyobraźni masowej lat 90.: „Ta kurtka ze skóry węża jest symbolem mojej indywidualności i wiary w wolność jednostki”. Była nie tyle symbolem, ile jedynym wyrazem. A postawa Sailora odsłania kulisy walki o autentyczność, propagowanej we współczesnej kulturze. To okazja dla producentów do wepchnięcia klientom kolejnych towarów, które stają się już nie tylko symbolem, lecz także niezbędnym atrybutem wolności i autentyczności.

Nowoczesność to emancypacja. Uwalnianie się od kolejnych autorytetów: religijnych, kulturowych, społecznych. Świat miał się stać harmonią wolności twórczych jednostek. Wszystkie jednak próby w tym kierunku prowadziły do od-

wrotnych efektów. Wyswobodzone od wspólnoty, a więc samotne jednostki padały łupem silniejszych. Demonstruje to choćby fenomen totalitaryzmu. Indywidualizm jest bezbronny wobec zbiorowego nacisku, mody i pokus rynku.

Martin Heidegger w „Byciu i czasie” piętnuje nieautentyczność, którą wyznacza bezrefleksyjne trwanie w środowisku rodzinnym, społecznym, kulturowym. Autentyczne bycie ma polegać na stawieniu czoła elementarnemu doświadczeniu egzystencjalnemu, którym jest przede wszystkim śmierć, i świadomym wyborze swojej tożsamości. Jednocześnie z tekstu nie wynika, jakim cudem mogłoby się to dokonać, biorąc pod uwagę, że do człowieczeństwa dorastamy dzięki kulturze, która dopiero – tak jak język – daje nam możliwość określenia się i wyrażenia. Wybór nazizmu przez Heideggera kilka lat po opublikowaniu „Bycia i czasu” prowokuje sceptycyzm co do wartości opiewanego przez filozofa autentyzmu.

W „Komediantach” (w TVP Kultura doskonale wyreżyserował spektakl Andrzej Mastalerz) pokazują aktorów zbuntowanych przeciwko narzuconym im rolom i rojących, że sami będą mogli dowolnie je kreować. Zaczynam od odwrócenia Szekspirowskiego wątku – w przeciwieństwie do „Burzy” rokosz Kalibana zwycięża, ale ujawnia, że w roli twórcy okazuje się on bezradny. Rewolucjoniści – w mojej sztuce aktorzy – potrafią jedynie odwoływać się do znanych sobie ról, chociaż usiłują je transformować, co prowadzi do groteskowych efektów. Próba całościowej z nich rezygnacji nie jest możliwa i finalizuje w bełkocie, chaosie i katastrofie. Jesteśmy skazani na swoje społeczne wcielenia, a nasze możliwości ich przekształcania – tak jak przetwarzanie języka czy kultury – są radykalnie ograniczone. Poza jednym aspektem, czyli destrukcją. Ta nie zna limitów.

Teatr w „Komediantach” odgrywa rolę modelu, ponieważ w sposób najczystszy ukazuje mechanizm, o którym piszę. W tym kontekście kondycja polskiego teatru ma niewielkie znaczenie, chociaż stanowi ciekawy przykład laboratoryjnego eksperymentu, który wskazuje, do czego prowadzi pseudowolność. Teatralni krytycy III RP zrozumieli „Komediantów” jako pamflet na stan polskiego teatru dziś. Czegóż jednak można oczekiwać po produktach III RP? 





Walizka

dr. hab. Norberta Maliszewskiego

ministra w Kancelarii Premiera,
szefa Rządowego Centrum Analiz

Od wybuchu pandemii, potem wojny i inflacji, czyli przez trzy i pół roku, niemal 20 godzin dziennie spędzałem za biurkiem. To był bardzo intensywny czas i tego wymagała nadzwyczajna sytuacja. Teraz to się zmieniło, dlatego z przyjemnością nadrabiam pracę w terenie. W ciągu ostatnich trzech miesięcy pokonałem kilkadziesiąt tysięcy kilometrów, odwiedzając małe miasteczka i wsie, spotykając się z ich mieszkańcami. To czas, kiedy słucham ludzi i szukam rozwiązań ich problemów. Jeżeli chodzi o urlopy, to mamy prostą zasadę, że są to rodzinne wyjazdy na wieś. Kierunek nie jest przypadkowy, bowiem córka ma konia. Swoją miłością do koni zaraziła całą naszą rodzinę, teraz to nasza wspólna pasja. Polska wieś stwarza takie warunki, że razem z nami podróżują nasi czworonożni członkowie rodziny, czyli pies i kot. To nasz czas beztroski, na który wszyscy domownicy czekają. W takich chwilach słowa ojca świętego: „Ludzie i przyroda to jedność”, nabierają mocy. Stałym punktem rodzinnych podróży po Polsce jest powrót tam, skąd pochodzi moja matka, czyli na Warmię, ale część rodziny osiadła się także na Mazurach. Jeżeli chodzi o wyjazdy zagraniczne, to kraje, które szczególnie lubimy wspólnie odwiedzać, to Norwegia i Włochy.



KOWBOJSKI KAPELUSZ

Mamy dwa konie: Epi i żrebaka Hiro, którego poród sam odbierałem. Ta historia wydarzyła się, gdy opiekowaliśmy się małą stadniną pod nieobecność właścicieli.

Ku naszemu zaskoczeniu zauważyliśmy, że młodej kłaczcy wystają nogi żrebaka, w związku z czym musieliśmy jej pomóc. To właśnie córka i to doświadczenie sprawiło, że kochamy konie.





NOTES

To też element budujący wizerunek ministra. Moją misją jest słuchanie potrzeb ludzi, a podróż to są zapiski z tych rozmów.

SPINKI

Prezent ślubny od żony. W pewnych sprawach się różnimy, ale jeśli chodzi o estetykę, jesteśmy podobni, czyli lubimy dyskretną elegancję z dodatkowym akcentem.



KOSZULKA SPORTOWA

„9” to jest lis pola karnego. Nie zawsze widoczny, ale to on strzela bramki. Koszulka jest prezentem od Stomilu Olsztyn.



GUMIANKI

Do aktywności niezbyt popularnej w Polsce. Lubię chodzić górkami strumieniami, co pozwala odkrywać nieznanne małe wodospady i doceniać piękne widoki poza szlakiem. Nawet podczas najbardziej upalnych dni lata podczas takiego spaceru jest chłodno.



KSIĄŻKI

Tworzą moją sferę prywatną. W podróżach podczas urlopu nie ma miejsca na książki naukowe. Wtedy zabieram wyłącznie literaturę opartą na wyobraźni, satyrze, niestandardowym przedstawieniu rzeczywistości. To łamie schematy myślenia.



KAJAKI

Sport rodzinny prowokujący do wyścigu młodych z bumerami. I znowu juniorzy wygrywają, nam starszym na otarcie łez pozostaje docenianie widoku warminsko-mazurskich rzek takich jak Łyna.



Wysłuchał i zapisał
Michał Korsun

BADMINTON

Sposobem na rodzinne spędzanie czasu jest rywalizacja – dzieci przeciwko rodzicom. Badminton wymaga nie tylko refleksu, lecz także sprytu. Kiedyś wygrywaliśmy z dziećmi, teraz role się odmiennie.



LAPTOP

Ogólnie jestem pracoholikiem i kocham myśleć. Rodzina wie, że gdybym podczas urlopu nie mógł trochę popracować, to byłbym nieszczęśliwy, więc przysmakują na to oko.



PATRONUS

Pies ze schroniska, bo poprzedni właściciel sobie z nim nie radził. Na szczęście Patronus długo na nas nie czekał, bo trzy tygodnie. Otoczony miłością, odwzajemnia to uczucie każdego dnia.



GARNITUR

Moi doradcy mają ze mną ogromny problem, bo lubię być zawsze elegancko ubrany, nawet podczas bitwy regionów, w której uczestniczą koła gospodyń wiejskich. Sugerowany luźny styl ubioru, żeby być bliżej ludzi, jest dla mnie nie do zaakceptowania. Uważam, że jestem blisko Polaków dzięki rozwiązywaniu ich problemów i szacunkowi, którym ich darzę.



OGNIEM NA WPROST

Jakie życie, taka śmierć



Trwa przerzut członków zorganizowanej grupy przestępczej zwanej wagnerowcami do obozu w Osipowiczach, na południowy wschód od Mińska. Docelowo ma tam zostać rozlokowanych do 10 tys. najemników. Jadą kolumnami lekkich pojazdów, bo ciężką broń kazali zostawić im w rodzinnej Kacapii. Bez wyposażenia, bez ciężkiego sprzętu mają się zająć szkoleniem białoruskiej armii. Jednocześnie – według białoruskich źródeł (opozycyjnych) – prawie wszyscy bojcy regularnej armii rosyjskiej zostali z Białorusi przerzuceni na front. Obecnie, żeby się czymś zająć, całe to szemrane towarzystwo ugania się po polach brzeskiego poligonu tuż przy granicy z Polską. Deputowany do Dumy, były moskiewski gen. Andriej Kartapolow (ksywa Kocopolow) uchylił rąbką tajemnicy, stwierdzając, że docelowym zadaniem bandyterki spod znaku PCM Wagner jest zajęcie przesmyku suwalskiego. Pomyśl wręcz kapitalny. Nie wiadomo do końca, kto jest jego autorem. Czy Kocopolow, czy może sam kierownik białoruskiego kolchozu Łukaszenka? Nawet gdyby na Suwalszczyznę rzuciło się 10 tys. ruskich gitów wspartych całą białoruską armią, to i tak nie daliby rady. Operują tam na stałe trzy polskie dywizje, m.in. 16. Zmechanizowana (w tym 15. Brygada Zmechanizowana – jedna z najlepszych jednostek Wojska Polskiego), elementy amerykańskiej 1. Dywizji Kawalerii, litewska brygada Żelazny Wilk (Geležinis Vilkas), nasze policja i Straż Graniczna, a i to nie wszystko. Gotowość bojowa zachowana od czasu rozpoczęcia draki z „uchodźcami” od Łukaszenki. Zanim by się Moskal obejrzał, już byśmy defilowali w Królewcu.

Na froncie Moskal ogłosił utworzenie zgrupowania w sile 100 tys. żołnierzy i ok. 900 czołgów z 1. Armii Pancernej. Ruszyli na Kupiańsk, ale bez przekonania i koncepcji. Jak podają media społecznościowe, opierając się na danych Sztabu Generalnego SZU, po pierwszych szturmach z atakujących zeszło powietrze. W końcu ofensywy bojcy podobno nawet nie wyszli z okopów, posyłając na linię skazańców i mobików. Siły zgromadzone przez najeźdźców na tym odcinku są zbyt wątłe, żeby atakować kilka kilometrów po płaskim terenie poprzecinanym wzgórzami i dwiema rzekami, by w końcu wykrwawiać się na przygotowanych umocnieniach. W efekcie pod Nowoseliwskim Kacapy się cofają, a pod Dworiczną (na północy) wostrzale artyleryjskim miał zginąć dowódca 96. Brygady Rozpoznawczej 1. Armii Pancernej. Czyli zamiast skoordynowanego uderzenia kaszanka i bardak. Dzień jak co dzień.

Mobiki z 85. Brygady, którą dowództwo przerzuciło nie wiedzieć czemu tuż przed natarciem spod Kreminnej pod Bachmut, zobaczywszy, w jakich warunkach każe im się walczyć, stwierdzili, że nie mają zamiaru popełniać samobójstwa, bo i wokół Bachmutu też nie jest za wesoło. Tamtejsza maszynka do mielenia mięsa miele jak wcześniej, tylko w odwrotną stronę. Teraz bowiem atakują Tryzuby. Powoli oskrzydłają miasto. Jak podają źródła, na odcinku północnym Ukraińcy są ponoć bliscy zamknięcia okrążenia. Jedno jest w każdym razie pewne. Droga odwrotu Moskali znalazła się już pod ukraiń-

skim ostrzałem. Trwa atak na całego i Ruski rzuca ostatnie rezerwy. Prawie wszystko, co ma. Pod Bachmutem walczą doborowe jednostki Sił Zbrojnych Federacji Moskiewskiej: 106. Dywizja Powietrzno-Desantowa i 7. Dywizja Powietrzno-Desantowa. Dowództwo, zamiast koordynować ich działania, zajmuje się czyszczeniem kadr po puczu Prigożyna. Karząca ręka sprawiedliwości Szojgu i Gierasimowa sięgnęła po generałów: Sieliwierstowa i Korniewa. Obu wywalono na zbity pysk. Próbowali sięgnąć jeszcze wyżej, bo po szefa wojsk powietrzno-desantowych gen. Teplinskiego, ale postawili się żołnierze. Powiedzieli na filmiku specjalnie przygotowanym dla Szojgu, że jak tkną ich ojczulka, to ruszą na Moskwę śladami Prigożyna, dorwą jego z Gierasimowem i im łeb ukręcą. Podziało. Bojców można tylko ukarać, zsyłając ich do piekła. Problem polega jednak na tym, że oni właśnie są w piekle pod Bachmutem i gorzej już być nie może.

Na koniec dobra informacja. Karząca ręka (tym razem sprawiedliwości ukraińskiej) dopadła w Krasnodarze przy obiekcie sportowym Olimp zbrodniarza wojennego kpt. Stanisława Leonidowicza Rżyskiego, dowódcę okrętu podwodnego Krasnodar, który w 14 lipca ub.r. zaatakował rakietami Winnicę, powodując śmierć kilkunastu cywilów. Egzekutor zasadził się na niego podczas porannego joggingu. Oddał cztery strzały w plecy i pierś Rżyskiego, po czym zbiegł z miejsca zdarzenia. Kapitan zginął na miejscu. Jakże życie, taka śmierć.

Andrzej Rafał Potocki

Pomost między Wschodem i Zachodem

W 2021 r. w wyniku przekształcenia Rady Współpracy Państw Tureckojęzycznych – organizacji, która przez wiele lat odgrywała marginalną rolę – powołano Organizację Państw Tureckich (OPT) skupiającą Turcję, Azerbejdżan, Kazachstan, Kirgistan i Uzbekistan, a także dwa państwa o statusie obserwatorów: Węgry i Cypr Północny.

OPT to 170 mln ludzi i PKB wynoszące 1,5 bln dol. Jest pełnoprawną organizacją międzynarodową tworzącą nowoczesną wspólnotę, która dąży do zniesienia barier handlowych, wprowadzenia e-commerce oraz zwiększenia wolumenu eksportu i importu, wznowienia prac nad zwiększeniem przepustowości i skróceniem czasu transportu przez tzw. Korytarz Środkowy, stworzenia międzynarodowego konsorcjum do opracowania nowych technologii produkcji, magazynowania i transportu wodoru, a także do rozwoju zielonego rynku. Według ekspertów OPT to obecnie jeden z najbardziej obiecujących projektów integracyjnych na świecie o bardzo silnym potencjale kulturalnym i humanitarnym.

Kluczową rolę w Organizacji Państw Tureckich odgrywa Turcja. 85-mln kraj leżący na dwóch kontynentach: w Europie i w Azji, członek NATO, który jest swoistym pomostem między Wschodem i Zachodem, nazywanym także buforem między państwami Bliskiego Wschodu, Półwyspu Bałkańskiego, Afryki Północnej, Zakaukazia, a także Federacji Rosyjskiej czy Azji Centralnej. Turcja odgrywa coraz większą rolę w swoim regionie i na arenie międzynarodowej, angażując się m.in. w inicjatywy mające na celu wsparcie napadniętej przez Rosję Ukrainy i warunkując proces rozszerzenia NATO o Finlandię i Szwecję. Głównym instrumentem w tureckiej polityce zagranicznej w obszarze regionalnym jest rozwój relacji opartych na narzędziach soft power, tj. przypomnianie wspólnej historii, kultury, tradycji religii, a także języka i korzeni rodziny narodów tureckich. Śledząc współczesną politykę Ankary, można dostrzec, w jak wielkim stopniu – usiłując wzmocnić swoją pozycję i torując drogę przyszłym inwestycjom – czerpie ona z głęboko zakorzenionych w przeszłości więzów między narodami.

Za praojczyznę ludów tureckich uchodzi Altaj, znajdujący się na terytorium dzisiejszej Mongolii. Warto wskazać, że do altajskiej rodziny językowej zaliczane są języki: tureckie, mongolskie, tungusko-mandżurskie, a nawet japoński i koreański. Kroniki wspominają o Turkach od w. VI n.e., ale niektórzy naukowcy twierdzą, że ludy prototureckie istniały już osiem wieków wcześniej.

Apogeum swojej państwowości, stając się mocarstwem, Turcja podobnie jak Polska osiągnęła w połowie XVI w. Rzeczpospolita rozciągała się od Bałtyku po Morze Czarne, a imperium osmańskie obejmowało półwysep Azja Mniejsza, Bałkany i prawie połowę basenu Morza Śródziemnego. Wspólnym wrogiem Polaków i Turków zawsze była Rosja. Każda audyencja na dworze sułtana miała podobno swój „polski” ceremoniał. Zawsze było gotowe miejsce dla przedstawiciela Polski, a sułtan pytał: „Czy nie przybył jeszcze poseł z Lechistanu?”. Wielki wezyr odpowiadał: „Poseł



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

z Lechistanu jest w drodze, ale z powodu utrudnień w podróży spóźnia się”. Imperium osmańskie nigdy nie uznało rozbiorów Polski. Konfederaci barscy byli wspierani przez Osmanów, którzy wypowiedzieli Rosji wojnę, żądając opuszczenia polskich ziem.

Tereny imperium osmańskiego były schronieniem dla polskiej emigracji politycznej. W Turcji było utrzymywane stałe przedstawicielstwo Hôtelu Lambert. Powstaniec styczniowy Karol Brzozowski był jednym z twórców łączności telegraficznej w Turcji. W XX w. Polacy tworzyli w Turcji pierwszą fabrykę samolotów. Adam Mickiewicz przyjechał do Turcji, by tworzyć

legiony. Polacy cieszyli się takim zaufaniem, że przyznawano im strategiczne stanowiska w osmańskiej armii, jak np. Józefowi Bemowi. Polska była pierwszym krajem na świecie, który uznał powstałą w 1923 r. Republikę Turcji.

Warto przypomnieć, że w 2007 r. prezydent Lech Kaczyński deklarował, że Polska jest za przystąpieniem Turcji do Unii Europejskiej. Według prezydenta przystąpienie Turcji do UE wzmocni wspólnotę pod względem gospodarczym, terytorialnym, a także militarnym.

REKLAMA

Radio 106.2
Warszawa
dobrze słuchać

**"Toskania jakiej nie znacie.
Przewodnik wakacyjny"**
ks. prof. Witold Kawecki
niedziela godz. 16.40

55/0623/F

Ukryty cel rozpalania emocji



**Samuel
Pereira**

Najpierw była Iza z Pszczyny, później Mikołaj ze Szczecina, Dorota z Nowego Targu, a teraz Joanna z Krakowa. Każdy z tych przypadków jest różny, ale wszystkie je łączy jedno – wykorzystanie jednostkowej tragedii do walki politycznej.

Te skandaliczne i niegodne debaty publicznej operacje socjotechniczne mają nie tylko na celu rozpalenie złych emocji i mobilizowanie przeciwko władzy. W tym działaniu chodzi o coś więcej, a konkretnie o sprowadzenie całej kampanii wyborczej z poziomu merytorycznej debaty do poziomu emocjonalnego rozedrgania. Taka sytuacja jest pożądana dla tych, którzy nie mają programu, mają za to pełną świadomość, jak sytuacja gospodarcza i społeczna jest korzystna. Ta rzeczywistość jest tym bardziej uderzająca, że kontrastuje z propagandą anti-PiS.

„Problem naszej strony jest taki, że tu się dobrze żyje. Rządzi ten PiS już osiem lat, ale tu się cały czas nieźle żyje” – powiedział lewicowy publicysta Sławomir Sierakowski i tym samym dotknął prawdy. „Nikt cię nie pobije na ulicy, do więzień nie wsadzają, nie rozstrzelują” – kontynuował, a przecież

każdy wie, jak mocno to kontrastuje z okrzykami o końcu demokracji, faszyzmie, bolszewizmie i Bóg wie co jeszcze można było usłyszeć ze strony obozu opozycyjnego zarówno z ust polityków, jak i całego komentariatu. To niesamowite jak komicznie brzmią te wszystkie hasła i straszenie, które jest formułowane w Polsce od 2016 r. tylko dlatego, że obywatele odebrali władzę z rąk tych, którzy mieli ją posiadać wiecznie. Im naprawdę wydaje się, że demokracja jest wtedy, gdy oni rządzą, a kończy się wtedy, gdy są odsuwani od koryta.

Skala rozpalenia emocji pokazuje też poziom determinacji ekipy kiedyś rządzącej nad Wisłą. Tam jest pełna świadomość, że to ostatni moment, a trzecia kadencja rządów Prawa i Sprawiedliwości – jeśli sytuacja gospodarcza tak jak do tej pory będzie się poprawiać, a Polacy dościgać Zachód – może swoją władzę w Polsce sprawować bardzo długo. A to oznacza niechybny ich koniec polityczny i biznesowy.

Autor jest dyrektorem TVP Info

Cała widownia śpiewa z nami

**Z Anną Popiek, dziennikarką, prezenterką,
rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna**

Ile Polskich Biesiad już za panią?

Anna Popiek: Śląska i warszawska, a przede mną jeszcze romska – 26 lipca, czyli w moje imieniny, w Tomaszowie Mazowieckim oraz w sierpniu – kresowa.

Bardzo różne w charakterze są te biesiady prowadzone przez panią.

Ale każda z nich łączy się z moimi zainteresowaniami i jest mi bliska. Śląska – z racji miejsca, w którym się wychowałam. W Warszawie mieszkam od lat, tu urodziłam córki. Lubię to miasto i cenię jego muzyczny folklor. Stasia Wielanka osobiście znałam. Podoba mi się przywiązanie ludzi do miejsca, z którego wyrosli. Kiedy jest to autentyczne, ja też się w tym mogą odnaleźć.

Jeśli chodzi o Kresy – moja mama pochodziła z Kamionki Strumiłowej. Dziadkowie jak każdy z uciekinierów stamtąd trochę idealizowali wspomnienia, ale dzięki temu pokochałam te ich Kresy, chciałam poznać ich kulturę, historię, tereny. Przez lata

prowadziłam Festiwale Kultury Kresowej w Mrągowie. Cieszę się, że TVP kontynuuje i te tradycje.

A co z muzyką romską?

Również w duszy mi gra. Byłam zdziwiona, kiedy – rozpoczynając przed laty prowadzenie festiwali romskich – tak dobrze się na nich odnalazłam. Nogi same rwały się do tańca. Wciąż jestem zachwycona sposobem poruszania się na scenie romskich kobiet i ich strojami, ale też życiową mądrością i umiejętnością opanowywania krewkich męskich charakterów.

Jak odnajduje się publiczność na Polskich Biesiadach?

Całkiem nieźle. Tylko potrzebuje wodzireja, który ośmieli, zachęci, a potem już... cała widownia śpiewa z nami.

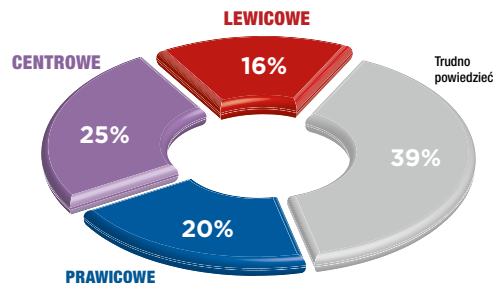




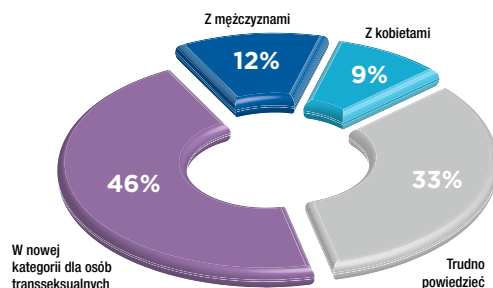
pracownia
Social Changes
dla **wPolityce.pl**



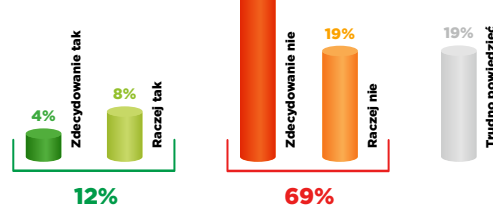
Jakie są Pani/Pana poglądy?



Jak według Pani/Pana powinny startować w zawodach sportowych transseksualne kobiety, czyli osoby które z urodzenia miały płeć męską, a teraz identyfikują się jako kobiety?



Czy według Pani/Pana zamiana płci poprzez zabieg chirurgiczny i terapię hormonalną powinna być dostępna dla osób niepełnoletnich?



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięto udział N=1056. Zakres czasowy badania 14-17 lipca 2023 r.

SIECI

ISSN 2544-2694
www.wSIECIprawdy.pl

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL.: (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWINSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KĄCZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI,

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCİKOWSKA,
MARIOLA.BARCİKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK),
ANDRZEJ.SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,
LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA ŁASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKĄ ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 9.00 – 17.00), (22) 255 93 32
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE
WWW.WSIECI.PRAWDY.PL

WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO
WYSŁĘKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA
E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE
WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI
ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ,
TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT,
MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK,
JAN POSPIESZAŁSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH
RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBINSKA, WOJCIECH
STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIELIK, ROBERT TEKIELI, MACIEJ
WAŁASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA,
DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL:
PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ
Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH” POD NUMERAMI:
22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE
W GODZINACH 7⁰⁰ – 17⁰⁰.

KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.



FOT. NA OKŁADCE: A WIKTOR, ŁOSTAŁSKI/REPORTER, SHUTTERSTOCK, Z20680/TWITTER

A photograph of two men in suits walking outdoors. The man on the left is looking down at a white paper he is holding. The man on the right is looking towards the camera with a serious expression. They are walking in front of a green hedge.

Nowak? Nie sądzę

Imponujący jest wachlarz metod, którymi jest przeciągana sprawa korupcji byłego szefa KPRM i ministra transportu. Cel wydaje się jeden: odczytanie aktu oskarżenia ma się odbyć najszybciej w drugiej połowie października, a do wyborów ma być spokój. I dla Sławomira Nowaka, i dla Donalda Tuska, który w tej historii też ma dużo do stracenia



MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

Udowodnione ponad wszelką wątpliwość przyjmowanie łapówek w różnych walutach, zorganizowanie korupcyjnego proceduru za naszą wschodnią granicą oraz kierowanie grupą przestępczą kradnącą m.in. europejskie fundusze przeznaczone na naprawę i rozbudowę ukraińskich dróg to ciężki bagaż, z którym Sławomir Nowak, namaszczony przez Donalda Tuska „złoty chłopiec PO”, może na dłużej zawędrować za kratki. Czy tak się stanie? Gdy w obliczu naprawdę poważnych zarzutów uciła już nawet polityczna obrona partyjnego towarzysza, swoje niejasne gierki prowadzi sąd.

Najbliższemu przez lata współpracownikowi premiera Tuska ma nie spaść włos z głowy, i to mimo postawionych mu porażających prokuratorskich zarzutów. Wygląda na to, że sformułowana przez Sławomira Neumanna doktryna, którą mogliśmy poznać w nagraniach z Tczewa, wciąż obowiązuje. Choć najbardziej znany cytat z potajemnie zarejestrowanej w 2017 r. rozmowy brzmi: „Jak będziesz w Platformie, będę cię bronił, k...a, jak niepodległości”, to w tym przypadku lepiej pasuje inna część wypowiedzi prominentnego polityka: „Sądy dzisiaj – ja ci gwarantuję – nie rozstrzygną żadnej sprawy przed wyborami. Żadnej. Przez rok nie zrobią, k...a, nic. Będą prowadzić sprawę – i ch...j”.

WOLNE SĄDY – TAK TO SIĘ ROBI

Prorocze słowa w kontekście Sławomira Nowaka. Ciężko oprzeć się wrażeniu, że trwa zacięta batalia o to, by jego proces nie rozpoczął się przed wyborami. By na finiszu kampanii nie doszło do odczytania aktu oskarżenia (w ten sposób zaczyna się każdy przewód sądowy), co zapewne stałoby się tematem dnia, a może nawet kilku dni.

Przypomnijmy, że akt oskarżenia został skierowany do sądu już w grudniu 2021 r. Minęło więc ponad 1,5 roku, a proces jeszcze nie ruszył. Jak to możliwe?

Najpierw wyjątkowo długo czekano na wylosowanie sędziego referenta. W czerwcu 2022 r. portal wPolityce.pl ujawnił, że sprawę Nowaka przydzieleno sędzi Iwonie Szymańskiej z warszawskiego Sądu Okręgowego. Jest ona członkiem upolitycznionego stowarzyszenia Iustitia, a prywatnie żoną Konrada Szymańskiego, który w tamtym czasie pełnił funkcję ministra ds. UE w rządzie Mateusza Morawieckiego.

W związku ze ślimaczącymi się procedurami sprawę objęto podwójnym nadzorem administracyjnym. Sędzia

Od wpłynięcia do sądu aktu oskarżenia minęło już 19 miesięcy, a proces nawet się nie rozpoczął. Tak właśnie działają wolne sądy. O co tu chodzi? Skąd taka obstrukcja? Czy celem nadrzędnym nie jest przypadkiem niedopuszczenie do odczytania aktu oskarżenia w czasie kampanii wyborczej?

Szymańska dopiero na marzec 2023 r. wyznaczyła posiedzenie organizacyjne, na którym miały zapaść decyzje dotyczące terminów rozpraw, kolejności prowadzonych czynności itd. Jeden z przełożonych, zaniepokojony zwłoką, nakazał przyspieszenie rozprawy. Odbyła się więc 31 stycznia, jednak nic na niej nie ustalono, bo obrońca jednego z oskarżonych złożył wniosek o wyłączenie sędzi w związku z naciskami, którym może być ona poddawana (już wtedy miała np. polecenie składać comiesięczne raporty z postępów procesu). Pisząc uzasadnienie, mecenas skorzystał

z tego, że... sędzia Szymańska włączyła akta nadzoru administracyjnego do akt sprawy karnej Nowaka.

To nie pomogło. Wniosek o wyłączenie sędzi został odrzucony. Rozpatrujący go sędzia Janusz Zalewski z SO w Warszawie w swoim postanowieniu odpowiedział jednak Iwonie Szymańskiej, co może zrobić, by w tym procesie nie uczestniczyć: złożyć wniosek do Sądu Najwyższego o przeniesienie sprawy do innego sądu – poza apelację warszawską.

11 kwietnia do SN rzeczywiście trafił wniosek Szymańskiej, która argumentowała, że chodzi o dobro wymiaru sprawiedliwości i skarżyła się na presję wywołaną wspomnianym nadzorem administracyjnym. Miał on według sędzi potencjalnie wzbudzać w stronach procesu obawy co do jej bezstronności.

Tak oto doszliśmy do kuriozalnej sytuacji, w której sędzia niejako podważa własną bezstronność. Podkreślmy: nadzór zastosowano, gdy z niewyjaśnionych powodów sprawa długimi miesiącami nie mogła trafić na wokandę, był więc próbą ratowania twarzy sądownictwa w głośnej aferze korupcyjnej.

Wniosek Szymańskiej też upadł. Minęły bowiem kolejne trzy miesiące i Sąd Najwyższy 10 lipca jasno orzekł: nie ma powodów do obaw o bezstronność Iwony Szymańskiej, ma ona orzekać w tym procesie i może śmiało wyznaczać termin pierwszej rozprawy.

Kiedy to się wydarzy? Wydaje się, że sporo jeszcze wody upłynie w Wiśle. Wracamy bowiem do etapu ze stycznia br., gdy będzie potrzebne ponowne posiedzenie organizacyjne.

Od wpłynięcia do sądu aktu oskarżenia minęło więc już 19 miesięcy, a proces nawet się nie rozpoczął. Tak właśnie działają wolne sądy. O co tu chodzi? Skąd taka obstrukcja? Czy celem nadrzędnym nie jest przypadkiem niedopuszczenie do odczytania aktu oskarżenia w czasie kampanii wyborczej? Czy w wymiarze sprawiedliwości ktoś aż do tego stopnia pilnuje interesów Donalda Tuska? Bo przecież dziś przypomnienie o tej aferze uderza w walczącego o powrót do władzy byłego premiera nawet chyba bardziej niż w samego Nowaka.

O tym ostatnim napisano już niemal wszystko. Znamy szczegóły korupcyjnego procederu i sporą część materiału dowodowego. Wiemy też, jakie wizje snuł minister Tuska w rozmowach np. ze swoim kompanem Jackiem P. Ten ostatni to gdański biznesmen, który przez lata doradzał samorządom w kwestiach rozliczeń dotacji unijnych i pozyskiwania środków na inwestycje. Tak relacjonował śledczym słowa Nowaka: „Co prawda teraz przy władzy jest ta partia, ale jak to się zmieni, to będzie można wiele spraw załatwić, bo będzie partia, z której on się wywodzi”.

Nowak siedział w areszcie na warszawskiej Białolecie do poniedziałku 12 kwietnia 2021 r., gdy sędzia Agnieszka Domańska (też jest członkiem Iustitii) uznała, że już wystarczy, materiał dowodowy jest zebrany, więc były szef KPRM może wracać do domu (po wpłaceniu 1 mln zł poręczenia, z nakazem stawiania się na komisariacie i zakazem opuszczania kraju). Prokuratura oczywiście złożyła zażalenie na tę decyzję. Wtedy mieliśmy do czynienia z kolejną przewlekłością w wymiarze sprawiedliwości. Warszawski sąd potrzebował bowiem aż czterech miesięcy, by zająć się zażaleniem śledczych. I dopiero po tym czasie przyklepał zwolnienie Nowaka.

Decyzja sędzi Domańskiej była w mediach komentowana z przywołaniem występu Donalda Tuska, który miał miejsce trzy dni wcześniej na antenie TVN24. Szef PO nie pytany o sprawę sam nagle zaczął mówić o Nowaku: „Słysząc spekulacje i plotki, że jest przetrzymywany w areszcie po to, żeby złamać go i zmusić do składania jakichś politycznych zeznań. Chcę wyraźnie podkreślić, że to czyni z niego *de facto* więźnia politycznego. Leży mi to na sercu, ponieważ był moim podwładnym i uważam, że po prostu tak dalej być nie może”.

W zbieżność tych dwóch faktów aż trudno uwierzyć. Bo Polska nie jest przecież jakimś bantustanem, w którym sąd wypuszcza ważnego polityka z aresztu następnego dnia roboczego po tym, jak partyjny przywódca ogłasza, że podejrzany był jego podwładnym, więc nie może dłużej siedzieć za kratami.

Nic dziwnego, że sprawa leży Donaldowi Tuskowi na sercu. Spośród ludzi z otoczenia byłego premiera (wielu z nich ma już po działaniach prokuratury nazwiska skrócone do jednej litery) Nowak był najbliższym, najbardziej zaufanym, delegowanym do specjalnych zadań.

GOTÓWKA W SKRYTKACH

W przypadku Sławomira Nowaka (on sam nalega, by jego nazwiska nie anonimizować jak jakiegoś przestępcy) jest mowa o 17 poważnych zarzutach. By je uzasadnić, prokuratorzy zebrali 135 to mów akt. To zeznania kilkudziesięciu świadków, sporo dokumentacji przetargowej i bankowej, ale przede wszyst-

Polączenie obu polityków – Sławomira Nowaka i Donalda Tuska – jest zbyt ściśle, by kłopoty „złotego chłopca” nie pozostawiły na byłym premierze poważnej blizny, politycznie być może nawet śmiertelnej. Wiedzą to media, wiedzą politycy, wie opinia publiczna. I wie to też sąd

kim wyjaśnienia złożone przez innych podejrzanych. To oni wskazali mieszkania, w których ukryto gotówkę. Na współpracę z organami ścigania zdecydował się zatrzymany wraz z Nowakiem Jacek P. Prywatnie to sąsiad i przyjaciel byłego ministra w rządzie PO-PSL. Podobno nawet przestrzegał go przed ryzykiem wpadki, gdy ten stawał się zbyt zachłanny.

Trudno znaleźć osobę, która o wspólnych szwindlach wiedziałaby więcej. Warto więc sięgnąć do zeznań P. Wyjaśnił on m.in., że na prośbę Nowaka kupił mieszkania w Trójmieście i Warszawie (to tam odkryto schowki z kasą) oraz luk-

susowe auto w styczniu 2019 r. Ujawnił również, że w 2017 r. Nowak przekazał mu w gotówce kilkanaście tysięcy złotych, by kupić dzieła sztuki. „Sławek mówił, że jak przywiozę te obrazy do Gdańska, to mam je trzymać u siebie i jakby co, to mam mówić, że te obrazy kupiłem do mojego biura w Warszawie”. Jacek P. ujął je w swoim testamencie jako darowiznę dla syna Nowaka. Ale przede wszystkim P. przekazywał Nowakowi osobiście mnóstwo pieniędzy.

W TVN24 kwestionowano ustalenia śledczych i rozgłaszano każdą, nawet najmniejszą wątpliwość. „Ekspertyzy nie potwierdzają, że Nowak dotykał gotówki, którą CBA uznało za pochodzącą z przestępstw” – czytamy w tytule informacji z kwietnia 2021 r.

Kilka miesięcy później, by uciąć podobne spekulacje, prokuratura i CBA zdecydowały się na ujawnienie części materiału dowodowego, w tym nagrań wideo z przeszukiwania, co opisywaliśmy na portalu wPolityce.pl i w tygodniku „Sieci”: „Podwójne dna w szafkach, specjalnie skonstruowane szuflady. Tylko w dwóch lokalach formalnie należących do współnika Nowaka Jacka P. (w rzeczywistości miały stanowić majątek samego eksministra) znaleziono ponad 506 200 dol., 530 200 euro i 30 tys. zł. Na gumkach, którymi owinięte były pliki banknotów (a także »innych przedmiotach służących do przechowania gotówki«), znaleziono materiał genetyczny »należący do co najmniej czterech osób«. Jedną z nich jest Nowak”. Mocnym dowodem uzupełniającym powyższą analizę jest notatnik, w którym – jak stwierdził biegły grafolog – Nowak osobiście prowadził przestępczą buchalterię. Zapisywał w nim, jakie kwoty i w których dziuplach zostały ukryte.

JEST ZA CO

Kaliber tego, co polskie i ukraińskie służby zgromadziły w sprawie Sławomira Nowaka, jest potężny. Chodzi o założenie zorganizowanej grupy przestępczej i kierowanie nią, przyjęcie korzyści majątkowych w kwocie 6,5 mln zł, żądanie łapówek w wysokości

4,5 mln zł, płatną protekcję w związku z pełnieniem funkcji szefa Ukrawtodoru (ukraiński odpowiednik GDDKiA), pranie brudnych pieniędzy w kwocie ok. 5 mln zł. A także o występki z czasów, gdy zajmował wysokie stanowiska w Polsce: żądanie i przyjmowanie łapówek w latach 2012–2013 w zamian za stanowiska w spółkach skarbu państwa oraz płatną protekcję w związku z pełnieniem funkcji ministra transportu oraz szefa gabinetu politycznego premiera.

Zacznijmy może od końca. W czasie gdy Sławomir Nowak brylował w rządzie Donalda Tuska, największym państwowym przedsiębiorstwem wiodło się różnie, raczej słabo. 2014 r. był dla Grupy PKN Orlen katastrofalny, spółka zanotowała stratę netto w wysokości 5,92 mld zł. Zsumowany zysk z lat 2008–2015 okazał się mniejszy niż zarobek z tylko jednego, tragicznego 2020 r., gdy branżę przyduśła pandemia. Czy mogło być inaczej? Zatrzymany przy sprawie Nowaka Jacek K. (prezes Orlenu właśnie w latach 2008–2015) znakomicie płatną posadę uzyskał dzięki protekcji ówczesnego szefa gabinetu premiera Donalda Tuska. Fragment protokołu przesłuchania Jacka P.: „Wiem o tym, że Sławomir N. pomógł Jackowi K. zostać prezesem zarządu Orlenu SA oraz negocjował warunki jego zatrudnienia. W zamian za to K. finansował wspólne wakacje ich rodzin. Ale tego było N. mało i zażądał gotówki”. Zatrzymano także Wojciecha T., byłego członka zarządów spółek PGE i Energa. Ponownie Jacek P.: „Wiem również o tym, że Sławomir N. [...] przyjmował korzyści majątkowe w zamian za zatrudnienie konkretnej osoby w zarządzie spółki skarbu państwa. Wiem, że taką korzyść N. przyjął od Wojciecha T. dwukrotnie. Wiem to od samego T.”.

O tym fragmencie przedsiębiorczej działalności Sławomira Nowaka nie dowiedzielibyśmy się być może nigdy, gdyby nie jego ukraińska misja naprawy i modernizacji dróg. Gdy Donald Tusk w 2014 r. porzucił fotel premiera polskiego rządu i wyjechał do Brukseli, z zaufanych osób z najbliższego otoczenia zabrał z sobą tylko Pawła Grasia. Reszta musiała sobie jakoś radzić. Być może pomogło dobre słowo „króla Europy” i osobista znajomość z prezydentem Petro Poroszenką, a być może Ukraińców

ujęła legenda człowieka, który za drogi i infrastrukturę odpowiadał w czasie, gdy organizowaliśmy wspólnie piłkarskie Euro 2012. „Złoty chłopiec PO” pojawił się za Bugiem w nimbie zbawcy, co podkreślał nawet w swoim programie telewizyjnym (dzisiaj być może lecząc potężnego kaca) kulinarny celebryta Robert Makłowicz. Przechadzając się między dziurami w asfalcie, zachwalał potrawy i psioczył na drogi, mówił jednak, że to się niebawem zmieni: „Trwa właśnie gigantyczna drogowa ofensywa, za chwilę będzie tutaj równiutki asfalt. Nie wiem jak państwu, ale mnie miło jest pomyśleć, że odpowiada za to pan Sławomir Nowak, który dowodzi drogownictwem na całej Ukrainie”.

Działo się to w czasie, gdy w Polsce jeszcze nie opadł kurz po zrujnowanych firmach podwykonawczych pracujących przy budowie autostrad, za które odpowiadał Nowak (pisano o kartelu firm i zmowie, przez którą za polskie drogi znacznie przeplacono z państwowego budżetu). Jedna zasada się nie zmieniła: nie chodziło o to, by zbudować, wystarczyło budować. I mieć z tego niemałe zyski. Poszło z góry.

UKRAIŃSKIE WYBOJE

Sławomir Nowak znalazł się na celowniku NABU, ukraińskiego odpowiednika CBA, w zasadzie od razu po przyjeździe. Nic dziwnego. Otoczył się ludźmi o wątpliwej reputacji i ani myślał czekać, natychmiast zaczął czerpać na lewo z nowej posady. Według ustaleń miał przyjąć blisko 0,5 mln zł od Oleksandra Tyslenki, przedstawiciela Altkomu, jednej z największych ukraińskich firm budowlanych. Pieniądze płacone w euro oraz dolarach na konto Jacka P. lub w gotówce przez niego miały trafić do Nowaka, a potem do jego skrytek. Altkom płacił szefowi Ukrawtodoru za pomoc przy przetargach, m.in. na budowę i remonty najważniejszych dróg. W te inwestycje były zaangażowane gigantyczne środki Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju oraz Europejskiego Banku Inwestycyjnego.

Asystentka Nowaka Wira B. (wcześniej pracująca na Ukrainie dla Kulczyk Foundation) zażądała także łapówki od tureckiego biznesmena budowlanego

Emrego Karaahmetoğlu, a do transakcji wykorzystano spółkę założoną na polecenie Nowaka na Cyprze przez byłego dowódcę GROM Dariusza Z. (zatrzymano go wraz z Nowakiem). Turecka spółka podpisała z cypryjskim podmiotem umowę na fikcyjne usługi doradcze, w ramach której na konto tego ostatniego miało przez dwa lata wpływać po 45 tys. euro miesięcznie, co razem dałoby równowartość 4,6 mln zł.

Cypryjska spółka miała też być wykorzystana do wyprania pieniędzy z łapówki od polskiej spółki ECM Group za przetargi dotyczące opracowania kosztorysu remontu kolejnych dróg. Pro wizja dla grupy Nowaka miała wynieść 10 proc. od kontraktu o wartości 1,6 mln euro. Według doniesień ukraińskiego dziennikarza Jurija Butusowa 19 sierpnia 2019 r. Nowak miał powiedzieć Dariuszowi Z., że nie zamierza pomagać ECM Group w nowych projektach, dopóki się z nim nie porozumieją.

Dariusz Z. przyznał się do winy, wyraził chęć współpracy, złożył obszernie wyjaśnienia. W kwietniu 2022 r. jako pierwszy z szajki usłyszał wyrok trzech lat pozbawienia wolności w zawieszeniu na pięć lat i 60 tys. zł grzywny. Sąd uznał go winnym m.in. żądania milionowych łapówek w sprawie korupcyjnej związanej ze Sławomirem Nowakiem. Podobne uzasadnienie wyroku usłyszał w warszawskim Sądzie Okręgowym pięć miesięcy później Jacek P. – również trzy lata więzienia w zawieszeniu na pięć lat, ale grzywna większa, 120 tys. zł. Według sądu również jemu udowodniono przyjmowanie milionowych łapówek w jednym z wątków głośnej sprawy korupcyjnej tzw. grupy Sławomira Nowaka.

Czy Tusk wiedział o złodziejstwie swojego politycznego syna? Znał go przecież od ponad 20 lat, widywali się niemal codziennie. Czy mógł o nic go nie podejrzewać, gdy Nowak, zasiadając w jego rządzie, rozdawał karty w państwowych spółkach? Czy dlatego nie zabrał go z sobą do Brukseli?

Połączenie obu polityków jest zbyt ścisłe, by kłopoty „złotego chłopca” nie pozostawiły na byłym premierze poważnej blizny, politycznie być może nawet śmiertelnej. Wiedzą to media, wiedzą politycy, wie opinia publiczna. I wie to też sąd.

Nakręcenie i zdesperowanie

To elita warstwy społecznej, którą Gomułka nazywał „inteligencją pracującą”, popycha Tuska do zemsty i odwetu



STANISŁAW JANECKI

Najbardziej radykalnymi stronnikami Donalda Tuska (ogólnie opozycji) motywującymi go do zemsty i odwetu oraz radykalizmu publicznych wystąpień są twórcy, pracownicy nauki, przedstawiciele tzw. wolnych zawodów (szczególnie prawnicy) i pracownicy mediów. To oni w największym stopniu wpływają na przebieg kampanii wyborczej oraz debaty w mediach (zarówno tradycyjnych, jak i internetowych). To oni apelują, podpisują listy, protestują, zagrzewają do walki.

Ludzie formalnie najlepiej wykształceni chcą rozwiązań siłowych, a wręcz rewolucyjnej przemocy. Jakby ich idolem był Feliks Dzierżyński, twórca i szef Czecha (pierwszej tajnej policji w sowieckiej Rosji), który wprawdzie miał dobrze wykształconych rodziców i dobre szlacheckie

pochodzenie, lecz sam nie zaliczył nawet matury, za to czystki i zemsta wychodziły mu jak mało komu. Zastanawiająca jest ta zbieżność retoryki twórców i inteligentów w 2023 r. w Polsce z retoryką Dzierżyńskiego gdzieś od 1906 r., gdy ten poznał Lenina. O ile radykalizm krwawego Feliksa można jeszcze jakoś zrozumieć, bo spędził 11 lat w więzieniach i na katordze, rewolucjoniści wymagający od Donalda Tuska determinacji i skuteczności Czecha wygodnie sobie żyją, nikt ich nie prześladowa, choć mają przekonanie, jakby byli na wojnie.

Funkcjonuje mechanizm wzajemnego uzależnienia. Donald Tusk i inni politycy opozycji czują się wyróżnieni i docenieni, mając poparcie znanych osób ze środowisk nauki, kultury, mediów. Czują się też zobowiązani do słuchania ich rad, skoro zostali uznani za godnych do powierzenia im troski o los „inteligencji pracującej” (jak mawiał Władysław Gomułka, zaliczając do tej kategorii także twórców). Do tego te środowiska się radykalizują, wiedząc, że mają zakładników w Tusku i innych politykach opozycji, a w związku z tym radykalizują się także politycy i tworzy się błędne koło agresji, nienawiści i żądzy zemsty oraz odwetu. Napięcia nie wytrzymują i jedni,

i drudzy, lecz od „inteligencji pracującej”, a szczególnie jej elity można by wymagać czegoś więcej.

Tusk może teraz tłumaczyć, że musi zrobić coś radykalnego, bo wymaga tego od niego elita. Z kolei owa elita musi się domagać zemsty i odwetu, bo inne środki nie działają (tak motywowano przemoc w każdej rewolucji).

PRECZ Z PRAWEM!

Główną motywacją radykalnych grupies Donalda Tuska i ogólnie intelektualnej awangardy opozycji jest poczucie marginalizacji, niedoceny, ograniczenia roli władców dusz, co przypisują ósmioletniemu rządowi Prawa i Sprawiedliwości. Nie mając monopolu na rację i mniejsze możliwości uczestniczenia w benefitach, które dawały im rządy liberalne i lewicowe, są mocno sfrustrowani, czują się zdegradowani i zobowiązani do doprowadzenia „klasy robotniczej” na barykady (sami zasiadają potem w odpowiednich radach, komisjach i egzekutywach). Występują wprawdzie w opozycyjnych mediach, a nawet są tam dopieszczani, są beniaminkami w branży filmowej, reklamowej i w teatrze,

mają sporo korzyści w samorządach rządzonych przez opozycję, ale ogólnie czują się zmarginalizowani i winią za to PiS oraz zwolenników tej partii. Dlatego chcą się na nich zemścić, namawiają i popychają Tuska oraz innych polityków opozycji do odwetu.

Wielu przedstawicieli „inteligencji pracującej” uważa, że Donald Tusk i opozycja nie tylko powinni przywrócić im dawną pozycję społeczną, ale tak pognać, ukarać i zdegradować tych, którzy ich zastąpili, żeby już nigdy nie stanowili konkurencji. Radykalizm wielu naukowców, czyli śmietanki „inteligencji pracującej”, jest o tyle zastanawiający, że ludzie ci mają narzędzia analityczne pozwalające na obiektywną ocenę sytuacji. Ale nie chcą ich stosować, uważając, że każdy z nich powinien rzucić w kąt obiektywne analizy, bo teraz jest czas robienia rewolucji z wszystkimi jej konsekwencjami.

Najbardziej obrazowo stan ducha elity „inteligencji pracującej” oraz pożądany dla niej kierunek działania wyraził tuż przed marszem 4 czerwca 2023 r. w Warszawie nad wyraz kulturalny sympatyk Tuska i PO, aktor, reżyser i dyrektor stołecznego Teatru Polskiego – Andrzej Seweryn. Uznał on, że jedynym sposobem na PiS jest „przy pie...lić”. Powiedział: „Tym wszystkim Trum-pom, Kaczyńskim, Orbánom pier...nym trzeba przy pie...lić. Żadnych dialogów chrześcijańskich, żadnego rozumienia, debaty, porozumienia, nie ku...a, faszystom trzeba przy pie...lać, a nie dyskutować z nimi”. Nie dziwi, że zwykły inteligent, czyli Janusz Maksym, dyrektor biura Zarządu Regionu Opolskiego Platformy Obywatelskiej, uznał, iż trzeba „za...bać, zanihi-łować, wdeptać w ziemię, zniszczyć, zdelegalizować” Prawo i Sprawiedliwość. Bo „ch...j z pobłażliwością, »siłą bezsilnych«, milczącą wojną i innymi wymysłami pięk-noduchów. Pal lichu nawet »prawo«”.

Te radykalne środowiska nie tylko nakręcają polityków PO i reszty opozycji, lecz także radykalizują część społeczeństwa, dla którego są autorytetami i wzorami.

ZNANI SFRUSTROWANI

Nieprzypadkowo wśród najbardziej sfrustrowanych i radykalnych reprezentantów „inteligencji pracującej” są prawnicy,

w przeszłości wręcz noszeni na rękach i wskazywani do największych zaszczytów i najlepszych stanowisk. To m.in. prof. Adam Strzembosz, Stanisław Biernat, Andrzej Zoll, Fryderyk Zoll, Marcin Matczak, Jan Zimmermann, Jerzy Zajadło, Wojciech Sadurski, Monika Platek. Ale to także nadworny prawnik Tuska – Roman Giertych. Jeśli nawet nic nie stracili na rządach PiS, czują się zmarginalizowani i niedocenieni, odcięci od najważniejszych stanowisk związanych z państwem. W przeszłości pełnili funkcje guru, a nawet swego rodzaju imamów prawa. I chcieliby, żeby tak było do końca świata. Zastąpienie ich kimś świeższym to obraza majestatu podobnie jak sama myśl o tym, że można zamawiać analizy czy opinie poza tym gronem. Tacy politycy jak Donald Tusk utwierdzają ich

Główną motywacją intelektualnej awangardy opozycji jest poczucie marginalizacji, niedocenienia, ograniczenia roli władców dusz, co przypisują ośmioletnim rządowi PiS. Dlatego chcą się zemścić na wszystkich tych, którzy wspierają prawicę

w przekonaniu, że to, co najlepsze w ich życiu i karierze, wróci. Oni z wdzięczności podpowiadają szefowi Platformy, żeby z konkurentami zrobił coś takiego, co ich dożywośnie zdegradowa i zniszczy.

Nieprzypadkowo bardzo sfrustrowani i radykalni są popierający Tuska, a także wymagający od niego radykalnych działań profesorowie, m.in. Radosław Markowski, Jan Hartman, Andrzej Blikle, Przemysław Czapliński, Ireneusz Krzemiński, Bogdan de Barbaro, Andrzej Friszke, Jacek Jassem, Jerzy Kochanowski, Stanisław Obirek, Andrzej Romanowski, Janusz Majcherek, Andrzej Rychard, Łukasz Turski, Jan Wołęński czy Andrzej Żbikowski. Nieprzypadkowo najwięcej od Tuska i opozycji także w kwestii odwetu oczekują twórcy,

uważający, że utracili wpływy i znaczenie, że materialnie im się pogorszyło, że przestali być narodowymi wieszczami, np. Krystyna Janda, Agnieszka Holland, Maja Ostaszewska, Barbara Kurdej-Szatan, Grażyna Wolszczak, Andrzej Seweryn, Olgierd Łukaszewicz, prawie cała artystyczna rodzina Komarów, Andrzej Saramonowicz, Zbigniew Hołdys, Andrzej Mleczo, Piotr Wereśniak, Andrzej Domalik, Jacek Bocheński, Jacek Fedorowicz, Krystyna Kofta, Maja Komorowska, Krzysztof Materna, Dorota Stalińska, Mariusz Szczygieł, Krystyna Zachwatowicz czy Wiktor Zborowski.

Nie jest żadnym problemem, że sporo twórców, naukowców, ludzi wolnych zawodów z takim samym zapalem jak obecnie Tuska i opozycję popierali komunistyczne władze, które gwarantowały im odpowiedni status społeczny i materialny. Tamten konformizm, przejawiający się np. w uczestniczeniu w pochodach pierwszomajowych i wyrażaniu entuzjazmu przed trybuną honorową wypełnioną przez cały bestiariusz komunistycznych władz, uważają za niską cenę za ocalenie polskiej kultury i nauki oraz całkiem szczodry państwowy mecenat.

ZDRADA KLERKÓW

Odwołując się do kategorii Julienu Bendy, francuskiego pisarza i filozofa, może by mówić o „zdradzie klerków” (esej pod takim tytułem Benda opublikował w 1927 r.). „Obowiązkiem klerka zawsze było nadawać najwyższą wartość myśli bezinteresownej, wolnej od wszelkiego dążenia do osiągnięcia praktycznych wyników” – pisał Benda. To oczywiście utopia i ideał, ale obecne zachowania „inteligencji pracującej” (specyficznej kategorii klerków) nawet nie mają takich ambicji. Jak w czasach Gomułki elita „inteligencji pracującej” (teraz na rzecz Donalda Tuska) widzi dla siebie powołanie w polityce. I nie stroni od politycznych namiętności, często przechodzących w polityczne sekciarstwo. Chodzi o to, co Benda nazwał igraniem z namiętnościami politycznymi, o zastąpienie chłodnej analizy skrajnymi emocjami, a nawet nienawiścią. Zdrada klerków umożliwiła I i II wojnę światową, a obecnie prowadzi w Polsce do wojny domowej.

A close-up portrait of Professor Ryszard Legutko, a man with a beard and glasses, wearing a dark suit and a patterned tie. He is resting his chin on his hand, looking thoughtfully at the camera.

Dziś Unia Europejska przypomina potwora

Z prof. *Ryszardem Legutką*, europosem Prawa i Sprawiedliwości (z grupy Europejscy Konserwatyści i Reformatorzy), rozmawia Dorota Łosiewicz

Parlament Europejski wzywa OBWE do pełnej obserwacji wyborów w Polsce. Jak pan patrzy na tę rezolucję?

Ryszard Legutko: To już kolejna antypolska rezolucja przyjęta przez Parlament Europejski. Jest bardziej

napastliwa niż wcześniejsze, a to ze względu na zbliżające się wybory w Polsce. Z jednej strony chodzi tu o stygmatyzację naszego kraju, bo przecież jak gdzieś wysła się obserwatorów wyborów, to ma to być sygnał dla międzynarodowej opinii,

że coś z tym krajem jest nie w porządku. Z drugiej decyzjenci europejscy wiedzą, że jeśli po raz kolejny wygra Zjednoczona Prawica, to monopol lewicy w Europie nadal będzie kwestionowany. W istocie mamy do czynienia z operacją „wybory”, któ-

Jeśli przygotowywane propozycje zmian traktatowych przejdą, wówczas 30 lat po uzyskaniu niepodległości znów ją stracimy. Wszystkie najważniejsze kwestie dotyczące Polski byłyby ustalane poza nią

Stosując metaforę literacką, możemy powiedzieć, że integracja przypomina historię dr. Frankenstein, który chciał stworzyć istotę doskonałą, a stworzył potwora. UE miała być doskonałą formą polityczną, a coraz bardziej przypomina potwora. I ten potwór zagraża Polsce

No właśnie, od roku działa powołany przez Komisję Spraw Konstytucyjnych Parlamentu Europejskiego zespół, który pracuje nad raportem na temat zmiany traktatów, mającym uruchomić zgodnie z art. 48 TUE reformę traktatu lizbońskiego. Daleko idzie ta centralizacja?

Bardzo daleko. W kolejnych kilkunastu obszarach miałyby obowiązywać zasada podwójnej większości. Podwójną większość stanowi minimum 55 proc. państw członkowskich, które reprezentują co najmniej 65 proc. ludności

UE. Reforma traktatu lizbońskiego wymagałaby zwołania konwentu, a na ten moment nie ma wystarczającej liczby państw chętnych, by to zrobić. Do tego potrzeba woli przynajmniej 14 państw. Na pewno będzie teraz duża presja ze strony dużych graczy na mniejszych, by doprowadzić do zwołania konwentu. Niektórzy mówią, że nie należy się martwić pomysłami reformy traktatu lizbońskiego, bowiem do tego jest potrzebna jednogłośnieść. Ale ja nie byłbym takim optymistą. Sposoby nacisku, szantażu i presji zostały perfekcyjnie dopracowane i wszystko może się zdarzyć. Wróć do wzmoczonego ataku na Polskę. Jeśli władza w Polsce się zmieni, to obecna opozycja z Platformą Obywatelską na czele na wszystko się zgodzi, wszystko przełknie i jeszcze się tylko obliże i podziękuje. A przecież chodzi o sprawę fundamentalną. Chodzi o suwerenność. Jeśli przygotowywane propozycje zmian traktatowych przejdą, wówczas 30 lat po uzyskaniu niepodległości znów ją stracimy. Wszystkie najważniejsze kwestie dotyczące Polski byłyby ustalane poza nią. Nam pozostałoby się przystosować. Praktycznie nie będzie możliwości stworzenia mniejszości blokującej, bo siła głosów państw silnych jest większa niż państw słabszych.

Uzbekistan, Kirgistan, Tadżykistan, Turkmenistan, Mongolia. I naprawdę przedstawiciele tych państw mają kontrolować demokratyczny proces wyborczy w Polsce?! Przecież poza historią dotyczącą cudów nad urną związanych z PSL nigdy wobec procesu wyborczego w Polsce nie było żadnych zarzutów. Ale przecież tu nie chodzi ani o prawdę, ani o rzetelność wyborów, tylko o pozbawienie partii rządzącej władzy, więc „wszystkie ręce na pokład”.

Dlaczego rząd Prawa i Sprawiedliwości jest wrogiem numer jeden europejskich elit?

Przede wszystkim dlatego, że Unia Europejska opiera się dziś na lewicowej agendzie. Głównym wrogiem są więc ugrupowania prawicowe oraz kraje, w których dominują rządy konserwatywne. Konserwyzm na zachodzie Europy praktycznie przestał istnieć. Dominuje lewicowa ideologia – superpaństwo europejskie, zielony ład, aborcja, homomałżeństwa itd. Każdy, kto tej sytuacji nie akceptuje, jest traktowany jak śmiertelny wróg, którego należy usunąć. Kiedyś mówiło się, że Unia to jedność w różnorodności. Nigdy to hasło nie było dalsze od prawdy niż teraz. Hasłem UE jest jednogłośnieść, konformizm i lewicowy monopol.

rej celem jest odsunięcie od władzy rządu i wsparcie Donalda Tuska. Wspiera się także w ten sposób narrację opozycji o możliwości wyborczych fałszerstw: jeśli opozycja przegra, to zawsze będzie można oskarżać wygranych o fałszerstwa. Przy okazji chciałbym zauważyć, że OBWE to instytucja dość szczególna. Obok Rosji należą do niej także Kazachstan,

Fot. Andrzej Witko

Nowy system coraz bardziej będzie nabierał cech despotycznych. Całe to gadanie o wspólnym europejskim domu i wspólnym podejmowaniu decyzji to brednie. Decyzje będzie podejmować większość trzymająca władzę, tak jak to robi do tej pory. Dlatego najbliższe wybory w Polsce będą decydowały o suwerenności Polski i przyszłości Europy. Stosując metaforę literacką, możemy powiedzieć, że integracja przypomina historię dr. Frankensteina, który chciał stworzyć istotę doskonałą, a stworzył potwora. UE miała być doskonałą formą polityczną, a coraz bardziej przypomina potwora. I ten potwór zagraża Polsce.

Mówi pan o potworze. Ten potwór niby chce walczyć o praworządność i demokrację w Polsce, a sam ma z nią wielkie problemy. Traktaty są nagminnie łamane, a proces wyłaniania przedstawicieli poszczególnych instytucji jest mało przejrzysty.

Traktaty, prawo i zasady, na których powinno funkcjonować dobre państwo, już właściwie w UE nie obowiązują. Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej to zupełnie szczególna instytucja, która opiera się na konkretnej agendzie politycznej. Funkcjonuje głównie jako maszyna do wzmacniania własnej pozycji i pozycji unijnych instytucji. Chodzi o takie interpretowanie traktatów, by instytucje europejskie miały coraz więcej władzy. Nie znam żadnej istotnej sprawy, by w sporze między państwem członkowskim Unii a instytucją polityczną TSUE wypowiedział się po stronie państwa członkowskiego, a zakwestionował działanie unijnej instytucji w oparciu o art. 5 TUE, dotyczący granic kompetencji Unii. Artykuł ten mówi, że wyznacza je zasada przyznania, a wykonywanie tych

kompetencji podlega zasadom pomocniczości i proporcjonalności. Zgodnie z zasadą przyznania Unia działa wyłącznie w granicach kompetencji przyznanych jej przez państwa członkowskie w traktatach do osiągnięcia określonych w nich celów. Wszelkie kompetencje nieprzyznane UE w traktatach należą do państw członkowskich. Ten przepis jest notorycznie gwałcony, a pomaga w tym TSUE, który nagina prawo tak, jak tylko można, rozszerzając instytucjom kompetencje o te, których im nie nadano. Ta sytuacja dotyczy np. wyższości unijnego prawa nad prawem krajowym. Ta koncepcja była odrzucana w kolejnych traktatach, a TSUE taką wyższość zadekretował w swoich orzeczeniach. Sędziowie europejscy zawsze znajdują sobie jakąś podstawę prawną, by uzasadnić kolejne łamanie traktatów. Jeśli chodzi o nękanie Polski w sprawie praworządności, to

REKLAMA

Kim jest niepylak apollo?



Któż z nas nie kojarzy żubra? To nie jedyne zwierzę z sukcesem przywrócone polskiej przyrodzie. Nasze Pieniny i Sudety odzyskują właśnie m.in. niepylaka apollo (Parnassius apollo). To prawdziwy celebryta wśród motyli świata

Nie dość, że jeden z najrzadszych i największych na naszym kontynencie, to jeszcze grajek, bo wydaje dźwięki, pocierając odnóżami o skrzydła. Od setek lat padał łupem zbieraczy i trafiał do kolekcji. Potem do jego wrogów dołączyły zmiany klimatu i zanieczyszczenie powietrza.

Czemu zawdzięcza swoją nazwę? Po prostu „nie pyli” (nie brudzi rąk zbieraczom) z powodu mniejszej ilości łusek oprószających jego skrzydła. Co łączy go z greckim bogiem muzyki i Słońca Apollem? Zamiłowanie do siedlisk słonecznych, zwłaszcza wysokich gór.

Niepylak apollo to jeden z mniej wrażliwych na chłody motyli świata. Podobnie jak trzmiele i pszczoła himalajska należy do najbardziej kudłatych owadów, wyjątkowo gęsto owłosionych na łebku,

tulowiu i odwłoku. Jeszcze odporniejsi od apollasa jego kuzyni: niepylak epafus (*P. epaphus*) to występujący najwyżej w górach motyl świata, spotykany w Himalajach na wysokości 6 tys. m n.p.m., z kolei niepylak arktyczny (*P. archicus*) występuje w północno-wschodniej Jakucji, na wysokości 1500 m n.p.m.

Najbardziej istotnymi, aczkolwiek nie jedyne ostojami naszego „żubra wśród owadów” są w Polsce:

- Pieniński Park Narodowy,
- Karkonoski Park Narodowy,
- rezerwat Kruczy Kamień (gminy Lubawka i Kamienna Góra, już poza Karkonoskim PN).

Hodowla niepylaka prowadzona jest w Karkonoskim Banku Genów od 2016 r. Również w tym roku osobniki z hodowli są wypuszczane na stanowiska naturalne w rejonie Chojnika oraz Rezerwatu „Kruczy Kamień”. Kluczem do sukcesu w ochronie różnych gatunków motyli jest ochrona całych ekosystemów, pozostawienie części gruntów rolnych w tradycyjnym użytkowaniu, zastępowanie często koszonego trawnika kwietnymi łąkami oraz eliminacja z naszej przyrody inwazyjnych gatunków obcych, szczególnie nawłoci kanadyjskich.



Ministerstwo
Klimatu i Środowiska



Sfinansowano ze środków
Narodowego Funduszu
Ochrony Środowiska
i Gospodarki Wodnej

posłużono się np. art. 19 TUE, w którym zapisano, że TSUE zapewnia poszanowanie prawa w wykładni i stosowaniu traktatów, a państwa członkowskie ustanawiają środki zaskarżenia niezbędne do zapewnienia skutecznej ochrony sądowej w dziedzinach objętych prawem Unii. Prawo UE nie obejmuje sądownictwa, a jednak TSUE wypowiada się w sprawie KRS czy Sądu Najwyższego. Przecież to są żarty. Metodą faktów dokonanych TSUE zawłaszczył sobie nową kompetencję. To kpiny z prawa.

A jeśli zaś chodzi o przejrzystość wyboru do TSUE?

Też nie ma nic wspólnego z demokratycznymi zasadami. Teoretycznie każde państwo może wystawić tam swojego przedstawiciela, ale taki kandydat musi otrzymać pozytywną opinię kilkuosobowego komitetu wyznaczonego przez przewodniczącego Trybunału. W ten sposób środowisko reprodukuje samo siebie i nikt spoza tego środowiska nie ma szans. Mamy tu więc kooptację i mechanizmy uznaniowe. To system głęboko zdemoralizowany.

A tymczasem do TSUE wpłynęła kilka dni temu skarga Komisji Europejskiej przeciwko Polsce dotycząca orzecznictwa i legitymacji do orzekania Trybunału Konstytucyjnego.

To kolejny krok w sędziowskiej samowoli, bo TSUE uzasadnia gwałcenie konstytucji krajowych, by wzmocnić własną władzę i instytucje unijne. Najpierw oskarżano polski rząd, że gwałci konstytucję, choć TSUE nie miało kompetencji, by w takiej kwestii orzekać, a ostatnio orzeka, że konstytucję można, a nawet należy łamać dla dobra UE i unijnych instytucji. TSUE nie jest w stanie złamać sądów konstytucyjnych silnych państw zachodnich, próbuje je za to złamać w przypadku Polski i innych krajów Europy Wschodniej, by w ten sposób przydać sobie władzy. TSUE, Komisja Europejska i Parlament

Europejski korzystają z istniejącej w Europie asymetrii władzy. Tych asymetrii jest przynajmniej trzy. Po pierwsze, dotyczy ona nierównowagi państw dużych i małych. Po drugie, mamy asymetrię między praktycznym monopolem lewicy i nielicznymi grupami konserwatywnymi. Po trzecie wreszcie, mamy asymetrię między zachodem i wschodem Europy – wśród elity Zachodu jest przekonanie, że Wschód trzeba wy-

Wśród elity Zachodu jest przekonanie, że Wschód trzeba wychować, pilnować i nauczyć demokratycznych reguł. Myślę, że jest to dziedzictwo mentalności kolonialnej. Niemcy, Francuzi, Holendrzy czują się królami Europy, którzy mówią, jak w tej części świata należy żyć

chować, pilnować i nauczyć demokratycznych reguł. Myślę, że jest to dziedzictwo mentalności kolonialnej. Niemcy, Francuzi, Holendrzy czują się królami Europy, którzy mówią, jak w tej części świata należy żyć. Te asymetrie przekładają się na brutalny fakt, że jedni mają władzy więcej, a inni mniej. A ci, co mają jej więcej, nie chcą jej sobie odebrać. A TSUE te asymetrie przyklepuje.

A ile demokracji jest w Parlamencie Europejskim?

Niewiele. Europarlament ma znikomą legitymację demokratyczną. Podstawowa zasada parlamentu głosi, że wybrani reprezentanci mogą być przez wyborców rozliczani, np. wycofaniem dla nich poparcia w kolejnych wyborach. W Parlamencie Europejskim takiej

możliwości nie ma. O polskich sprawach decydują europosłowie z Niemiec, Portugalii, Hiszpanii i innych krajów, którzy przed polskim elektoratem nie ponoszą żadnej odpowiedzialności. Robią więc, co chcą, i dają upust swoim politycznym i ideologicznym namiętnościom. To kolejna patologia, którą obserwujemy w UE.

Na ile za atakami na Polskę stoją Niemcy?

O tyle, że to główna siła w Unii. Niemcy od bardzo długiego czasu przyzwyczaiły się do dominacji w Europie Środkowo-Wschodniej, czy to jako zaborca, czy – jak to ma miejsce w ostatnich dekadach – w roli bogatego, opiekuńczego, lecz wymagającego i wtrącającego się we wszystko wujka. Nie podoba im się więc zwiększenie znaczenia Polski, a już na pewno nie podoba im się polska władza kwestionująca ich przywództwo. Oni to przywództwo traktują jako rzecz oczywistą, tkwiącą w naturze rzeczy. Dlatego to dla nich niepojęte, że ktoś może mieć tutaj wątpliwości. To tak, jakby miał wątpliwości co do grawitacji czy heliocentryzmu. Poza tym Niemcy są wielkimi orędownikami centralizacji Unii, bo to zwiększa jeszcze ich rolę. Cała perfidia centralizacji UE polega na tym, że w wyniku owych asymetrii, o której wcześniej mówiłem, państwa silne z Zachodu będą zwiększały swoją władzę przez wpływ na rosnące w siłę instytucje europejskie, a państwa słabsze będą traciły tę niewielką władzę, którą teraz posiadają. Unia Europejska scentralizowana to Unia jeszcze silniejszych Niemiec i Unia słabszej Polski. Stąd również bierze się dzisiaj ten wściekły atak na rząd Polski, bo stanowimy najpoważniejszą barierę przeciw centralizacji. Gdyby w Polsce doszło – co nie daj Boże – do zmiany władzy, droga do takiej centralizacji będzie otwarta. A więc znowu Polacy bronią Europy, której zagraża niebezpieczeństwo, tym razem od wrogów wewnętrznych. ▀

Czy w wyborach 2023 zwycięży zdrowy rozsądek Polaków?

Do utrzymania władzy przez Zjednoczoną Prawicę wystarczy, by w nadchodzących wyborach wygrał zdrowy rozsądek. I dlatego w kampanii wyborczej PiS powinien w sposób wyraźny odwoływać się do zdrowego rozsądku wyborców. Nie wolno pozwolić, żeby to opozycja narzuciła styl kampanii wyborczej w Polsce. Prawo i Sprawiedliwość powinno przeciwstawić kampanii nienawiści Tuska i antypisowskiej demagogii apel do zdrowego rozsądku Polaków

ELEKTORAT UMIARKOWANY

Temperatura sporu politycznego jest tak wielka – i podsycana z wszystkich stron – że racjonalne argumenty, odwołujące się do rozumu i do zdrowego rozsądku właśnie nie mają wielkich szans na przebicie się w mediach. A jednak to one powinny stanowić fundament narracji wyborczej Prawa i Sprawiedliwości. Rzecz w tym, że tzw. żelazne elektoraty obu stron są nie do ruszenia w ciągu kilku miesięcy, które pozostały do czasu wyborów. Tu wystarczy utrzymanie emocji, na ogół negatywnych wobec przeciwnika, i żadna strona z tego nie zrezygnuje. Wiadomo, że negatywne emocje bardziej mobilizują i są najskuteczniejszym środkiem na odparcie racjonalnych argumentów, szczególnie tych polegających na prawdzie. Tak jest i nic na to nie poradzimy, szczególnie w ciągu kilku miesięcy.

Próby dotarcia w tym czasie do żelaznego elektoratu przeciwnej strony mijają się z celem. Pozostaje więc koncentracja na mobilizacji własnego elektoratu oraz dotarcie do elektoratu wahającego się, niezdecydowanego. Ten elektorat jest też zwany umiarkowanym, bo z definicji nie poddaje się on emocjom żadnej ze stron, a nawet ma do tych emocji podejście negatywne. Ten elektorat, głosując, kieruje się przede wszystkim zdrowym rozsądkiem i własnym dobrze pojętym interesem bardziej niż czym innym.

Istnieją spory co do tego, jak wielki jest ten umiarkowany elektorat, nazywany niekiedy także centrowym. Brak poświęconych temu badań. Zwolennicy twardych linii twierdzą nawet, że taki elektorat w Polsce w ogóle nie istnieje. Sądząc jednak po mocno zmieniających się wynikach kolejnych wyborów, trudno

zaprzeczyć hipotezie, że istnieje wielka grupa wyborców, która potrafi przejść np. od partii establishmentu postkomunistycznego np. do PiS i odwrotnie. I o takie grupy będzie toczyła się walka w najbliższych wyborach. Nawet jeśli rola umiarkowanego elektoratu nie byłaby tak kluczowa, jak sądzę, warto odwołać się w kampanii wyborczej do zdrowego rozsądku Polaków. Lepiej pokazać się jako ta strona, która bardziej apeluje do rozumu niż do emocji. Tym bardziej też dlatego, że po naszej stronie są zasadnicze racje. Przynajmniej z punktu widzenia zdrowego rozsądku.

POLITYCZNE MARTWE DUSZE

Zanim przejdę do wyeksplikowania tych racji, warto jeszcze zauważyć, że oprócz żelaznych elektoratów PiS i anty-PiS,

oprócz elektoratu centrowego istnieje jeszcze ponad 30-proc. rzesza wyborców politycznie (społecznie) martwych. Ludzi niezainteresowanych losami państwa. Być może nawet 40 proc. Polaków uprawnionych do głosowania na tegoroczne wybory nie pójdzie. Większość z nich nie chodzi na wybory z zasady. To są nie tylko ludzie bez wykształcenia, lecz także młodzi, wykształceni z wielkich miast. Tak mają ułożone w głowie.

Świadomość, że w Polsce istnieje tak wielka rzesza obojętnych na sprawy dalsze niż czubek własnego nosa jest ważna, gdy analizuje się różne sondaże. Przykładowo, w niedawnym sondażu Social Changes na pytanie, czy Ukraina powinna dalej prowadzić walkę aż do ostatecznego zwycięstwa, twierdząco odpowiada 47 proc. Polaków, 28 proc. uważa, że powinna podjąć negocjacje z Rosją, a 25 proc. nie ma zdania w tej kwestii. Jednak w elektoratach poszczególnych ugrupowań, PiS, KO i Polski 2050, zwolenników walki z Rosją aż do zwycięstwa jest odpowiednio 81, 79 i 81 proc., a zwolenników negocjacji tylko 5, 11 i 10 proc. Jak to możliwe?! Otóż większość takich badań uwzględnia także opinie Polaków martwych społecznie, a wśród tych proporcje opinii bywają czasami zupełnie różne niż te wśród aktywnych wyborców.

Dopiero przyjrzenie się elektoratom różnych partii pozwala wyciągnąć wniosek, że wśród aktywnych wyborców jest olbrzymie poparcie dla sprawy Ukrainy. Podobnie jest przy pytaniu sondażowym, czy powinno się odbyć referendum w sprawie przymusowej relokacji nielegalnych migrantów. Jest zupełnie oczywiste, że wśród ludzi niechodzących na wybory, odsetek przeciwników zorganizowania referendum jest znacznie wyższy niż wśród ludzi aktywnych wyborczo. Aktywni wyborczo są w zdecydowanej większości za referendum. Chcą wyrazić swoje zdanie.

ZDROWY ROZSĄDEK

Trzeba podkreślić, że mówiąc o zdrowym rozsądku, mam na myśli najbardziej pozytywne rozumienie tego terminu. To, w którym nauka jest uważana za przedłużenie zdrowego rozsądku, w którym jest on

utożsamiany z panującym w danej epoce rozumem. Chodzi o ten zdrowy rozsądek, o którym Kartezjusz pisał, że to rzecz najlepiej na świecie rozdzielona, gdyż nikt nie pragnie go więcej, niż go posiada.

Istnieje tendencja, szczególnie w elitach postkomunistycznej proveniencji, żeby wyborców niezdecydowanych i tych głosujących na „niewłaściwe” partie, traktować jako ludzi pozbawionych rozumu, skoro nie potrafią dokonać oczywistego wyboru między PiS i anty-PiS. Tomasz Lis zasłynął kiedyś stwierdzeniem, że w wielu redakcjach mediów działających w Polsce sądzi się, że „ludzie nie są tacy głupi, jak nam się wydaje. Są dużo głupszy”. W swojej książce o logice i argu-

Odwołując się do rozumu wyborców, trzeba unikać prymitywnych argumentacji retorycznych skierowanych do emocji. Trzeba starać się opisywać sytuację bardziej obiektywnie i dostrzegać racje strony przeciwnej. Trzeba mieć na uwadze, że po tamtej stronie też są rozsądni ludzie

mentacji zwróciłem uwagę, że w rzeczywistości prawdziwa jest mniej atrakcyjna retorycznie teza: ludzie nie są tacy głupi jak myślicie. Są mądrzejsi. I tym właśnie trzeba się kierować, mówiąc do wyborców. Tym właśnie kieruje się PiS w swoich działaniach i powinien to kontynuować.

Odwołując się do rozumu wyborców, trzeba unikać prymitywnych argumentacji retorycznych skierowanych do emocji. Trzeba starać się opisywać sytuację bardziej obiektywnie i dostrzegać racje strony przeciwnej. Trzeba mieć na uwadze, że po tamtej stronie też są rozsądni ludzie, którzy wybierają tamtą stronę, bo mają jakieś swoje racje. Niekoniecznie są jedynie ofiarami zmasowanej propagandy i/lub własnego uwikłania.

CZY CHCEMY BYĆ KRAJEM SUWERENNYM?

Przede wszystkim warto, żeby rozsądni ludzie uświadomili sobie, że nadchodzące wybory będą mieć zasadnicze znaczenie dla dalszych losów Polski, a tym samym dla dalszych losów Polaków. W zależności od tego, kto przejmie władzę po następnych wyborach, zdecydują się trzy fundamentalne kwestie.

Po pierwsze: czy Polska będzie krajem w miarę suwerennie zabiegającym o interes Polski i dobro wspólne Polaków, czy też stanie się regionem Europy, którego losy będą decydowały się w europejskiej centrali (bardziej w Brukseli lub bardziej w Berlinie w zależności od ewolucji europejskiego projektu)?

Warto tu zauważyć, że chociaż dalsze pogłębianie europejskiej integracji to zasadniczy element programu opozycji, to jednak nikt z jej liderów nie powie wyraźnie, że jest za ograniczaniem i w efekcie za zrzeczeniem się suwerenności Polski, że jest przeciwko idei niepodległości. Wiedzą, że takie jawne postawienie sprawy odebrałoby im część wyborców. Wiedzą, że większość wyborców jest intuicyjnie za utrzymaniem suwerenności państwowej. Wolą więc w tej sprawie kluczyć i mieć fałszywymi hasłami. PiS powinien stawiać jasno tę kwestię w debacie wyborczej: niepodległe państwo polskie czy dalsza europejska integracja? Bo to są dwie wykluczające się koncepcje polityczne.

Dla zdrowo myślącego człowieka po wyzbyciu się emocji i wzięciu pod uwagę faktów powinno być jasne, że PiS daje znacznie większe gwarancje suwerenności Polski niż opozycja. To nie jest tak, że jak opozycja przejmie władzę, to od razu sprzeda nas bez reszty Niemcom i ogłosi rezygnację z niepodległości. Ale istnieje bardzo duże prawdopodobieństwo, że w wyniku uległości i kunktatorstwa polityków obecnej opozycji, Polska osłabnie i przestanie odgrywać rolę podmiotową w Europie. Czy to wyjdzie na dobre Polakom? Zostawmy odpowiedź ich zdrowemu rozsądkowi.

Oprócz tego komu powierzyć zarządzanie gospodarką? Tegoroczne wybory zadecydują również o dalszym jej rozwoju

i perspektywach sytuacji ekonomicznej Polaków. Jeśli ktoś jest w stanie dotrzeć do faktów z dziedziny ekonomii i porównać osiągnięcia gospodarcze PiS i poprzedników, to musi dojść do jednoznacznego wniosku, że PiS w tej dziedzinie radził sobie znacznie lepiej, nieporównywalnie lepiej niż wcześniejsze rządy z ich postkomunistycznymi autorytetami ekonomicznymi. Propaganda partii opozycyjnych oraz sprzyjające opozycji media robią wszystko, żeby ten fakt ukryć. PiS ma realny problem, żeby opis stanu faktycznego dotarł do świadomości szerszych rzesz społeczeństwa.

Jeśli kogoś interesuje przede wszystkim dobrobyt Polaków, ich sytuacja ekonomiczna, to nie powinien mieć żadnych wątpliwości, na kogo głosować. Do wyboru ma tych, którzy mogą się pochwalić realnymi sukcesami gospodarczymi mimo olbrzymich zawirowań w światowej gospodarce (pandemia, kryzys energetyczny, wojna) i transferem owoców wzrostu gospodarczego do całego społeczeństwa, a po drugiej stronie tych, którzy uprawiają w tej kwestii demagogię, ciesząc się z globalnych kryzysów dotyczących także Polskę i oskarżają rząd PiS o ich spowodowanie.

Opozycja, która do tej pory hołdowała gospodarczemu liberalizmowi, jest zupełnie niewiarygodna w swoich zapewnieniach, że po przejęciu władzy będzie kontynuowała politykę społeczno-gospodarczą PiS, tylko jeszcze bardziej i jeszcze lepiej. Trzeba być naprawdę pozbawionym elementarnego rozsądku, żeby w to uwierzyć.

Opozycja po ewentualnym przejęciu władzy wróci do liberalnej polityki gospodarczej, bo inaczej nie umie. Bo prosty (prymitywny) liberalizm wymaga najmniej wysiłku od rządu i najmniej umiejętności. Ewentualny powrót opozycji do władzy, gdy znikną wszystkie tarce stworzone przez obecny rząd, będzie oznaczać realne pogorszenie się sytuacji ekonomicznej milionów Polaków.

Z pewnością elementem kampanii wyborczej PiS powinny być umiejętnie dobrane, przejrzyste dane gospodarcze uzmysławiające różnice kwalifikacji ekonomicznych PiS i opozycji. Najlepiej oparte na źródłach zagranicznych, np. z hasłem „Liczby nie kłamią”. O tym trzeba mówić i pisać do znudzenia, póki

jest jeszcze trochę czasu, bo tylko wtedy przez dyskusje rodzinne i środowiskowe dotrze to także do tych, którzy informację czerpią tylko ze źródeł antyrządowych, w których podstawowe liczby dotyczące gospodarki z zasady się nie pojawiają.

Ostatnia wreszcie kwestia to stosunek do Polski i jej historii. Czy możemy być z niej dumni i możemy to manifestować, czy też mamy się jej wstydzić? Wybory odpowiedzą też na to pytanie. Jeśli władzę utrzyma Zjednoczona Prawica, to z pewnością będzie kontynuowany program przywracania należnego miejsca bohaterom polskiej historii, celebrowania i podkreślania najlepszych jej momentów. Jeśli władzę przejmie opozycja, grozi nam powrót do pedagogiki wstydu, rozliczania z haniebnymi postępami niektórych naszych przodków i przypisywania ich całemu narodowi. Według „postępowych” sił zbyt przywiązanie do własnej historii i tradycji nie służy projektowi przerobienia Polaków na Europejczyków.

Silne narody i silne państwa odwołują się do największych momentów swojej historii i do najlepszych własnych tradycji. Zupełnie sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem jest epatowanie opinii publicznej przykładami jednostkowych haniebnych postępów naszych przodków i branie na siebie przewin przestępców z jednoczesnym umniejszaniem czynów godnych pamiętania i naśladowania. Cemu to ma służyć? Na pewno nie jest to w interesie Polski. Jest rzeczą oczywistą, że w przypadku zwycięstwa Prawa i Sprawiedliwości utrzyma się kurs szacunku dla tradycji i historii, budowania i umacniania dobrego imienia Polski, podczas gdy w przypadku zwycięstwa opozycji będzie wręcz przeciwnie. Co będzie lepsze dla naszych dzieci? Trzeba pamiętać, że obecna opozycja jest zakorzeniona w postkomunistycznych elitach, które przez lata uprawiały politykę wstydu, realizując także w tym aspekcie zewnętrzne interesy.

Czy nasze dzieci będą żyły w państwie, które czerpi z najlepszych chwil naszej historii i naszej tradycji, czy też w państwie, które będzie nam wmawiało, że bycie Polakiem to nie jest powód do dumy, że lepiej być Europejczykiem drugiej kategorii, niż przyznawać się do bycia Polakiem? O to też chodzi w tych wyborach.

Sprawa ta wiąże się ściśle ze sprawą suwerenności Polski, podobnie zresztą jak kilka innych bieżących tematów, takich jak budowa silnej armii czy też radzenie sobie z nielegalną imigracją.

Wszystkie te bardzo poważne tematy warto omawiać i prezentować, odwołując się do rozumu i do zdrowego rozsądku bardziej niż do emocji. Stanowisko w tych sprawach jest bowiem oczywiste dla żelaznego elektoratu, a chodzi o to, żeby przekonać elektorat umiarkowany, że sprawy te lepiej powierzyć Zjednoczonej Prawicy.

JAK DOTRZEĆ DO ELEKTORATU UMIARKOWANEGO

Najtrudniejszą sprawą wydaje się znalezienie sposobu dotarcia do umiarkowanego i wahającego się elektoratu. Nie ma dostatecznych badań na jego temat, nie wiadomo, jak wyrabia sobie poglądy na rzeczywistość. Nie pozostaje nic innego jak rozprzestrzenianie narracji odwołującej się do zdrowego rozsądku wszelkimi możliwymi kanałami. Wtedy powstaje kolejne pytanie, jak wyważyć proporcje między taką narracją a narracją skierowaną do przekonanego elektoratu, mającą na celu mobilizację tego ostatniego (bo z tej drugiej narracji oczywiście nie można zrezygnować). Gdyby udało się uczynić przekonanie: „opozycja odwołuje się do nienawiści, a rząd – do rozumu i pamięci wyborców”, obiegowym truizmem, o wynik wyborów bym się nie martwił.

Istnieje szansa, że ten zdrowy rozsądek Polaków tak czy inaczej weźmie górę i objawi się w dniu wyborów mocnym odchyleniem od wyników sondaży. W trakcie emocjonalnej kampanii można w różny sposób wyrażać swoje słuszne żale, a w decydującym dniu postąpić zgodnie z rozumem. Znaczna część Polaków czuje, że ich sytuacja materialna poprawiła się za rządów PiS, że dzisiaj mają lepiej niż za czasów Tuska. Wiedzą, bo tego się nie da ukryć, że Tusk zostawił Polskę dla europejskiej pensji. Niemniej tę szansę, tę nadzieję trzeba próbować wzmocnić, pokazując się wyraźnie jako ta strona, która bardziej apeluje do rozumu wyborcy niż do emocji.

Andrzej Kisielewicz

Autor jest profesorem matematyki, nauczycielem akademickim Politechniki Wrocławskiej.

Marczyk i Gospodarczyk powalczą o rajdowe zwycięstwo w Estonii

*W piątek 21 lipca
Mikołaj Marczyk
i pilotujący go Szymon
Gospodarczyk rozpoczęli
zmagania w Rajdzie
Estonii w kategorii
WRC2. Dla załogi
ORLEN Team
i PFNteam100 będzie
to już trzeci w tym roku
wyścig, rozgrywany
w ramach Rajdowych
Mistrzostw Świata WRC*



Fot. Materiały prasowe

Mam spore nadzieje związane z tym rajdem. W ub.r. dobrze weszliśmy w rywalizację, ale później popełniłem błąd. Od tego momentu ten rajd miał dla nas wymiar słodko-gorzki. Wracamy tutaj i wiem, że mamy coś do pokazania – zapewnia Mikołaj Marczyk.

W rozegranych dotychczas w br. zawodach rajdowy duet może poszczycić się m.in. zwycięstwem w Platinum 7 Rajd Memorial Janusza Kuliga i Mariana Bublewicza, a także drugim miejscem w klasyfikacji generalnej mistrzostw Polski i trzecim miejscem w klasyfikacji generalnej mistrzostw Europy podczas Rajdu Polski, czwartym miejscem w klasyfikacji WRC2 Challenger podczas Rajdu Portugalii czy drugą lokatą w tej samej klasyfikacji podczas Rajdu Sardynii. Udziały zespołu w kolejnych zawodach Rajdowych Mistrzostw Świata WRC są możliwe w dużej mierze dzięki wsparciu Polskiej Fundacji Narodowej.

– Program PFNteam100 zawsze wspierał utalentowanych, młodych,

polskich sportowców. Wspieranie Mikołaja Marczyka i Szymona Gospodarczyka to naturalna konsekwencja stawiania na najlepszych, których sukcesy przyczyniają się do promocji Polski za granicą – przyznaje dr Marcin Zarzecki, prezes zarządu PFN.

– Wspieranie polskiego sportu oraz promocja Polski poza jej granicami to jedno z kluczowych celów statutowych Polskiej Fundacji Narodowej, dlatego z dumą zaangażowaliśmy się w organizację startów wybitnego kierowcy Mikołaja Marczyka w rajdowych mistrzostwach świata w kategorii WRC2. Trzymamy kciuki za naszych sportowców, którzy nieraz dostarczyli Polakom wielu pozytywnych emocji i wrażeń – dodaje z kolei wiceprezes PFN Michał Góras.

Bazę rajdu będzie stanowić Tartu, uchodzące za kulturalną stolicę Estonii. Przed rajdowcami do pokonania 21 odcinków specjalnych o łącznej długości blisko 300 km. Kluczowym dniem dla przebiegu rywalizacji może okazać się

piątek z uwagi na największą liczbę kilometrów do przebycia, z czego najdłuższy odcinek specjalny rajdu – Peipsiääre – będzie ich liczył aż 24. Rajd Estonii to jeden z najmłodszych rajdów WRC, a zarazem największa tego typu impreza, rozgrywana w krajach bałtyckich. Przebiegająca głównie pośród lasów trasa, obfituje w szutrowe drogi z dużą ilością grzbietów, łączące się z bardziej technicznymi odcinkami. Panuje przekonanie, że ze względu na olbrzymią liczbę tzw. hopek, auta spędzają więcej czasu w powietrzu niż na ziemi, co w czasie zmagani prezentuje się isticie widowiskowo.

– Trasy są bardzo szybkie, mamy tu duże skoki, duże poślizgi, jest mnóstwo kibiców. Czego chcieć więcej? Za nami udane testy, wypracowaliśmy sobie dwa różne pakiety ustawień. Jesteśmy przygotowani na każdą okoliczność w taki sposób, by nic nas tutaj w Estonii nie zaskoczyło – mówi Szymon Gospodarczyk, pilot załogi PFNteam100. Zwycięzców rajdu poznamy w niedzielę.

Pokolenie Konfederacji



Młodzi wyznawcy Konfederacji przywodzą na myśl hunwejbiniów budujących nowy świat, w którym liczy się wyłącznie młodość, zdrowie i siła. Nie ma w nim miejsca dla dawnych przesądów i jakichkolwiek słabości. Przy czym przyszłość, którą chcą budować, jest podobnie jak u hunwejbiniów bardzo okrutna

Nastroje społeczne w Polsce przypominają falę. Na początku lat 80. – w czasach rewolucji Solidarności – zbuntowane społeczeństwo poczuło się nagle jedną, wielką wspólnotą zbudowaną przeciwko komunistycznej niewoli. Polacy przeżywali też wówczas za sprawą świeżego pontyfikatu Jana Pawła II okres wzmożonej, choć nie-rzadko bardzo powierzchownej religijności. Wszystko to zostało w ciągu kolejnych lat rozjechane walcem przez komunistów



KONRAD KOŁODZIEJSKI

i gdy po 10 latach upadał PRL, ludzie byli zupełnie inni. Nowa rzeczywistość pozwalała dać wreszcie upust wcześniej nie-realnym marzeniom o wzbogaceniu się.

Wyszły też na jaw wielkie pokłady kompleksów, które wielu Polaków miało wobec swoich bogatych sąsiadów z Zachodu.

Wtedy, na początku lat 90., po dawnej solidarnościowej fali nie było już śladu. Zastąpiła ją nowa fala – egoizmu, cynizmu i pogoni za pieniędzmi. Rozpoczęła się trwająca niemal ćwierć wieku epoka brutalnego, niekiedy darwinowskiego neoliberalizmu, w której wygrywał ten, kto miał lepsze układy, był bardziej cwany i bardziej bezwzględny niż pozostali. Dla

Fot. Andrzej Januszak/REPORTER/EARL News

słabszych i mniej zaradnych nie było w tym systemie miejsca.

10 lat temu ta fala zaczęła opadać. Liczba ekonomicznych ofiar III RP przekroczyła masę krytyczną, a może po prostu większość ludzi zbuntowała się przeciwko hipokryzji i zachłanności nowych liberalnych elit. W rezultacie znów zatęsknili oni za sprawiedliwością i godnością. Tym w dużym stopniu należy tłumaczyć podwójne zwycięstwo PiS w 2015 r., potwierdzone potem w kolejnych wyborach – parlamentarnych w 2019 r. i prezydenckich w 2020 r.

PEPKI ŚWIATA

Wydaje się jednak, że nastroje społeczne znowu zaczynają się zmieniać. Coraz głośniej bowiem słychać o omni-potencji państwa, o rzekomo wysokich podatkach, o rozdętym socjalu, z którego zaradni ludzie muszą utrzymywać darmozjadów, albo o tym, że każdy powinien być kowalem swojego losu. Wszystkie te slogany cofają nas w czasie do początku lat 90., gdy wyposzczone komuną społeczeństwo ruszało do nierównego wyścigu po wielkie pieniądze. Wyścigu, którego zwycięzcami najczęściej byli zagrywający nieczysto cwaniacy. Komu się w Polsce marzy powrót do tamtych czasów?

To jasne, że przede wszystkim beneficjentom III RP, którzy zbudowali wtedy swoją pozycję i dziś czują się zagrożeni rządami PiS. Ale nie tylko. Wśród zwolenników nowej neoliberalnej fali jest całkiem dużo ludzi, którym ona – jeśli nadejdzie – obiektywnie zrujnuje życie. Mimo to podobnie jak pokolenie ich rodziców w latach 90. dają się zwieść opowieściom o eldorado, które czeka każdego, kto wykaże się zaradnością i nie będzie oglądał się na resztę. Nie dostrzegają przy tym, że ich pozycje startowe są znacznie gorsze niż tych, którzy im teraz mydlą oczy, i że w związku z tym nigdy żadnych wielkich pieniędzy nie zobaczą.

Ci spragnieni dobrego życia naiwniacy to przede wszystkim młodzi ludzie, którzy nie pamiętają brutalnych lat 90., bo większość z nich dopiero przyszła wtedy na świat. Dorastali w relatywnie dobrych warunkach, bo dzięki ciężkiej pracy

rodziców nigdy nie doświadczyli realnego ubóstwa. Wielu z nich wychowano w przekonaniu, że są pepkiem świata, że są najlepsi i wszystko im się należy, a od nich samych nie powinno się zbyt wiele wymagać. Wchodzili w dorosłość odseparowani od problemów, a często wręcz odizolowani od innych ludzi, bo wszędzie wożono ich samochodami, a ze światem kontaktowali się za pomocą internetu. Mentalne kaleki, które w zderzeniu z rzeczywistością okazały się bezradne i zaczęły poszukiwać winnych. Nie potrafili oni zaakceptować tego, że na sukces trzeba pracować latami, a i tak udaje się to tylko nielicznym.

Remedium na te udręki znajdowali najczęściej w mediach społecznościowych. U przeróżnych samowzwańców i niesłuchanie dziś popularnych trenerów stylu

To ideologiczne obsesje lewicy i antypisowski obłęd Tuska przyczyniły się do wzrostu siły Konfederacji. Sami ją sobie wyhodowali w nadziei, że uda się w ten sposób odsunąć PiS od władzy

życia, którzy utwierdzali ich w przekonaniu, że są najlepsi, a ich niepowodzenia są skutkiem cudzej nieudolności. Winne było państwo, które nie tylko nie doceniło genialności swoich obywateli, ale wręcz okradało ich z pieniędzy, przekazywanych potem życiowym niedojdom. Bo gdyby nasz mentalny kaleka został doceniony tak, jak w swoim mniemaniu na to zasługuje, i nie był „okradany”, to dziś byłby królem życia. Z tego powodu nienawidzi on państwa, podatków i wszelkiego socjalu.

W ten sposób został przygotowany grunt pod nową neoliberalną falę. Nowość polega na tym, że jej wyznawcą stał się roszczeniowy looser, tyle że swoje wymagania skierował on nie wobec państwa, ale przeciwko niemu. Jest egoistą, który nie chce się z nikim dzielić, bo wszystkim żąda dla siebie. Nie dostrzega przy

tym wielu zagrożeń, więc nie jest w stanie w pełni zrozumieć konsekwencji różnych – w tym także swoich – decyzji. A to właśnie od niego i jemu podobnych będzie zależać teraz przyszłość Polski.

KULT EGOIZMU

Opisanych wyżej wyborców można znaleźć wśród elektoratów wielu opozycyjnych partii, zwłaszcza tych, które w różnym zresztą stopniu odwołują się do neoliberalnych haseł. Bo to właśnie takie hasła, a nie ideologiczny antypisizm (obrona konstytucji, praworządności, walka z faszyzmem i tym podobne farmazony) najbardziej przyciągają młodych.

Wielu z nich swoje nadzieje pokłada w Konfederacji, której notowania poszły w ostatnim czasie mocno w górę. Z niedawnego sondażu Ogólnopolskiej Grupy Badawczej wynika, że aż 50 proc. mężczyzn w grupie wiekowej 18–39 lat zamierza głosować na ugrupowanie Mentzena, Bosaka i Brauna. Wśród młodych kobiet to poparcie jest niższe i wynosi 24 proc., ale i tak pozostaje relatywnie wysokie, choćby w porównaniu z Lewicą, która lubi przedstawiać się jako formacja walcząca o prawa kobiet. Ten akurat sondaż, w którym notowania Konfederacji są szczególnie wysokie, nie jest oczywiście żadną wyrocznią, ale podobne tendencje – choć przy nieco niższych wskaźnikach poparcia – pokazuje większość notowań.

Zatem trudno nie zauważyć, że za ostatnie wzrosty Konfederacji odpowiada głównie młody elektorat.

Tłumy młodych ludzi, głównie zresztą mężczyzn i starszych nastolatków, można było dostrzec na spotkaniach przy piwie, które organizował w całym kraju Sławomir Mentzen. Był to swoisty kult egoizmu, podczas którego zgromadzeni utwierdzali się w przekonaniu, że przyszłość należy do odważnych, przedsiębiorczych i sprytnych, a ci, którzy tego nie rozumieją lub mają jakieś skrupuły, szybko wypadną z gry. I nie należy ich żałować, bo sami są sobie winni.

Ulubionym słowem kluczem w języku Mentzena jest „racjonalizm”. Wszystko powinno być racjonalne – wydatki, potrzeby, decyzje. Racjonalne, czyli pozbawione niepotrzebnych złudzeń. Natura

jest przecież racjonalna – słabi giną, a silni pozostają przy życiu.

Tego rodzaju hasła padają dziś na podatny grunt szczególnie wśród młodego pokolenia. Naturalną cechą młodości jest bowiem optymistyczne przekonanie, że cały świat stoi otworem, wszystkie cele uda się zrealizować, a życie będzie trwało wiecznie. Ten obraz zakłóca niestety istnienie ludzi starych, chorych czy wykluczonych. Dlatego należy ich usunąć z widoku, by nie psuli młodym dobrego nastroju i nie utrudniali im realizacji wielkich życiowych planów. Pokolenie Konfederacji przywodzi więc trochę na myśl młodych hunwejbiniów budujących nowy świat, w którym liczy się wyłącznie młodość, zdrowie i siła. Nie ma w nim miejsca dla dawnych przesądów i jakichkolwiek słabości.

PROGRAM DLA IDIOTÓW

Przy czym przyszłość, którą chcą budować, jest podobnie jak u hunwejbiniów bardzo okrutna. Sprzeciwiają się wydatkom publicznym, bo uważają, że ich samych – jeśli nie będą płacić podatków – będzie na wszystko stać. Sami opłacają sobie prywatną emeryturę, edukację dzieciom, zapewnią swojej rodzinie bezpieczeństwo i na dodatek sfinansują z własnej kieszeni leczenie. A jeżeli kogoś na to wszystko nie będzie stać, to cóż – wylatuje na margines. Takie są reguły gry.

Najbardziej zabawne (i przerażające zarazem) jest jednak to, że ludzie, którzy uwielbiają powtarzać za Sławomirem Mentzenem, że świat musi być racjonalny, sami tą racjonalnością nie grzeszą. Tak jest choćby w przypadku proponowanego przez Konfederację bonu zdrowotnego, dzięki któremu obywatele mogliby opłacać leczenie. Problem w tym, że wartość tego bonu miałaby wynosić nieco ponad 4 tys. zł rocznie na osobę. Za te pieniądze można wyleczyć się co najwyżej z kataru. Przykładowo bowiem leczenie onkologiczne jednego pacjenta może wynieść ponad 0,5 mln zł.

Podobnie jest z podatkami. Konfederacja mówi o bezpiecznym państwie, ale wielu jej wyborców najwyraźniej jakoś nie widzi związku między wysokością podatków a silną armią. Czy nawet zwykłym bezpieczeństwem na ulicach.

Niechęć do zrzucania się na usługi publiczne można byłoby jeszcze jakoś

zrozumieć, gdyby elektorat Konfederacji składał się wyłącznie z multimilionerów, których na wszystko stać. W rzeczywistości są to jednak ludzie niezbyt zamożni, młodzi wchodzący w dorosłe życie, przedsiębiorcy z trudem wiążący koniec z końcem. Im się jednak zdaje, że – jak tylko przestaną płacić podatki – to przy swoich dochodach zapewnią sobie bezpieczeństwo, stabilność i dostatnie życie. A resztę załatwi wolny rynek.

Naprawdę niebywała jest ta naiwna wiara w rynek. Przy tak ogromnych różnicach zasobów i przy otwartym przepływie kapitałów ich wszystkie biznesy mogą w każdej chwili zostać zmiecione przez wielkie korporacje. Powinni raczej domagać się większej regulacji, a nie więcej wolnego rynku, na którym zawsze wygra silniejszy od nich i bogatszy.

Janusz Korwin-Mikke powiedział niedawno z rozbijającą szczerością, że program jego ugrupowania jest pisany dla idiotów. „My chcemy walczyć o 15 proc., no i musimy mieć 10 razy więcej głosów idiotów. Wpisuje się do programu to, co idiota zrozumie [...]”. Ten program służy do zdobycia głosów wyborców, a nie do realizacji” – zdradził nestor Konfederacji.

KTO MIECZEM WOJUJE

Oczywiście twierdzenie, że jedynie prostackie neoliberalne hasła przyciągają wyborców do Konfederacji, byłoby nadmiernym uproszczeniem. Gdyby chodziło tylko o to, to pewnie znaczna ich część zadowoliliby się popieraniem Tuska, który – co warto zauważyć – jest w najwyższym stopniu odpowiedzialny za sprowadzenie debaty publicznej do tak prymitywnego poziomu. Tusk też przecież nieustannie piętnuje „rozdawnictwo” rządu PiS, a zwolenników tej partii nazywa ludźmi, którzy „chleją, biją swoje dzieci, biją kobiety i pracą się nie zhańbili”. Już bardzo niewiele dzieli go od nazywania wyborców PiS sk...wysynami.

Jednak ten antypisowski obłęd Tuska działa odstrasza na część elektoratu. Wielu, zwłaszcza młodych wyborców, nie zamierza uczestniczyć w wojnie Tuska, bo irytują ich niekończące się spory toczone przez pokolenie ich rodziców albo nawet dziadków. A Mentzen mówiący, że PiS i PO to takie samo zło, doskonale trafia

w ich postrzeganie świata. Szukają więc trzeciej drogi. Nie okazał się nią Szymon Hołownia, bo został wyjęty z kapelusza TVN i jest postrzegany jako część starego establishmentu. Konfederacja nie była lansowana w mediach (poza internetem, gdzie króluje od dawna) i to buduje jej wiarygodność w oczach młodych ludzi. A rosnące poparcie w sondażach przyciąga do niej na zasadzie śnieżnej kuli kolejnych wyborców.

Innymi czynnikami zwiększającymi popularność Konfederacji są kwestie imigracji oraz obaw przed agresją liberalnej lewicy. Wyborcy Konfederacji obawiają się wielokulturowości, bo widzą jej skutki na ulicach miast Europy Zachodniej. Nie zamierzają też ponosić kosztów Europejskiego Zielonego Ładu i nie akceptują wprowadzanego pod przymusem tęczowego szaleństwa. Wbrew temu, co wypisują o nich liberalne media, nie są w większości homofobiczni, sprzeciwiają się jednak naruszaniu prywatności oraz zagłądaniu przez lewicę do domów i sypialni obywateli.

Takie poglądy nie ograniczają się wyłącznie do Konfederacji. W mniejszym lub większym stopniu podziela je co najmniej połowa Polaków, w tym zdecydowana większość wyborców PiS, jednak teraz – za sprawą wzmacniającej się Konfederacji – będą jeszcze silniej rezonować w społeczeństwie. I nie da się ich już przykryć belkotem o złych pisowcach, bo przecież Konfederacja jest antypisowska.

Można – nieco rzecz upraszczając – powiedzieć, że to właśnie ideologiczne obsesje lewicy, podobnie zresztą jak antypisowski obłęd Tuska, przyczyniły się do takiego wzrostu siły Konfederacji. Sami ją sobie wyhodowali w nadziei, że uda się w ten sposób odsunąć PiS od władzy. Może się uda, a może nie uda, ale koszty tej operacji na pewno okazały się bolesne również dla partii Tuska i lewicy, bo nawet w szeroko rozumianym elektoracie antypisowskim, wskaźnik postępowości nie jest – jak pokazują badania – zbyt wysoki i można go rozpatrywać raczej w kategoriach obecnej mody, a nie realnego światopoglądu. To zaś oznacza, że rosnąca w siłę Konfederacja może nieoczekiwanie okazać się atrakcyjna także dla części obecnego elektoratu Tuska i jego przystawek. No cóż, kto mieczem wojuje, ten od miecza może zginąć.

Sąd nie dał żadnej szansy Marice

Marika M. już na starcie nie miała żadnych szans w zderzeniu z sądową machiną. Spędziła rok w więzieniu tylko za to, że próbowała wyrwać tęczową torbę z dłoni innej osoby. Sąd nie miał litości. W publicystycznym uzasadnieniu wyroku, do którego dotarliśmy, aż roi się od politycznych sentencji. Jasno widać, że Marikę skazano za poglądy, a nie uliczną szarpaninę



WOJCIECH BIEDROŃ



Prokurator generalny Zbigniew Ziobro zdecydował, że kara wobec Mariki zostanie zawieszona do czasu decyzji prezydenta o ewentualnym jej ulaskawieniu. Na razie kobieta jest wolna

10 sierpnia 2020 r. był w Poznaniu bardzo gorący. Temperatura sięgała 30 st. C, gdy Marika M., studentka, która nazywała siebie nacjonalistką, wspólnie ze swoim 17-letnim kolegą oglądali marsz LGBT+, który sunął ulicami stolicy Wielkopolski. Upał, zwykła

głupota i ideologiczne zacietrzewienie musiały zrobić swoje. W pewnym momencie Marika podchodzi do młodej dziewczyny. Obraża ją i próbuje wyrwać tęczową torbę. Uliczne zamieszanie trwa tylko chwilę. Marice nie udaje się wyrwać torby. Później wyjaśni przed sądem, że zrobiła błąd, głupotę,

że żałuje, że chciała torbę zniszczyć, a nie przywłaszczyć. Wszystko na nic. Za usiłowanie rozboju sąd skazuje ją na bezwzględną karę trzech lat pozbawienia wolności. Młoda kobieta spędza rok w więzieniu.

Prokurator generalny zdecydował, że kara zostanie zawieszona do czasu decyzji prezydenta o ewentualnym ulaskawieniu Mariki. Na razie kobieta jest wolna. Chce wrócić do normalnego życia, skończyć studia. Wie, że musi odpowiedzieć za swój czyn, a rok więzienia skutecznie oduczył ją ulicznych awantur.

SZOKUJĄCE UZASADNIENIE

Dotarliśmy do pisemnego uzasadnienia wyroku poznańskiego sądu na Marię M. Dokument czyta się niczym zapis inkwizytorskiego wyroku sprzed wieków, a nie rozsądnego rozstrzygnięcia prawnego, które dotyczy zagubionej, młodej kobiety. Poraża też jednostronność przekazu uzasadnienia i polityczna publicystyka sędzi Agnieszki Cabrery-Kasprzak. Za swój czyn Marię M. zapłaciła już rocznym pobytem za kratami. Fakt, że zawiniła i powinna ponieść karę, nie podlega dyskusji. Szokuje jednak polityczny wydźwięk tej sprawy.

Analizując uzasadnienie sędzi Agnieszki Cabrery-Kasprzak, nie ma się najmniejszych wątpliwości, że Marię M. musiała poleć w bitwie ze skrajnie polityczną i bezwzględną machiną sądową.

Sąd nie dał wiary w niemal żadne słowo czy zapewnienie Mariki M. Uznał, że była najbardziej agresywną z osób uczestniczących w zajściu, do którego doszło 10 sierpnia 2020 r. w Poznaniu. To wtedy Marię M. wspólnie z Michałem O. próbowała wyrwać z ręki Patrycji M. tęczową torbę. Marice M. nie udało się odebrać symbolu LGBT+, ale i tak oskarżono ją o usiłowanie rozboju. Sąd udał, że nie interesuje go wątek dotyczący faktu, że o żadnym przywłaszczeniu nie może być mowy. „Oskarżeni, uświadamiając sobie, że nie zrealizują zamierzonego celu [...], puścili torbę [...]”. Powyższe

zachowanie realizuje znamiona usiłowania rozboju. Oskarżeni usiłowali bowiem dokonać przywłaszczenia cudzej torby niezależnie od tego, co zamierzali z tą torbą zrobić i jaką wartość dla nich przedstawia” – czytamy w uzasadnieniu wyroku na Marię M. „Bez znaczenia dla rozstrzygnięcia niniejszej sprawy pozostaje fakt, że oskarżeni nie chcieli niejako wzbogacić się, dokonując zaboru torby, a co podkreślali w swoich wyjaśnieniach” – pisze sędzia Agnieszka Cabrera-Kasprzak.

Tymczasem, by mówić o rozboju, muszą być spełnione dwie przesłanki: musi zajść przemoc i przywłaszczenie danej rzeczy. W tym przypadku o przywłaszczeniu mowy być nie może. W pełni zasadne jest więc sko-

Dotarliśmy do pisemnego uzasadnienia wyroku poznańskiego sądu na Marię M. Dokument czyta się niczym zapis inkwizytorskiego wyroku sprzed wieków, a nie rozsądnego rozstrzygnięcia prawnego, które dotyczy zagubionej, młodej kobiety

rzystanie z art. 283 Kodeksu karnego, który w kontekście rozboju (do niego nie doszło) mówi o wypadku mniejszej wagi. Tak, sprawa Mariki ma właśnie charakter mniejszej wagi. Dlaczego sąd nie skorzystał z powyższych zapisów?

JĘZYK NIENAWIŚCI?

Odpowiedzi na powyższe pytanie warto poszukać w uzasadnieniu sądu, który przyjął, że ma do czynienia z groźnymi i zdemoralizowanymi osobami (21-letnia studentka i 17-letni chłopiec!). Skąd ta teza? Sąd uwierzył, że Marię M. była w trakcie próby wyrwania tęczowej torby „uśmiechnięta”.

„Powyższe świadczy zaś o ewidentnym braku skruchy z ich strony i lekceważeniu obowiązujących norm prawnych i społecznych, które zdaniem sądu stanowią konsekwencje przyjętej przez nich postawy braku szacunku i pogardy wobec innych osób. Oskarżeni są osobami bardzo młodymi, dopiero wchodzącymi w dorosłe życie. Przejawiają jednak skłonności do agresywnego zachowania, by bronić poglądów przez siebie głoszonych. Poza tym głoszone przez nich poglądy są przesycane językiem nienawiści oraz chęcią zlikwidowania mniejszości, w tym mniejszości seksualnych w Polsce” – czytamy w uzasadnieniu poznańskiego sądu.

Powyższy fragment dobitnie świadczy o tym, że Marię i jej kolegę skazano z pobudek politycznych. Mało tego – z uzasadnienia jasno wynika, że sędzia nie skupiła się jedynie na fakcie próby wyrwania tęczowej torby, ale ukarała młodych ludzi za coś, czego nie było w akcie oskarżenia – za poglądy polityczne. Inne fragmenty uzasadniania zdradzają, że sędzia Agnieszka Cabrera-Kasprzak bardzo dokładnie prześledziła życie Mariki M. i wypracowała sobie subiektywny i ideologiczny pogląd o oskarżonej. Temida powinna być ślepa? Tak, ale nie w tym przypadku.

CEL WYCHOWAWCZY?

Okazuje się, drakońska kara trzech lat pozbawienia wolności dla sędzi Cabrery-Kasprzak ma „realizować cel wychowawczy”. Od razu przypominają się metody wychowawcze w krajach autorytarnych. „Taka postawa społeczna nie jest dopuszczalna w demokratycznym państwie prawa. Jakkolwiek każdy ma prawo głosić poglądy przez siebie obrane, brak jest przyzwolenia na atak i nienawiść wobec innych grup społecznych. W tym sensie reakcja karnoprawna na czyn przypisany oskarżonym winna być adekwatna i odpowiednio realizować cel wychowawczy, bowiem oskarżeni muszą zrozumieć, że nie jest możliwe działanie w duchu patriotycznym po-

przez agresję i przemoc” – przekonuje sędzia w swoim uzasadnieniu. „Państwo może rozwijać się zaś dzięki ich intelektowi, pracy i pozytywnej postawie społecznej. Sąd dał temu wyraz, orzekając w niniejszej sprawie z założeniem, że kara wymierzona oskarżonym będzie oddziaływać na nich wychowawczo” – stwierdza sędzia Agnieszka Cabrera-Kasprzak.

„Oskarżona przyjmuje postawę społeczną, w której kategoryzuje ludzi według orientacji seksualnej, rasy, narodowości i według tych kategorii ich ocenia. Sama ewidentnie odczuwa swoją wyższość nad osobami należącymi do mniejszości i atakuje ich, by realizować przyjęte przez siebie założenia. Te są społecznie niebezpieczne i ocierają się o ideologie totalitarne, które to w XX w. doprowadziły do masowej zagłady Żydów [...]. Jako że oskarżeni są osobami wyjątkowo młodymi, w rozumieniu prawa karnego są młodocianymi, kara winna oddziaływać na nich wychowawczo” – przekonuje sędzia.

Rodzi się pytanie, czy kara trzech lat pozbawienia wolności, orzeczona nigdy niekaranej 21-latce, to metoda wychowawcza? Dlaczego sędzia porusza kwestie zagłady Żydów? Dlaczego przekonuje, że Marika odczuwa jakąkolwiek wyższość? Przecież te kwestie w żaden sposób nie dotyczą zgromadzonego materiału dowodowego. Wychodzą dalece poza czyn, którego dopuściła się oskarżona!

RÓŻNE OKOLICZNOŚCI

Warto też rzucić okiem na część uzasadnienia dotyczącą samej kary trzech lat pozbawienia wolności. Sąd przyznaje, że wcześniejsza niekaralność Mariki M. jest wprawdzie okolicznością łagodzącą, ale... „Okoliczności tej nie można jednak przeceniać wobec tytułu okoliczności obciążających oskarżoną” – pisze sędzia, dla której większość powodów ją obciążających to w istocie poglądy polityczne.

„W ocenie sądu jedynie bezwzględna kara pozbawienia wolności stanowi adekwatną reakcję na popełniony przez oskarżoną czyn i jest w stanie zmusić ją do krytycznej oceny swojego zachowania. Taka kara spełniać

będzie cele prewencji ogólnej” – czytamy w uzasadnieniu wyroku.

Wyrok na Marię M. stał się już symbolem ideologicznej krucjaty kasty sędziowskiej. Przy okazji pojawia się mnóstwo kłamstw na ten temat. Skazana dziewczyna oczywiście zasługuje na karę. Warto jednak wspomnieć, że szczerze żałowała, iż dopuściła się ataku na inną kobietę. Przekonywała na sali sądowej, że nigdy już nie doprowadzi do takiej sytuacji. Sąd jej nie uwierzył, nie wykazał się minimum dobrej woli. Wszystko z troski o efekt wychowawczy.

POWAŻNE WĄTPLIWOŚCI

Dobrym komentarzem do tej sprawy są słowa zastępcy prokuratora generalnego Roberta Hernanda. Przedstawił oni kilka dużo bardziej drastycznych przykładów, które zostały potraktowane przez sądy wyjątkowo pobrażliwie. – Ten wyrok z uwagi na samo zachowanie oskarżonych, gdzie istniały bardzo poważne wątpliwości co do popełnienia przestępstwa rozboju, wyrażona skrucha, wiek oskarżonych, powinny skłonić sąd do analizy ustaleń faktycznych, by mógł zastosować przypadek mniejszej wagi, który pozwalał wymierzyć karę znacznie łagodniejszą – przekonywał prokurator Hernand.

Jeszcze mocniej skomentował sprawę Zbigniew Ziobro, prokurator generalny. – Taka praktyka działania części sędziów szkodzi polskiemu sądownictwu. Jeśli Polacy widzą tego rodzaju przykłady wielkiego nasilenia agresji i napaści dyktowanych motywami politycznymi i brak reakcji sądów na takie zachowania, a obserwują też niezwykle surowe traktowanie osób z drugiej, skrajnej strony sceny politycznej, osób prezentujących skrajne poglądy narodowe, których nie podzielam, i nie są to poglądy, z którymi kiedykolwiek się utożsamiałem, nie mogę zgodzić się na to, by jednych karać bardzo surowo, a drugich uniewinniać, umarzać i odmawiać postępowań – mówił Zbigniew Ziobro.

SĄDY ŁAGODNE

Okazuje się, że w sprawach o podobnym charakterze, ale dużo gwałtowniejszych

i o groźniejszych skutkach polskie sądy są o wiele bardziej łagodne. W styczniu 2020 r. warszawski sąd skazał mężczyznę, który dopuścił się rozboju na karę jednego roku więzienia, ale w zawieszeniu. Sprawca został skazany za wyrwanie z dłoni innej osoby flagi biało-czerwonej. Napastnik uderzył też swoją ofiarę w twarz. Sąd uznał, że kara w zawieszeniu jest wystarczająco dotkliwa. W innym przypadku sąd skazał dwóch bandytów, którzy pobili i okradli z portfela swoją ofiarę, na prace społeczne. Marię M. można było potraktować w podobny sposób.

„Sąd nie potraktował czynu jako przypadku mniejszej wagi w rozumieniu art. 283 kk, co zmniejszyłoby potencjalną karę – zamiast kary pozbawienia wolności od 2 do 12 lat, Marika mogłaby zostać skazana na karę pozbawienia wolności od 3 miesięcy do 5 lat. Sąd mógłby wtedy nawet orzec karę wolnościową na podstawie art. 37a kk, w tym karę ograniczenia wolności nie niższą od 3 miesięcy z obowiązkiem wykonywania prac społecznych albo grzywnę nie niższą niż od 100 stawek dziennych” – czytamy w opinii prawnej autorstwa Jerzego Kwaśniewskiego, adwokata z Ordo Iuris.

MARIKA PROSI O ŁASKĘ

Nie mam wątpliwości, że ta młoda kobieta popełniła błąd i powinna zostać za to ukarana. Ale czy trzy lata więzienia za to, że się próbowało komuś wyrwać tęczową torbę z ręki, jest wyrokiem właściwym, sprawiedliwym i godnym zaufania? Nie. Ten wyrok nie ma nic wspólnego ze sprawiedliwością. Wie o tym sama skazana. – Ponad rok spędziłam w zakładzie karnym po tym niesprawiedliwym wyroku. Ten czas pozwolił mi na głęboką refleksję nad moim zachowaniem. [...] Moim największym pragnieniem jest możliwość powrotu do normalnego życia. Chciałabym wrócić na studia, które przerwałam ze względu na mój pobyt w więzieniu. Planuję założyć rodzinę. Chcę też podjąć pracę i wesprzeć rodziców, którzy tego potrzebują. Dlatego zwracam się do pana prezydenta z prośbą o moje ułaskawienie – apeluje Marika.

Chcą nas złamać

W polskim obozie patriotycznym panuje przekonanie, że Polska zawsze musi grać wspólnie z prawicą w innych krajach. To błąd – choćby w sprawie migracji mamy zupełnie inne interesy niż prawica włoska, hiszpańska czy szwedzka, które chcą się tym problemem z nami podzielić. I popierają pomysł przymusowej relokacji

**Michał Karnowski rozmawia z *Ryszardem Czarneckim*,
posłem do Parlamentu Europejskiego, politykiem Prawa i Sprawiedliwości**

*Kilka tygodni temu premier Mateusz Morawiecki opublikował w internecie spot, zresztą zauważony w wielu państwach Europy, w którym zesta-
wił płonącą od zamieszek Francję
ze spokojną Polską. Pan zna świat – czy to jest przekaz przerysowany, czy rzeczywisty wybór, przed którym stoimy?*

Ryszard Czarnecki: W czasie tych wydarzeń byłem we Francji na ważnej konferencji z udziałem byłych prezydentów, premierów, szefów dyplomacji. Konferencja zaplanowana w Paryżu musiała być przeniesiona do miasteczka pod francuską stolicę, które – by wydarzenie mogło się odbyć – musiało zostać całkowicie zamknięte. Na co dzień pracuję w Brukseli, gdzie co kilka miesięcy dochodzi do podobnych zamieszek, demolowania miasta, palenia samochodów. Teraz zresztą też to nastąpiło w ramach specyficznej solidarności. Tu ciekawostka: płoną także samochody podpalaczy, wcześniej solidnie ubezpieczone. Także w tym szaleństwie bywa i metoda. Ale oczywiście to nie zmienia faktu, że wybór cywilizacyjny jest jasny: możemy takie problemy sobie importować albo ich uniknąć. Możemy mieć u nas antycywilizację lub pozostać przy cywilizacji.

To będzie wybór tylko polityczny?

Oczywiście nie, także kulturowy. Widzimy, że nasz kraj się starzeje, a poko-

lenie moich dzieci niespecjalnie chce wchodzić w rolę, które dla nas były oczywiste: odpowiedzialnych rodziców. Bardzo niepokoi to narastające poczucie zmęczenia Europy, która jakby nie chciała już za bardzo żyć, odrzuca bezmyślnie i dekadenccko całe chrześcijańskie dziedzictwo. To droga do katastrofy, do momentu, który francuski publicysta i polityk Éric Zemmour nazwał znalezieniem się na skraju wojny domowej. Nie uważam go za polityka skutecznego i zawsze mającego rację, ale znalazł trafne określenie.

W europejskiej prasie lewicowej, choćby w brytyjskim „The Guardian”, czytam, że widzimy skutki wieloletniego tolerowania brutalności policji, że to społeczeństwo jest winne, Francja jest winna, a nie organizatorzy zamieszek. Ich gniew ma być słuszny.

Obserwujemy próby narzucenia takiej narracji i zrobienia z zastrzelonego przez policję chłopaka bohatera, tak jak w USA opisano przypadek George'a Floyda. Pomija się fakt, że policja francuska nie ściga nastolatków, którzy robią jakąś głupotę, ale młodych mężczyzn, którzy mają bogaty rejestr przestępczy, od handlu narkotykami po rozboje. Nie, to nie Francja jest tutaj winna. Powiedziałbym, że Francja jest atakowana. A jeszcze szerzej – podstawy naszej cywilizacji.

Obala się pomniki w Stanach Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, a ostatnio w Belgii. Przypomina to czasy rewolucji kulturalnej w Chinach, gdzie wściekle tłumy inspirowane przez władze wydawały wyroki na zabytki przeszłości i współcześnie żyjących ludzi uznanych za wrogów postępu.

Myśl lewicowa ewoluuje, idzie coraz dalej. Ekstremizm wszedł na salony. Głosi się obecnie tezy, że możemy zmienić płęć na pstryknięcie palcem, że ochrona granic państwowych jest bezprawna, że każdy bezdomny może zamieszkać w twoim domu, bo jego godność stoi wyżej od twojego prawa własności. I nie widząc na razie chyba znaków, by ten proces miał się zatrzymać.

Wielu starszych Belgów i Francuzów mówi po cichu, że nie czuje się w swoich ojczyznach bezpiecznie i komfortowo. Nie chodzi tylko o bezpieczeństwo fizyczne, ale o poczucie braku identyfikacji z tym światem, który jest w coraz większym stopniu tworzony przez imigrantów z krajów dalekich kulturowo. Francuskość czy belgijskość, ale przecież także szwedzkość, włoskość są wypłukiwane. Dlatego wielu emerytów z tych krajów wyjeżdża do Ameryki, Kanady, jak mają szczęście to do swoich dzieci. Sygnałów, by powodowało to otrzeźwienie wśród rządzących elit, politycznych i medialnych, nie dostrzegam. Na-



Fot. Andrzej Wilko

dzieje niesie fala politycznych zmian w Europie, wynikających ze zmęczenia ludzi kierunkiem, w którym są prowadzone ich państwa.

Np. Włochy?

Tak, też w Finlandii i Szwecji. W naszym regionie mamy Polskę, Czechy, Węgry. Potencjał jest, ale sama zmiana partii rządzących to za mało. Jeżeli politycy prawicy po prostu będą urzędniczyć, efekt będzie niewielki.

Żeby zmiana była realna, muszą być to rządy wyrażające się nową treścią, muszą wdrażać alternatywny sposób rozwoju, podejścia do państw narodowych, do brukselskiej biurokracji, do szeroko pojętej kultury. Są w Europie przykłady partii, które wygrywały jako formacje konserwatywnej zmiany, a potem składały na ołtarzu świętego spokoju kwestie suwerenności, ochrony życia czy przyzwolenia na korupcję we własnych szeregach.

W tym kontekście często słyszę tezę, że z punktu widzenia establishmentu brukselsko-berlińskiego mają jeszcze kilkanaście miesięcy na domknięcie systemu, pchnięcie UE w kierunku centralistycznym. Potem, ze względu na możliwe wspomniane zmiany w wielu państwach, może być to nierealne. Stąd ma się brać taka presja na zmianę rządu w Warszawie. Zgadza się pan z tą tezą?

Tak, od pewnego czasu widać tam dużą nerwowość. Spójrzmy na to wszystko z pewnego dystansu. Za nami ciężka pandemia, agresja Rosji na Ukrainę, związany z tym kryzys inflacyjny i energetyczny. To nakazywałoby zwieranie szeregów, uspokojenie sytuacji, łagodzenie konfliktów. Tak postępowałyby odpowiedzialne władze UE. A co one robią?

Utrzymują faktyczne sankcje na Polskę, kraj frontowy, kluczowy dla przetrwania Ukrainy.

Bo chcą nas złamać, by móc jeszcze mocniej dokręcić śrubę centralizacji Europy z jednej strony i fanatyzmu klimatycznego z drugiej. Chodzi o to, że jeżeli prawica w Europie w przyszłości wygra i będzie chciała przesunąć sprawy w kierunku zdroworozsądkowym, to będzie to możliwe tylko w minimalnym stopniu, bo oni nas pchną wcześniej na skrajne lewo. Innym motorem kursu na przykręcanie eurośrub Brukseli jest przykład Włoch, gdzie okazało się, że ugrupowania kiedyś opisywane jako skrajne mogą dobrze rządzić. Dziś wzrost gospodarczy Włoch jest większy niż Francji i Niemiec. Prezydent Francji Emmanuel Macron patrzy na Giorgię Meloni i przypomina sobie, że sam ma pod bokiem Marine Le Pen. Nie jest to może „kopiuj-wklej”, Meloni nie ma tyłu trupów w szafie, ale jak widać, wszystko jest możliwe.

Dlatego pilnie potrzebują odwrótnego sygnału: obalenia rządu Zjednoczonej Prawicy w Warszawie. Po to przysłali tu Tuska.

Bardzo wiele krajów patrzy na Polskę i oczekuje z niepokojem na wyniki wyborów. Nie tylko z naszej rodziny

politycznej. Niedawno rozmawiałem z ważnym politykiem Europejskiej Partii Ludowej, który jednoznacznie mi mówił, że trzyma kciuki za obóz Jarosława Kaczyńskiego. Uważa, że z punktu widzenia całej naszej flanki środkowoeuropejskiej obecne rządy pełnią niezwykle pozytywną rolę, organizują cały region, odważnie biorą przywództwo. Gdyby stery przejęli politycy oglądający się tylko na Berlin, wszystko pogrzyżyłoby się w marazmie.

Środowiska „realistyczne” w naszym kraju często nazywają to frajerstwem. Pytają: po co się wychylamy, po co zawsze my stawiamy się Berlinowi, Brukseli, walczymy o interes regionu, zdrowy rozsądek. Co z tego mamy? Tylko kary.

To pogląd tyleż efektywny, co bzdurny. W 2015 r. najpierw wspólnie z Węgrami i Czechami, a potem już tylko Węgrami, sprzeciwiliśmy się propozycji przymusowej relokacji. Nikt nie wierzył, że to się uda, ale daliśmy radę, zyskaliśmy kilka cennych lat. Chyba się opłacało, bo gdyby nie tamte działania, dziś moglibyśmy mieć setki tysięcy przesiedlonych przymusowo migrantów. Jak widać, dwa kamienie mogą zmienić bieg lawiny. Teraz znowu idzie o to walka. I tu ważna uwaga: w polskim obozie patriotycznym panuje przekonanie, że Polska zawsze musi grać wspólnie z prawicą w innych krajach. To błąd – choćby w sprawie migracji mamy zupełnie inne interesy niż prawica włoska, hiszpańska czy szwedzka, które chcą się tym problemem z nami podzielić. I popierają pomysł przymusowej relokacji.

No właśnie, przymusowej czy nieprzymusowej? Pani komisarz Ylva Johansson zapewnienia, że przymusu nie będzie, będzie można zapłacić.

Czyli przymus. Mówimy przecież o ogromnych pieniądzach. Te narzucane kontyngenty mogą osiągnąć nieograniczone wymiary. Za tym pójdzie prawo łączenia rodzin. Co dalej, można sobie wyobrazić. Albo wiedzieć, że Finlandia w 1990 r. przyjęła grupkę 100 Somalijczyków. Dziś mieszka tam



Fot. Andrzej Wiktor

UE chce odsyłać migrantów do państw, przez których granicę przeszli. Nie wiadomo, jak daleko ma to sięgać wstecz, ale można sobie np. wyobrazić, że odeślą nam 90 tys. Czeczenów, którzy przeszli przez Polskę w drodze na Zachód. To są szokujące projekty

30 tys. Somalijczyków. Powody? Duża rozrodczość i akcja łączenia rodzin.

Co dalej z przymusową relokacją? Premierowi Morawieckiemu i premierowi Orbánowi udało się to na razie zablokować w Radzie Europejskiej. Na jak długo?

Oni nie odpuszczają. Teraz temat ma trafić do Parlamentu Europejskiego. Znając skrajnie lewicowe nastawienie większości, można założyć, że projekt zostanie jeszcze podkreślony. Jako posłowie reprezentujący PiS będziemy się temu z całych sił przeciwstawiali. I tu ważna uwaga. W ogóle się w Polsce nie mówi o tym, że w tym projekcie są zawarte rozwiązania deportacji tych

migrantów, którzy np. skierowani do Polski chcieliby z niej wyjechać tam, gdzie mają już wielu swoich ziomków i w ich ocenie też łatwiej żyć. Mamy ich trzymać siłą? Pod strażą? UE chce też odsyłać migrantów do państw, przez których granicę przeszli. Nie wiadomo, jak daleko ma to sięgać wstecz, ale można sobie np. wyobrazić, że odeślą nam 90 tys. Czeczenów, którzy przeszli przez Polskę w drodze na Zachód. To są szokujące projekty, jakby wracał handel ludźmi.

Czy wspomniana już w tej rozmowie Gorgia Meloni rozczarowała Polskę?

Sam ją bardzo lubię, sam dwa lata temu zgłosiłem ją na szefową Partii Europejskich Konserwatystów i Reformatorów. Świetnie przemawia. Wiele nas łączy, ale w sprawie migracji zgłosowała inaczej, bo dla Włoch koncepcja podzielenia się nadmiarem migrantów jest dobra. Poza tym pamiętajmy o bardzo trudnej finansowej sytuacji tego państwa, gigantyczny poziom zadłużenia powoduje dużą wrażliwość na brukselsko-niemieckie presje i naciski.

Ciekawe głosy dochodzą do nas z Francji. Część elit zaczyna sobie uświadamiać, że Niemcy ich ogrywają zarówno w Europie, jak i na ziemi francuskiej, że opłotły wszystko siecią fundacji, stypendiów, grantów, co

czyni ich siłę bardzo skuteczną. Pan też to dostrzega?

Tak. To jest dość oczywista reakcja na coraz bardziej beczelne próby wypchnięcia Francji z jej obecnej roli przez Niemcy. Francuzi widzą to, o czym pan wspominał. Dostrzegają też np. istotę propozycji padających z ust polityków niemieckich, by Francja oddała swoje miejsce w Radzie Bezpieczeństwa ONZ Unii Europejskiej. Czytaj – Niemcom, bo przecież to oni by decydowali o tym, jak będzie ono użyte. We Francji wywołało to burzę, temat na chwilę ucichł, ale pozostaje długofalowym celem Berlina. Zapytałem o to ostatnio ważnego polityka SPD, obecnie wchodzącej w skład niemieckiej koalicji rządzącej. Odpowiedział mi: „Ależ to oczywiste!”.

Jak to argumentują?

Tym, że po brexicie Europa utraciła miejsce zajmowane w Radzie Bezpieczeństwa ONZ przez Wielką Brytanię, zatem to, które zostało, powinno stać się wspólnym. Dużo złej krwi zrobiły też ujawnione ostatnio informacje o tym, jak finansowane przez Niemców fundacje atakowały francuską energię atomową. Fakt, że w listopadzie ub.r. po raz pierwszy w historii odwołano szczyt niemiecko-francuski, jest sygnałem na to, że tam bardzo iskrzy. Co ciekawe, do dziś nie podano nowej daty. Wniosek dla Polski z tego taki, że w pewnych sprawach Niemcy i Francja będą na kursie kolizyjnym, co otwiera pewne nowe możliwości.

Zatrzymajmy się jeszcze na chwilę przy relacjach polsko-amerykańskich. Z jednej strony bliska współpraca na tle pomocy Ukrainie, wybór partnerów amerykańskich w projekcie budowy elektrowni atomowych, wizyta premiera Morawieckiego w Białym Domu i tam ciepłe spotkanie z wiceprezydent Harris. W trakcie konferencji prasowej ani słowa zarzutu wobec Warszawy, podkreślenie wspólnej troski o wartości demokratyczne. Z drugiej ambasador Stanów Zjednoczonych w Warszawie Mark Brzezinski zachowuje się, co opisaliśmy niedawno w „Sieci”, jakby chciał tu poprowadzić jakąś lewicowo-opozycyjną rewolucję. Rozdwojenie jaźni?

Powiem tak: gdyby tak robił ambasador niemiecki, a nawet jakiegokolwiek innego kraju, byłaby afera, oburzenie, bo wykroczenie poza rolę dyplomatyczną jest ewidentne. Skoro to robi przedstawiciel USA, to ze względu na tradycyjną polską proamerykańskość plus bliską współpracę wojskową próbuje się to przemilczać. Problem istnieje i dobrze, że tygodnik „Sieci” w bardzo spokojnym, dobrze udokumentowanym artykule zwrócił na niego uwagę. Prawdziwa przyjaźń prawdy się nie boi.

Niepokoï, że część środowisk wspierających Donalda Trumpa opowiada się przeciw wspieraniu Ukrainy, lekceważy rosyjskie zagrożenie. To może mieć realne przełożenie?

Także Ameryka nie jest impregnowana na zmęczenie wojną. Zmiana atmosfery nie jest oczywiście wykluczona. Padają różne, często niemądre wypowiedzi, w czasie kampanii będzie ich jeszcze więcej. Nie przykładałbym jednak do tych słów na razie zbytnej wagi. Dużo ważniejsze są konkrety – budżet USA na 2024 r., zakładający kontynuację pomocy dla Ukrainy, realne dostawy broni, wszelkiej pomocy. W tej sprawie Ameryka na razie nie zawiodła i wierzę, że nie zawiedzie.

Na koniec – jak pan widzi wyborczą perspektywę Zjednoczonej Prawicy?

Trzecia kadencja jest możliwa. Paradoks polega na tym, że jesienią ub.r., kiedy mieliśmy nie najlepsze sondaże i niepewną zimę, z problemem inflacyjnym, energetycznym i węglowym, bardzo się obawialiśmy, iż otworzy ona drogę do władzy dla Tuska. Z tym wszystkim sobie poradziliśmy, przetrwaliśmy ten trudny czas. Okazało się, że węgiel był, ceny prądu zatrzymaliśmy, PO znowu przestrelila z tą swoją propagandą klęski. Poczucie pewnej słabości pojawiło się wiosną. Okazało się, że trzeba z siebie dać jeszcze więcej, zmierzyć się z hejtem opozycji, niezwykle brutalnymi atakami. Ale jestem przekonany, że i tu sobie poradzimy. Możliwe są różne scenariusze: jakieś koalicje, nasz rząd mniejszościowy, szybkie kolejne wybory. To są jednak plany B. Na dziś powinniśmy grać o całą pulę, szansa na kolejne cztery lata dobrych dla Polski rządów jest ogromna.

CO W SPORCIE?

OGŁĄDAJ **WE WTORKI O 12.35**
W TELEWIZJI **W POLSCE PL**

Sponsor programu



Opozycja nie lubi poszukiwaczy skarbów

Poszukiwania skarbów przy użyciu wykrywaczy metali będą łatwiejsze dzięki możliwości zgłaszania ich przez aplikację mobilną. „Zyskamy nad nimi większą kontrolę” – przyznaje resort kultury. W Sejmie opozycja sprzeciwiła się zmianom, a poszukiwacze potraktowała jak potencjalnych przestępców. Tylko dlatego, że większość rządowa postanowiła wyjść naprzeciw oczekiwaniom grupy nawet 200 tys. hobbystów

Cztery lata temu do policyjnego aresztu w Raciborzu trafił na 48 godzin mężczyzna, którego przyłapano na chodzeniu po jednym z pól z wykrywaczem metali. Niedługo potem w tym samym mieście do aresztu trafił 32-latek. Ten wybrał się z nowo zakupionym detektorem na własne pole, by go przetestować. Czułny sąsiad zadzwonił po policję i zaczęły się kłopoty: przesłuchania, przesłuchania i sprawa sądowa, w której został skazany. Obaj nie wiedzieli nawet, że uprawianie takiego hobby bez zgody wojewódzkiego konserwatora zabytków jest przestępstwem. Ale nadchodzi zmiany.

Podczas niedawnego posiedzenia Sejmu uchwalono nowelizację ustawy o ochronie zabytków i opiece nad zabytkami. Kary więzienia za nielegalną eksplorację wprowadzone w niej w 2018 r. pozostają, ale od maja przyszłego roku, by być w zgodzie z prawem, wystarczy zgłoszenie poszukiwań w rejestrze za pomocą aplikacji mobilnej. Będzie ona również zawierać



MACIEJ WALASZCZYK

mapę z oznaczonymi miejscami objętymi zakazem prowadzenia tego typu działań, obejmującymi m.in. zabytki i pomniki historii, groby i cmentarze czy miejsca kaźni. Zgłoszenie będzie skuteczne z chwilą jego dokonania bez oczekiwania na reakcję urzędnika. To kluczowa zmiana. Aplikacja ma też ułatwić zgłaszanie odnalezionych zabytków, ich dokumentowanie i klasyfikację.

– To zaoszczędzi czasu wszystkim, a policja będzie mogła się zajmować np. czarnym rynkiem, na którym prawdziwi przestępcy handlują archeologicznymi znaleziskami – podkreśla poseł Jarośław Sachajko, który pilotował sprawę nowelizacji przepisów w Sejmie.

POLITYCZNY SPÓR O EKSPLOACJĘ

To kolejna próba zmiany obowiązujących przepisów, która ujawniła – co zupełnie zrozumiale – spór w środowisku archeologów, konserwatorów zabytków i eksploratorów. Obie strony mają swoje racje, argumenty merytoryczne, które – zdawałoby się – mogą rozpałać emocje najwyżej wewnątrz tego środowiska. Tymczasem w Sejmie wybuchła burzliwa dyskusja, przede wszystkim za sprawą opozycji, która próbowała przekuć ją w ostry spór polityczny. Powód wyłącznie jeden: projekt nowelizacji wnieśli pod obrady posłowie PiS za sprawą Pawła Kukiza, który od dłuższego czasu lobbował za jego podjęciem. Gdy zmianę dotychczasowych przepisów poparła większość rządząca, forsując zmianę ustawy jako projekt poselski, przeciw niemu – zarówno w głosowaniach sejmowych, jak i w komisji kultury – głośno opowiedziały się PO, Lewica i Koalicja Polska. Teraz ustawa trafiła do Senatu, który

z pewnością będzie robił wszystko, by ją zablokować.

Już podczas prac w komisjach sejmowych posłowie PO atakowali proponowane zmiany, argumentując, że chodzi wyłącznie o próbę zdobycia głosów licznej grupy eksploratorów. Posłanki Lewicy wzmacniały głos środowisk skupiających zawodowych archeologów przeciw „amatorom-ignorantom”, nieprowadzącym na co dzień badań naukowych. Itak w ocenie Rady Ochrony Dziedzictwa Archeologicznego projektowana ustawa likwiduje kontrolę państwa nad poszukiwaniami zabytków, a nowe przepisy w żaden sposób nie będą chroniły takich miejsc jak pola bitew czy nowo odkryte stanowiska archeologiczne.

Eksploratorzy tłumaczą, że liczba przestępstw związanych z używaniem wykrywaczy metali, np. rabunek stanowisk archeologicznych, jest właściwie zerowa. – Sprawdzaliśmy statystyki z wielu lat wstecz pochodzące z rejestru skazanych, policji i prokuratury, sądów i okazywało się, że problem tego rodzaju przestępstw nie istnieje – mówi Jacek Wielgus, prezes Polskiego Związku Eksploratorów. Również czarny rynek zabytkowych artefaktów jest znikomy, bo Polska, choć bardzo interesująca archeologicznie, nie jest rezerwuarem tak wartościowych przedmiotów jak np. Grecja czy Włochy.

Pierwsze detektory pojawiły się w Polsce już pod koniec lat 80. XX w. i hobby tym zaraziło się bardzo wielu pasjonatów historii, poszukiwaczy znalezisk i skarbów. Jednak o ile posiadanie detektora było i jest legalne, o tyle używanie go nawet na terenie własnego ogródka jest ograniczone przez nadzór konserwatora zabytków. Jak zwracał uwagę w Sejmie Michał Urbaniak z Konfederacji, nastąpiła zaoczna kryminalizacja tego hobby. „Nie traktujmy ludzi, który mają swoją ciekawą i pożyteczną pasję, jak szkodników i kryminalistów” – apelował. Dlatego ideą zmian jest zniesienie obecnie funkcjonujących zasad, wymogów i biurokratycznych ograniczeń. Tym bardziej że od 1 stycznia 2018 r. poszukiwanie zabytków wykrywaczem metali bez zgody wojewódzkiego konserwatora zabytków jest przestępstwem zagrożonym karą więzienia. Wcześniej było wykroczeniem.

– Rozkopanie własnego ogrodu, wywiezienie ziemi jest przecież całkowicie legalne, jednak wyjście z detektorem wciąż jest przestępstwem zagrożonym karą więzienia – podkreśla Jacek Wielgus.

Z biegiem czasu okazało się, że eksploatacja to zjawisko masowe, obejmujące być może nawet ponad 200 tys. amatorów, którzy z pasji i za własne pieniądze prowadzą poszukiwania przedmiotów ukrytych w ziemi. Przedmiotów przypadkowych, najczęściej pojedynczych, zagubionych w dawnych epokach i znajdujących się poza stanowiskami archeologicznymi. W miejscach, których nie badają wyspecjalizowani archeolodzy i do których prawdopodobnie nigdy nie dotrą. – Odnajdywanie prawdziwych zabytków jest dla nas zupełnym przypadkiem. Dzielimy

Obowiązująca ustawa stworzyła z poszukiwaczy-hobbystów najliczniejszą grupę przestępczą w kraju – podkreśla archeolog Robert Wyróstkiewicz. Czy uda się to zmienić?

nasze środowisko na poszukiwaczy i detektorystów. Tych ostatnich, szukających dla zabawy, jest przytłaczająca większość. Są to ludzie, którzy w sobotę jadą na jakieś pole i przeczesują je w nadziei odnalezienia czegoś interesującego – tłumaczy Wielgus. Tylko niewielka część eksploratorów jest fachowymi poszukiwaczami zabytków, którzy przygotowują się do działań, przeprowadzając kwerendy archiwalne lub jako wolontariusze pomagają przy badaniach archeologicznych.

I tutaj dochodzimy do sedna sprawy, bo działalność eksploratorów nie obejmuje stanowisk archeologicznych, miejsc, gdzie np. były osady, kurhany, grodziska. Jednak odpowiednich pozwoleń konserwatorzy domagają się również tam, gdzie tych stanowisk nie ma. Dlatego od wielu lat środowisko eksploratorów starało się

o zmianę obowiązujących przepisów. Oficjalnie, by móc pracować z detektorem w danym miejscu, należy skierować do wojewódzkiego konserwatora zabytków odpowiednio przygotowany wniosek z opłatą skarbową. Ten ma na jego rozpatrzenie 30 dni. Jednak liczba wniosków, biurokratyczne komplikacje lub nawet niechęć do amatorów badań archeologicznych powodują, że trwa to znacznie dłużej. Czasem nawet rok.

LEGALIZACJA NIELEGALNYCH POSZUKIWAN

Według danych Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego w obecnej sytuacji rocznie zgłaszano około 1 tys. wniosków na działania poszukiwawcze. A nieznana bliżej liczba, być może ok. 200 tys. ludzi, rocznie działało w tym samym czasie bezprawnie. Minister Jarosław Sellin przyznaje, że zgłaszanie online do rejestru poszukiwań po prostu odciąży urzędy konserwatorskie, które w obliczu szczupłej obsady kadrowej i tak wydają rocznie kilkaset tysięcy różnych decyzji administracyjnych.

– W województwie kujawsko-pomorskim w 2017 r. wydanych było 10 decyzji na legalne poszukiwania. W przełomowym 2018 r., kiedy zwykle poszukiwania bez odpowiednich kwitów przestały być wykroczeniem, a zaczęły być przestępstwem, liczba decyzji zaczęła wzrastać. W 2022 r. było ich 48, w tym 3 były wydane na pisane przez mnie wnioski. Jeśli jednak uznamy, że liczby te dotyczą tysięcy kujawsko-pomorskich poszukiwaczy, to legalność dalej była promilem – wyjaśnia Robert Wyróstkiewicz, archeolog z Pogotowie-Archeologiczne.pl. Dodaje, że nawet dr Józef Bednarczyk, archeolog z Kujaw i jednocześnie zdeklarowany przeciwnik poszukiwaczy, przyznał ostatnio podczas konferencji w PAN, że odkąd zaostrzono prawo, poszukiwacze drastycznie przestali zgłaszać archeologom i muzealnikom swoje odkrycia. Najprawdopodobniej z obawy przed represjami swoje skarby pochowali w szufladach, zamiast zgłosić je do muzeów. – Obowiązująca ustawa stworzyła z poszukiwaczy-hobbystów najliczniejszą grupę przestępczą w kraju – podkreśla Wyróstkiewicz. Czy uda się to zmienić?



Członek Grupy Wagnera szkoli białoruskich żołnierzy w pobliżu wsi Tsel, 90 km od Mińska

Po co Rosja wysłała Prigożynę na Białoruś?

Możemy mieć do czynienia z otwarciem nowego kanału przerzutu migrantów współkontrolowanego i ochranianego przez wagnerowców



MAREK BUDZISZ

Rosyjski portal The Bell, specjalizujący się w tematyce ekonomicznej, poinformował, że już po nieudanym puczu firmy Jewgienija Prigożyna wygrały przetargi o wartości ponad 1 mld rubli. Mają one karmić dzieci w jednym z podmoskiewskich rejonów, dostarczać posiłki do szpitali oraz poliklinik, a także odpowiadać za aprowizację słynnego obozu młodzieży Artek. To ożywiło spekulacje, czy w istocie mieliśmy do czynienia z puczem, czy może raczej była to ustawka i o co w całej sprawie może chodzić. Tym bardziej że jak napisała „Nowaja Gazeta”, która od marca do grudnia ub.r. była w Rosji zawieszona z powodu krytycznego stanowiska wobec wojny,

Grupa Wagnera w trakcie puczu kontrolowała znajdujące się pod Rostowem lotnisko Millerowo, a zatem gdyby rzeczywiście ich celem było szybkie dotarcie do Moskwy, to można było skorzystać ze znajdujących się tam gotowych do lotu samolotów transportowych, a nie wybierać długą i ryzykowną drogę lądową.

A JEDNAK USTAWKA?

Podjeżenia, że w całej historii z buntem Prigożyna jest coś dziwnego, pogłębiły się, kiedy Putin spotkał się na Kremlu z ludźmi z Grupy Wagnera, a w rozmowach uczestniczył również właściciel tej formacji, oskarżany publicznie przez prezydenta Rosji o zdradę, próbę zamachu stanu i niemal wywołanie wojny domowej. Zastanawia też to, że o ile w rosyjskich siłach zbrojnych trwa obecnie czystka i z gen. Surowikinem, który dowodził lotnictwem, nie ma od kilkunastu dni kontaktu, a źródła „The Wall Street Journal” mówią o 13 oficerach wysokiej rangi, którzy mieli zostać zatrzymani,

o kolejnych 15 zwolnionych ze służby. Co ciekawe, przeciw Prigożynowi nie toczy się obecnie w Rosji żadne śledztwo. Po rewizjach w siedzibach jego firm dostał on z powrotem zarekwirowane komputery, pieniądze i broń, a na dodatek regularnie lata swoim prywatnym samolotem zarówno na Białoruś, jak i do Moskwy. Medialny holding właściciela Grupy Wagnera został co prawda zlikwidowany, do domów odsyła się też wyciągniętych przez niego z więzień kryminalistów, którzy w hotelach w Anapie czekają teraz na ulaskawienia, ale sama Grupa Wagnera przetrwała.

W świetle niektórych pojawiających się w Rosji interpretacji cały „pucz” miał na celu sprawdzenie nastrojów w wojsku – tego, kto z wyższych oficerów mógłby poprzeć ewentualne wejście sił zbrojnych, w których narasta niezadowolenie, do polityki. Rosyjskie służby specjalne, które rządzą krajem i nie ufają wojskowemu, mogły zorganizować prowokację z udziałem wagnerowców po to, by ujawnić ewentualnych liderów rzeczywistego buntu. To by



oznaczało, że Prigożyn odegrał swoją rolę i nie wykluczało, iż teraz ma realizować inne zadania.

DUŻA, SZYBKA ROBOTA

Jak donoszą aktywiści portalu Białoruski Gajun, na Białorusi, w obozie pod Osipowiczami, znajduje się już 2,5 tys. wagnerowców i nawet 400 pojazdów różnych typów, głównie transportowych, bo ciężki sprzęt bojowy oddali oni rosyjskim siłom zbrojnym. Marks z rady dowódców Grupy Wagnera powiedział mediom, że na Białoruś ma przybyć do 10 tys. jego towarzyszy, co potwierdzałoby, iż najemnicy są raczej lojalni wobec Prigożyna, a nie Putina. Ten ostatni w czasie spotkania na Kremlu miał poinformować, że dowódcą tej części Grupy Wagnera, która zdecyduje się pozostać w Rosji, będzie Andriej Troszew, który według niektórych źródeł dowodził służbą bezpieczeństwa wagnerowców. Z tym publicznie miał się nie zgodzić Prigożyn i zapowiedział dyslokację całej grupy na Białoruś, co potwierdzają rachunki Marksa. Zakwestionował on oficjalne dane, jakoby 33 tys. byłych wagnerowców podpisało kontrakty z resortem obrony. Jego zdaniem po szturmie Bachmutu z 78 tys. tych, którzy przewinęli się przez grupę, wliczając w to wypuszczonych z więzień kryminalistów, wśród żywych pozostało 25 tys. plus ci, którzy leczyli się z wcześniej odniesionych ran. Ze

służby po puczu odeszło 15 tys., a na Białoruś ma zamiar relokować się do 10 tys. wagnerowców, głównie z grona „starych”, czyli jeszcze tych, którzy walczyli w Syrii, Libii i państwach afrykańskich. „Jeśli by wszyscy zabili i ci, którzy odeszli ze służby, podpisali kontrakty z ministerstwem obrony – ironizował Marks – to można tylko w ten sposób wytłumaczyć, skąd oni wzięli liczbę 33 tys.”.

Sam Prigożyn poinformował, co zresztą potwierdziło białoruskie ministerstwo obrony, że jego ludzie już rozpoczęli szkolenie tamtejszych wojsk obrony terytorialnej, i zapewnił, że będą w stanie przekształcić je w drugą armię świata. W opublikowanym w ubiegłym tygodniu nagraniu wideo z Osipowicz, będącym relacją z odprawy prowadzonej przez Prigożyna, wystąpił też Dmitrij Utkin, jeden z twórców i dowódców tej formacji. Jego słowa dają wiele do myślenia, bo zapowiedział on „dużą robotę”, i to bardzo szybko. Sam właściciel Grupy Wagnera wypowiadając się mówił o obronie władzy Łukaszenki a także o tym, że kontrolowana przez nich formacja nie wróci na front wojny na Ukrainie. To wyjaśnia dlaczego taką perspektywą nie są zaniepokojeni w Kijowie.

DENERWOWANIE PAŃSTW NATO

Andrij Jusow, przedstawiciel Głównego Zarządu Wywiadu Ministerstwa Obrony Ukrainy, powiedział, że celem pobytu

wagnerowców na Białorusi – oprócz szkolenia zarówno tamtejszych, jak i rosyjskich rekrutów – będzie denerwowanie Polski i innych państw Unii Europejskiej. Litwini poważnie traktują pojawienie się najemników w sąsiednim państwie, czego świadectwem są słowa prezydenta Nausėdy, który powiedział portalowi Delfi, że siły na granicy z Białorusią już zostały wzmocnione i jego zdaniem przemieszczenie się wagnerowców pogarsza sytuację bezpieczeństwa Litwy. „Biorąc pod uwagę – zauważył Nausėda – że Białoruś jest dość małym państwem, zmiana planów i przeniesienie ich [najemników z Grupy Wagnera – przyp. red.] na zachodnie granice to kwestia kilku godzin”.

Denerwowanie sąsiadujących z Białorusią państw NATO już się zresztą zaczęło, bo w jednym z propagandowych programów w telewizji rosyjskiej gen. Kartapolow, w przeszłości wice-minister obrony Federacji Rosyjskiej i dowódca Zachodniego Okręgu Wojskowego, a dziś deputowany do Dumy, powiedział, że jednym z zadań Grupy Wagnera będzie przechwycenie kontroli nad przesmykiem suwalskim. W rosyjskiej narracji teza o konieczności przebięcia się przez Polskę i Litwę, by uzyskać połączenie lądowe z enklawą królewiecką, nie jest niczym nowym, taki scenariusz był ćwiczony w czasie wszystkich minionych manewrów Zapad, ale ewentualny udział wagnerowców w tego rodzaju działaniach zmienia sytuację. Nie dlatego, że istnieje realne zagrożenie wojskowe. Ludzie Prigożyna nie mają obecnie ani ciężkiego sprzętu, ani nie są na tyle silną formacją, by realnie wpłynąć na relacje sił. Ale znajdujący się na Białorusi najemnicy dowodzeni przez Pioniera – odpowiadającego za operacje Grupy Wagnera w Libii, Czadzie, Mali i innych krajach afrykańskich, kawalera pięciu rosyjskich odznaczeń za męstwo – mają wystarczające doświadczenie i możliwości, by starać się zdestabilizować sytuację na naszych granicach. Takiego scenariusza – jak wynika z wypowiedzi ministra Stanisława Żaryna – chyba najbardziej obawiają się polskie służby. Dwa pozostałe, czyli działanie na rzecz wzmocnienia władzy Łukaszenki i przygotowania do otwarcia kolejnego frontu w wojnie przeciw Ukrainie, też są brane pod uwagę.

SCENARIUSZE

Jak taka próba destabilizacji sytuacji na naszych granicach, która mogłaby zbiec się w czasie z kolejną edycją ćwiczeń Zapad i z wyborami parlamentarnymi w Polsce, mogłaby wyglądać?

Warto zwrócić uwagę na zastanawiającą wypowiedź prof. Dmitrija Poletajewa z Rosyjskiej Akademii Nauk, który na posiedzeniu Klubu Władajskiego w Petersburgu powiedział, że obywatele Federacji Rosyjskiej pochodzenia afrykańskiego jest bardzo mało i zaproponował porozumienie w kwestiach migracyjnych z państwami z tego kontynentu. Spotkanie, o którym mowa, było związane z prezentacją specjalnego raportu na temat relacji Rosji z Afryką, który został przygotowany przez ten główny dziś rosyjski think tank strategiczny – Klub Władajski, będący zapleczem Kremla. Poletajew zauważył, że w związku z fatalnymi danymi demograficznymi, które ujawniono w ostatnich tygodniach – wskaźnik narodzin w Rosji spadł do poziomu najniższego od lat 90. XX w. – jeśli sytuacja się nie zmieni, to pod koniec stulecia liczba mieszkańców Rosji może spaść do 80 mln ludzi. W związku z tym jego zdaniem trzeba będzie otworzyć się na migrację z tego kierunku.

Raport Klubu Władajskiego poprzedza szczyt Rosja-Afryka, który dla Kremla ma duże znaczenie. Moskwa chce bowiem udowodnić, iż nie jest izolowana w świecie. Przeciwnie, jest w stanie stanąć na czele nowej fali dekolonizacji, jak rosyjscy eksperci określają obecne zmagania, których celem ma być złamanie amerykańskiej hegemonii w wymiarze globalnym. W tej strategii postawa Afryki ma coraz większe znaczenie, a Putin – zabiegając o sympatie przywódców kontynentu – zapowiedział nawet przekazanie 1 mln ton zboża na program żywnościowy dla Afryki, po tym jak Rosja, wychodząc z porozumienia o handlu czarnomorskim, zablokowała te dostawy. Może się zatem okazać, że w kwestię rozładowania kryzysu związanego z przeludnieniem w wielu krajach afrykańskich będzie chciała zaangażować się Rosja, zapraszając obywateli tych państw do siebie.

Niemal w tym samym czasie pojawiły się informacje, że Białoruś zniosła kon-

trole wprowadzone w maju br. na granicy z Federacją Rosyjską. Zdziwieni tym niezapowiedzianym posunięciem dziennikarze niezależnego portalu Zerkalo poszukiwali w różnych białoruskich urzędach odpowiedzi na pytanie, co było przyczyną tego posunięcia. Niewiele uzyskali, ale dowiedzieli się w służbach odpowiedzialnych za ochronę granicy, że „wszystko zależy od zarządzenia rządu Republiki Białoruś. Będą rozkazy – zdecydujemy, co robić. Nie podejmujemy własnych decyzji. Mamy prezydenta, rząd

Obecność kilku tysięcy wyszkolonych, pozbawionych skrupułów i zdeterminowanych najemników w sąsiadującym z Polską państwie, rządzonym przez coraz mniej obliczalnego dyktatora, jest rzeczywiście, jak zauważył prezydent Litwy, problemem dla bezpieczeństwa regionu

i oni podejmują decyzje”. To oczywiście może być tylko krótkotrwała zmiana, ale faktem jest, że obecnie na granicy między Białorusią a Federacją Rosyjską znów nie ma kontroli i każdy może swobodnie ją przekraczać.

Może się zatem okazać, iż w ramach otwarcia na migrację z Afryki w Rosji zaczną pojawiać się w większej liczbie przybysze z tego kontynentu, którzy mogąc swobodnie podróżować, znajdą się następnie na Białorusi, gdzie mogą też uzyskać wsparcie dobrze znających afrykańskie realia, w tym mających kontakty z przedstawicielami elit władzy w wielu państwach kontynentu, ludzi z Grupy Wagnera. W praktyce możemy mieć do czynienia z otwarciem nowego kanału przerzutu migrantów współkontrolowanego i ochranianego przez wagnerowców. Reżim w Mińsku może być tym zainteresowany, bo w grę wchodzi duże

pieniądze. Tego rodzaju współpraca może być zresztą elementem szerszego dealu, bo Prigożyn, przemawiając w Osipowiczach, zapowiedział niedługo powrót na Czarny Łąd, gdzie zresztą ma miliardowe interesy. To oczywiście teoretyczny dziś scenariusz, ale nie można wykluczyć, iż wrazie potrzeby wagnerowcy na Białorusi mogą zająć się szkoleniem „architektów i lekarzy” z państw arabskich i afrykańskich, którzy niedawno we Francji pokazali, co potrafią.

Są też inne warianty rozwoju wydarzeń.

Timur Alewski, redaktor naczelny portalu The Insider Russia, w rozmowie z Radiem Swoboda powiedział, że mając od 8 do 10 tys. „bagnetów”, Prigożyn może tak wzmocnić władzę Łukaszenki, że ten nawet się nie zorientuje, kiedy Białoruś stanie się częścią Federacji Rosyjskiej. „Nie będą szturmować pałacu Łukaszenki – powiedział Alewski – na wzór tego, jak Rosjanie przejęli pałac Amina w Kabulu w 1979 r. Ale mogą znacząco wpłynąć na nastroje białoruskiej armii. Tak właśnie zrobiono w krajach afrykańskich, gdzie za pomocą propagandy i szkolenia opanowali oni lokalne armie”. Nie jest to wykluczone, bo już od pewnego czasu przedstawiciele białoruskiej opozycji głośno mówią, że dowództwo sił zbrojnych Białorusi, w szczególności minister Wiktar Chrenin,

są bardziej prorosyjscy od Łukaszenki.

Inną możliwością jest użycie wagnerowców do akcji skierowanych przeciw Ukrainie, szczególnie w zachodniej części kraju, przez którą docierają pociągi z pomocą wojskową. Ostatnie informacje z Polski o rozbiciu rosyjskiej siatki szpiegowsko-dywersyjnej, której uczestnicy mieli przygotowywać zamachy bombowe na pociągi z zaopatrzeniem dla Ukrainy, wskazują na to, że nie jest to wcale scenariusz teoretyczny.

Niezależnie od tego, jak potoczą się wydarzenia związane z przybyciem wagnerowców na Białoruś, obecność kilku tysięcy wyszkolonych, pozbawionych skrupułów i zdeterminowanych najemników w sąsiadującym z nami państwie, rządzonym przez coraz mniej obliczalnego dyktatora, jest rzeczywiście, jak zauważył prezydent Litwy, problemem dla bezpieczeństwa regionu.

Drużyna Europy w Tunisie

Norwa unijna polityka antyimigracyjna zaczęła się od Tunezji



JAN ROKITA

Team Europe” – tak nazwała na Instagramie Ursula von der Leyen specjalną misję złożoną z Giorgii Meloni, Marka Ruttego i siebie samej, po tym jak owa trójka w ubiegłą niedzielę 16 lipca zawarła całociową umowę nazwaną memorandum sojuszniczym między Unią Europejską i Tunezją. Rzecz jasna (to już jest zwyczajna i budząca coraz słabsze opory unijna praktyka) nikt nie podał – bo też podać nie sposób – ani na jakiej podstawie trójka uznała siebie za drużynę reprezentującą całą Unię, ani też kto upoważnił ją do zawierania traktatów rodzących zobowiązania po stronie wszystkich państw członkowskich. Owa proklamacja „drużyny Europy” wzbudziła co prawda pewien opór pośród niektórych europosłów, ale to tylko dlatego, że na europejskiej lewicy i u liberałów z podejrzliwością traktuje się wszelkie kroki, których celem jest zahamowanie napływu afrozjatyckich imigrantów.

NOWA POLITYKA, CZYLI CO?

Tymczasem „drużyna Europy” już po raz drugi wybrała się do Tunisu, po to właśnie, by na przykładzie Tunezji wypraktykować nową europejską po-

litykę antyimigracyjną, która miałaby teraz znaleźć szersze zastosowanie, co najmniej wobec kolejnych sąsiadów Unii z południowego brzegu Morza Śródziemnego. Po Tunezji mają ponoć pójść Maroko i Egipt.

Ta nowa polityka to koncept przeformowany ostatnio przez premier Meloni, której polityczna pozycja w Europie rośnie z tygodnia na tydzień. Obietnicę umowy z Tunezją Meloni wywalczyła przy okazji głośnego w Polsce (choć z trochę odmiennego powodu) unijnego

Meloni zadeklarowała w imieniu „drużyny Europy”, że zawarty właśnie układ z prezydentem Tunezji posłuży teraz jako model budowania nowych relacji z sąsiadami z Afryki Północnej

projektu dyrektywy azylowej, który po kilku latach zabiegów i negocjacji Rada Unii przegłosowała w końcu 8 czerwca przy sprzeciwie Polski i Węgier. Nawiasem mówiąc, Meloni dostała przy tej okazji nie tylko promesę na traktat z Tunezją, ale na dobrą sprawę to wszystko, czego w materii polityki migracyjnej domagała się od UE od dawna włoska

prawica. Czyli prawo do wprowadzenia we Włoszech specjalnej procedury azylowej, będącej w istocie zaprzeczeniem samej natury prawa azylowego, gdyż pozwalającej na wylapywanie przez policję, bezterminowe osadzanie w aresztach i wyrzucanie ludzi starających się o azyl do dowolnych krajów, w tym także takich, które ani nie są ich krajami rodzinnymi, ani nie respektują elementarnych swobód obywatelskich.

Obietnica nowej unijnej polityki wobec arabskich dyktatur z wybrzeża śródziemnomorskiego była drugim kluczowym włoskim zwycięstwem odniesionym przy okazji projektu dyrektywy azylowej. A z tą nową polityką wiąże się nie tylko intencja machnięcia ręką przez Brukselę na wszystkie, ponoć święte wartości demokratyczne i liberalne, lecz także obietnica dużych pieniędzy na wszechstronne wspieranie dyktatorów.

UKŁAD Z DYKTATOREM

Już za pierwszym swoim pobylem w Tunisie „drużyna Europy” zaanonsowała tamtejszemu autokracie – prezydentowi Kaisowi Saiedowi – że jest gotowa uzbierać dla niego w krótkim czasie 1 mld euro pomocy finansowej. Po to, by zachęcić go do powstrzymywania migrantów maszerujących z wynędzniałej Afryki Subsaharyjskiej przez jego kraj na wybrzeże

śródziemnomorskie, by dostać się do Europy. A także do walki z przemytnikami, którzy na całym tym wybrzeżu w miarę swobodnie organizują ryzykowny, choć bardzo zyskowny masowy przerzut ludzi przez morze.

Dwa lata temu ten tunezyjski profesor prawa bardzo sprawnie przeprowadził bezkrwawy zamach stanu, rozpędzając parlament i władze sądowe z pomocą armii, zawieszając konstytucję, wprowadzając rządy dekretemi i stawiając w stan oskarżenia wielu polityków, w tym byłego prezydenta i premiera. Niedługo potem przeprowadził referendum, które oddało mu pełnię władzy, a zorganizowane przez Saieda wybory parlamentarne wygrał założony przez niego Ruch 25 lipca przy masowym bojkocie i 11 proc. frekwencji wyborczej. Saied sam jest bardzo niezadowolony z coraz liczniejszej fali Murzynów napływających z głębi Afryki do jego kraju, a nie tak dawno wyraził nawet obawę, iż ów napływ może przekształcić Tunezję w kraj czysto afrykański. Jeśli więc na tunezyjskim wybrzeżu miałby powstrzymać falę imigrantów prących na Europę, to owa etniczno-kulturowa przemiana Tunezji mogłaby jeszcze bardziej przyspieszyć.

Saied zaczął zatem praktykować metodę ekspulsji Murzynów docierających do wybrzeża na pustynię, gdzie są oni pozostawiani sami sobie. Ostatnio dość rozpaczliwy film o takiej grupie wegetującej na pustyni na pograniczu tunezyjsko-libijskim wyemitowała telewizja CNN, a organizacja Human Rights Watch sporządziła raport piętnujący tunezyjską politykę migracyjną. Jednak patrząc na całą rzecz z perspektywy śródziemnomorskiej Europy, a zwłaszcza Włoch, twardość Saieda wobec maszerujących na północ Murzynów uwalnia przynajmniej po części rządy europejskie od robienia samemu tego rodzaju rzeczy. Zarówno Grecja, jak i Włochy mają i tak sporo kłopotów z powodu wypychania migrantów albo braku dostatecznej determinacji w ich ratowaniu na morzu. Właśnie teraz na rząd grecki spada potężna fala oskarżeń, że jest winien katastrofy przemytniczego statku koło wyspy Pylos, gdzie utonęło



ponad 600 osób. A polityków włoskiej prawicy (jak np. Matteo Salvini) roznamiećnieni ideologicznie włoscy sędziowie usiłują dopaść i skazać na wiele lat kryminała pod zarzutami masowych zabójstw, dokonywanych ponoć przez nich na morzu.

SIŁA MELONI

W Tunisie Meloni zadeklarowała w imieniu „drużyny Europy”, że zawarty właśnie układ z Saiedem posłuży teraz jako model budowania nowych relacji z sąsiadami z Afryki Północnej. Na



nak do końca nie jest. Merkel i Erdoğan zrobili wówczas swoistą merkantylną transakcję, której efektem bynajmniej nie miała być rewizja całej europejskiej polityki wobec Turcji. Koncept Meloni jest bardziej – rzecz by można – „polityczny”, wyrafinowany i długofalowy. Z jednej strony Saied w przeciwieństwie do Erdoğan nie podjął trywialnego zobowiązania, że za pieniądze wykona wobec Unii usługę ochrony jej granic, a co najwyżej ogólnie obiecał zwalczać kryminalny przemyt ludzi. Z drugiej zaś „drużyna Europy” złożyła krótkoterminowe i długofalowe obietnice, mające całkowicie zmienić dotychczasowy model stosunków Europy z Tunezją.

Obietnica nowej unijnej polityki wobec arabskich dyktatur z wybrzeża śródziemnomorskiego była drugim kluczowym włoskim zwycięstwem odniesionym przy okazji projektu dyrektywy azylowej. A z tą nową polityką wiąże się m.in. intencja machnięcia ręką przez Brukselę na wszystkie, ponoć święte wartości demokratyczne i liberalne

Doraźnie Saied ma dostać 105 mln euro na obozy dla uchodźców i 150 mln euro na wsparcie tunezyjskiego budżetu. Ale podpisane w Tunisie memorandum mówi o planie stabilizacji finansowej Tunezji z pomocą Brukseli, zapowiada liczne europejskie inwestycje i kolejne umowy handlowe, wsparcie dla tunezyjskiego rolnictwa, lotnictwa i energetyki, a także transformację cyfrową kraju przy pomocy Unii. Jeśli widać tu zatem dziedzictwo jakiejś unijnej tradycji, to jest ta raczej tradycja starej europejskiej

polityki sąsiedzkiej, zarzuconej zarówno wobec krajów postsowieckich na skutek zbrojnych konfliktów z Moskwą, jak i wobec sąsiadów śródziemnomorskich po wielkiej klęsce ideałów rewolucji arabskiej. W stosunku do tamtego konceptu polityki sąsiedzkiej zmienia się teraz tylko rzecz jedna, ale za to najzupełniej fundamentalna.

O ile wówczas cała pomoc rozwojowa dla sąsiadów miała być częścią europejskiej soft power, a więc służyć upowszechnianiu demokracji, liberalizmu i praktyk dobrego rządzenia, o tyle model Meloni naśladuje raczej chiński, lepiej sprawdzający się koncept pomocy rozwojowej. Czyli bez żadnych wymagań co

do wolności, praw człowieka, kobiet, gejów, wolnych wyborów, niezawisłych sądów czy innych jeszcze tego rodzaju euroekstrawagancji.

W Tunisie było widać wyraźnie, że niemiecka szefowa Komisji Europejskiej poszła na zaskakująco daleką współpracę w nową, włoską premier, a zarazem niekwestionowaną dziś liderką całej włoskiej prawicy. Meloni, o wiele bardziej „politycznie”, niż czynił to w przeszłości Salvini, trzyma się prawicowej linii polityki, okazuje nawet lojalność wobec Kaczyńskiego i Abascala (choć już nie wobec Orbána), ale jednocześnie za wszelką cenę unika otwartych sporów z Komisją Europejską. Taka gra na wielu fortopianach z jednej strony może rodzić wrażenie koniunkturalności, ale z drugiej – Włochom przynosi sukcesy

polityczne, z samej zaś Meloni czyni dziś bez wątpienia najsilniejszego i najbardziej liczącego się w Europie lidera z kręgu partii altprawicowych. W efekcie do Italii (choć z pewnymi kłopotami) płyną szerokim strumieniem unijne pieniądze, a von der Leyen sprawia czasem takie wrażenie (przynajmniej w materii migracji), jakby chodziła na włoskim pasku. Do Giorgii Meloni trudno było nie żywić ludzkiej sympatii, ale od niedawna godny podziwu okazuje się również jej talent męża stanu.

pierwszy rzut oka mogłoby się zdawać, iż nie jest to żaden nowy model unijnej polityki, ale kontynuacja umowy, którą w 2016 r. zawarła z Erdoğanem Merkel (również w imieniu całej Europy): miliardy euro w zamian za blokowanie migrantów idących na Bałkany. Tak jed-

Ludobójstwo nowej generacji

Gdy Rosjanie mordowali polskich oficerów w Katyniu, zrobili to tak, że wymykali się późniejszej definicji ludobójstwa. Dziś eksterminację znienawidzonego narodu udoskonali – w mętłym prawie międzynarodowym umyka nowy wymiar rosyjskiej zbrodni



**JAKUB AUGUSTYN
MACIEJEWSKI**

Jak bardzo ucierpiał naród ukraiński po 24 lutego? Żeby zrozumieć, czym jest dramat naszego wschodniego sąsiada, należy poznać liczby i zrozumieć specyficzną metodę rosyjskiej wojny na wyczerpanie. Nawet to pierwsze jest trudne do osiągnięcia, bowiem – pomijając tajemnice wojskowe, które uniemożliwiają policzenie ofiar wojskowych po stronie Kijowa, to nawet liczba ludności na Ukrainie przed 24 lutego 2022 r. nie jest znana. Ostatni pełny spis powszechny

został przeprowadzony w... 2001 r. Wykazał on, że w kraju żyje 48,5 mln mieszkańców, czyli o 3 mln (ok. 6 proc.) mniej niż w trakcie rozpadu Związku Sowieckiego. Spadek liczby ludności w państwach komunistycznych i postsowieckich to nic nadzwyczajnego, ale na Ukrainie spadła nawet liczba mieszkańców miast, co w XXI w. jest zjawiskiem skrajnie niepożądanym (2 mln ludzi mniej).

WYLUDNIONA UKRAINA

Tajemnicą poliszynela jest powód, dla którego od ponad dwóch dekad nie przeprowadzono spisu powszechnego. Lawinowo rosnąca emigracja zarobkowa, zwłaszcza po częściowej inwazji Rosji na Ukrainę w 2014 r., nie tylko zmniejszyła liczbę ludności, lecz także zaburzyła strukturę społeczną.

– Na spisie mieszkańców opiera się u nas system dotacji, utrzymania szkół i szpitali, po wstrząsach z 2014 r. u nas się wszystko wyrzuciło do góry nogami – opowiada tygodnikowi „Sieci” urzędnik ze Słowiańska w obwodzie ługańskim w Donbasie. W niektórych obwodach sytuacja pogorszyła się tak bardzo, że po prostu w niczym interesie było przeprowadzenie nowego spisu powszechnego. Donbas, o czym tygodnik „Sieci” pisał wielokrotnie, stał się taką kolebką patologii, że normalni ludzie wyjechali, pozostali głównie niezaradni, „zombiowani” homini sovietici XXI w. Według nieoficjalnych rozmów z pracownikami Ministerstwa Zdrowia faktyczna liczba ludności przed 2022 r. wahała się między 32 a 36 mln. O jedną piątą mniej niż trzy dekady wcześniej. A ilu ludzi na Ukrainie żyje dzisiaj?

COFNIEMY UKRAINĘ DO XVIII w.

Liczba strat wśród wojskowych to największy sekret dowództwa, zatajany nawet przed najbliższymi sojusznikami. Jeśli Rosjanie zaliczyli 0,25 mln strat wśród mundurowych przy stosowaniu bardzo forsownych ataków, to obrońców Ukrainy zginęło lub zostało rannych w sposób wykluczający z walki od pięciu do trzech razy mniej. W najbardziej optymistycznym wariantcie 50 tys. Ukraińców poległo, choć z nieoficjalnych rozmów z oficerami ukraińskimi wynika, że ta liczba jest raczej dwukrotnie wyższa i wynosi 100 tys. Według analityków z portalu statista.com, rosyjskie ostrzały zabiły 9 tys. cywilów, a 15 tys. raniły.

124 tys. ofiar wojny na 35 mln ludzi w sensie statystycznym i demograficznym dramatem nie jest (Polska w czasie II wojny światowej straciła 20 proc. obywateli), ale tu właśnie zaczyna się rosyjska perfidia. Przypomnijmy bowiem, że Kreml chce Ukrainę zniszczyć. W obliczu niemożności zajęcia Kijowa i zainstalowania tam swojego rządu jako nowy cel obrano degradację kraju do tego stopnia, by stał się na wieki podległym sąsiadom zacofanym buforem. Politycy z Moskwy wyrażają wprost chęć już nie aneksji czy podporządkowania sobie, ale zniszczenia Ukrainy. Już w grudniu 2022 r. deputowany Dumy Piotr Tolstoj (prawnuk słynnego pisarza Lwa) w wywiadzie dla francuskiej stacji BFM TV deklarował, że Rosja cofnie Ukrainę do XVIII w. Chodzi tutaj o dwie płaszczyzny – totalne zniszczenie przemysłu oraz wyludnienie kraju.

Według danych Wysokiego Komisarza Organizacji Narodów Zjednoczonych ds. Uchodźców po wtargnięciu Rosji z Ukrainy wyjechało 6,264 mln ludzi, co tymczasowo zmniejszyło populację kraju do liczby poniżej 30 mln. Ale dodajmy jeszcze mniej oczywiste liczby. Z danych The New Humanitarian wynika, że w ub.r. aż 7 mln Ukraińców opuściło swoje domy, by szukać schronienia w innych częściach kraju. Po prostu mieszkańcy Donbasu, obwodu zaporoskiego czy chersońskiego wyjechali do Kijowa, Lwowa czy innych miejscowości oddalonych od linii frontu. Nie wiemy, jaka część z nich już wróciła do siebie, ale nadal miliony ludzi próbują

żyć w obwodach mało narażonych na ostrzały. Są to ludzie, którzy nie mogą dbać o swoje gospodarstwo, o swój inwentarz, zazwyczaj nie ma dla nich pracy i żyją z niewielkich zasiłków: kilkaset złotych miesięcznie, do tego skromny dach nad głową i posiłki. To m.in. na ten cel Kijów potrzebuje pieniędzy z Zachodu.

Ale to nie koniec demograficznych turbulencji. Ok. 20 proc. kraju znajduje się pod rosyjską okupacją. Przed inwazją mieszkało tam (oficjalnie) aż 8 mln ludzi, choć pod kontrolą najeźdźcy mogła znaleźć się mniej niż połowa z nich. To i tak oznacza, że ludność, nad którą pieczę na kontrolowanym przez siebie terytorium sprawuje rząd w Kijowie, może liczyć

Ludność, nad którą pieczę na kontrolowanym przez siebie terytorium sprawuje rząd w Kijowie, może liczyć mniej niż 20 mln. To ludnościowa katastrofa, umyślnie spowodowana przez Moskwę

mniej niż 20 mln. To ludnościowa katastrofa, umyślnie spowodowana przez Moskwę. Ilościowe spojrzenie nie jest kompletne – pamiętajmy, że swoje domy opuszczają najczęściej młodzi, mobilni, mający coś do stracenia – zostają często osoby starsze, które nie mają siły na tularczkę i są bardziej zobojętniale na swój los.

PATRIOTYZM MIMO OGROMU STRAT

W tym sensie obecny stan Ukrainy jest bardzo ciężki. Tym bardziej zdumiewa determinacja i zaangażowanie 1 mln mężczyzn, by obronić swój kraj. Podkreślmy to wyraźnie – ponad 500 dni 1 mln Ukraińców w wieku 18–60 lat jest pod bronią, z czego co piąty jest teraz na froncie. Współgra to ze stanowczością Wołodymyra Zełenskigo, by nie oddać kraju i nie zasiadać do negocjacji, póki nie wyprze się Rosjan z ukraińskich terytoriów. Prezydent ma ku

temu solidne podstawy w ramach realizmu politycznego. Władza nie może godzić się na napaść na swój kraj, a co dopiero na ludobójstwo. Tego terminu używa Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości w Hadze wobec Władimira Putina i Mariji Lwowej-Bielowej (rzeczniczki praw dziecka), wydając za nimi list gończy za organizację porwania 30 tys. dzieci z Ukrainy, wywózkę w głąb Rosji i rusyfikację w szkołach i rodzinach zastępczych.

Ogólnie dużo mniejsze przewinienia Rafał Lemkin, twórca prawnego terminu „ludobójstwo”, nazywał właśnie ludobójstwem. Istotą tej zbrodni jest krzywdzenie ludzi (z mordowaniem włącznie) za przynależność do jakiejś narodowości.

Lemkin wskazywał np. – oprócz wielkich zbrodni Holokaustu czy rozstrzeliwania cywilów – zmuszanie Serbów do używania języka chorwackiego. Czymże jest taki antynarodowościowy przymus wobec tego, co Rosjanie robią z Ukraińcami!

ZWYCIĘSTWO ALBO ŚMIERĆ

Wśród komentatorów nierozumiejących specyfiki rosyjskiej motywacji do inwazji pojawiają się czasem zachęty dla Kijowa, by oddając i tak zrujnowane ziemie, pozyskał dla zmęczonego narodu pokój i szansę na odbudowę. To nieporozumienie.

Moskwie nie chodzi już o ten czy ów skrawek ziemi, ale o wyeliminowanie Ukrainy z gry, zemstę za niezależność i wybór własnej drogi.

Ludobójstwo na Ukraińcach ma do słownie wymazać państwo i naród z liczących się podmiotów Europy. Kraj ze stolicą w Kijowie ma być zbieraniną wyczerpanej i strauatyzowanej ludności, w dodatku rozproszonej po świecie z powodu zniszczeń i okupacji. Tak wygląda właśnie czysto nazistowski plan Kremla: unicestwienie ludności – zarówno fizyczne, jak i tożsamościowe oraz gospodarcze. Z agresorem o takim stanowisku nie można negocjować inaczej jak z pozycji siły, bo w przeciwnym razie zrealizuje swój ludobójczy cel. Musimy sobie to uświadomić – rosyjskie imperium wykazało się tu czystym i jednoznacznym złem, z którym kompromis przyniesie po prostu kolejne zło i zbrodnie, jedynie odwołane w czasie.

Zielony (nie)ład

Komisja Europejska uważa, że produktywność rolnictwa może zapewnić tylko przyroda. Dlatego forsuje rozporządzenie dotyczące odbudowy obszarów przyrodniczych. Wbrew krytyce, która staje się coraz głośniejsza. Nie tylko w Polsce



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Znaki protestu widać było wszędzie – na polach uprawnych, polderach, poboczach dróg. A między Uithoorn i Leimuiden na południowy zachód od Amsterdamu holenderska flaga wciąż powiewa samotnie na rogu pastwiska. Tyle że wisi do góry nogami: niebiesko-biało-czerwona. Na morzu był to kiedyś sygnał SOS – teraz rolnicy używają go, by wołać o pomoc. Tysiące z nich protestuje od lat przeciwko planom rządu, by zredukować emisję tlenu azotu do 2030 r. o co najmniej połowę, co wiązałoby się m.in. z radykalnym zmniejszeniem pogłowia zwierząt hodowlanych. Miałoby to poprawić jakość powietrza, wody i gleby i pozwolić rolnictwu spełnić normy UE.

Spór o nawozy sięgnął apogeum w lipcu 2022 r. Rząd premiera Marka Ruttego groził rolnikom wówczas nawet wywłaszczeniem. Tzw. kryzys azotowy miał

dla rządzących krajem liberalistów poważne skutki: Rutte, który nieprzerwanie od 2010 r. piastuje urząd premiera, podał się na początku lipca br. do dymisji, oficjalnie z powodu niezgody w koalicyjnym rządzie czterech partii w sprawie polityki migracyjnej. Nieoficjalnie mówi się, że to zabieg taktyczny. Na fali kryzysu azotowego założony w 2019 r. Ruch Rolników-Obywateli (BBB) wygrał w marcu wybory lokalne i zdobył 15 mandatów w 75-osobowej Eerste Kamer, izby wyższej holenderskiego parlamentu. Według Politico liberaliści obecnie wciąż mają wysokie notowania. Im szybciej odbędą się więc wybory parlamentarne, tym lepiej dla nich. Zanim poparcie dla BBB urośnie na tyle, by im zagrozić. Dla samego Ruttego oznacza to zapewne koniec politycznej kariery, o którym zresztą sam otwarcie mówi. Nawet gdyby chciał wrócić po wyborach, nie chce tego aż 85 proc. Holendrów.

EKOLOGICZNY DYKTAT W CZASACH KRYZYSU

Wprowadzana brutalnymi środkami agenda ekologiczna, „słuszną”, bo – jak przekonywał wówczas rząd w Hadze – oparta na „naukowej prawdzie”, jest

zgodna z Europejskim Zielonym Ładem, który jest realizowany za pomocą podobnych argumentów. Mowa oczywiście o tzw. Nature Restoration Law, czyli przepisach mających na celu odtworzenie przyrody do 2030 r. na co najmniej 20 proc. obszarów lądowych i morskich w Unii Europejskiej, w tym rekultywację niektórych ekosystemów, ponowne nawodnienie 30 proc. osuszonych torfowisk, przywrócenie 25 tys. km swobodnie płynących rzek, dekarbonizację rybackiej floty, przeciwdziałanie spadkowi liczby owadów zapylających oraz zwiększenie terenów zielonych w miastach.

Projekt, jeden z flagowych w ramach Europejskiego Zielonego Ładu, od początku budził kontrowersje. Sprzeciwiała się mu europejska prawica, ta bardziej i mniej umiarkowana, oraz grupy lobbystyczne reprezentujące sektory rolnictwa (Copa Cogeca), leśnictwa i rybołówstwa. A nawet część liberalnej grupy Renew w Parlamencie Europejskim. Według krytyków po pandemii COVID-19 oraz kryzysie energetycznym wywołanym rosyjską agresją na Ukrainę na tle utrzymującej się w wielu krajach UE wysokiej inflacji nowe przepisy wymagają zbyt wiele od europejskich rolni-

ków zmagających się z rosnącymi kosztami. Może to zagrozić bezpieczeństwu żywnościowemu UE. Rolnicy i rybacy przekonywali, że przepisy są niejasne, zbyt wymagające oraz nie zawierają informacji, kto miałby za to wszystko zapłacić. Debaty nad rozporządzeniem w Parlamencie Europejskim były wyjątkowo burzliwe i emocjonalne. „Mniej gruntów dla rolników, mniej mórz dla rybaków, mniej działalności dla przedsiębiorstw i mniej europejskich produktów oraz miejsc pracy dla naszych obywateli” – grzmiała z mównicy Rosanna Conte, włoska eurodeputowana z grupy Tożsamość i Demokracja. Według niej rozporządzenie jest przesiąknięte ideologią. I nikt na nim nie zyska. Wątpliwości wyraziło także wiele krajów członkowskich, obok Polski były to Holandia, Dania, Austria, Finlandia, Szwecja czy Rumunia. Belgijski premier Alexander De Croo nawoływał do przerwy w ekologicznej agendzie UE, a irlandzki szef rządu Leo Varadkar przekonywał, że niektóre z celów rozporządzenia idą za daleko.

O WŁOS

Na czele sprzeciwu wobec Nature Restoration Law stanęła Europejska Partia Ludowa, która już od jakiegoś czasu próbuje odgrywać rolę głównego obrońcy rolników w UE oraz chciała pokazać – jak określił to włoski dziennik „La Repubblica” – że jest nieodzowna i może stworzyć większości z prawicą lub z socjalistami, zielonymi czy liberałami w PE, w zależności od potrzeb. Szef partii Manfred Weber otwarcie zabiegał o polityczne względy Braci Włochów pod wodzą Giorgii Meloni oraz prowadził kampanię przeciwko kolejnemu flagowemu projektowi Europejskiego Zielonego Ładu: rozporządzeniu o pestycydach. Niemieccy chadecy, choć wcześniej popierali zieloną agendę UE, forsowaną przecież przez ich partijną koleżankę Ursulę von der Leyen, najwyraźniej uznali, że nie przysporzy im to poparcia przed wyborami do PE w 2024 r., ponadto może zaszkodzić niemieckim interesom, w chwili gdy weszły one w gospodarczą stagnację.

Przy wsparciu Europejskich Konserwatystów i Reformatorów, Tożsamości i Demokracji oraz części grupy Renew Europe EPL zdołała zbudować większość przeciwko przepisom w parlamentarnych komisjach rolnictwa i rybołówstwa. Komisja środowiska (ENVI) zarekomendowała w konsekwencji odrzucenie wniosku KE. Jej rekomendację poparło 312 europarlamentarzystów, przeciwko było 324, 12 się wstrzymało. Rozporządzenie przeszło więc zaledwie 12 głosami przewagi na tle protestu rolników przed budynkiem PE w Strasburgu oraz głośnych okrzyków ekologów na sali plenarnej, zgromadzonych wokół Greta Thunberg. „To wiel-

20 proc. terytorium Polski już jest obszarem chronionym, na którym nie można lokować żadnych inwestycji, szczególnie przemysłowych. Rozszerzenie tego obszaru, jak chce tego Komisja Europejska, zamieniłoby nasz kraj w przyrodniczy skansen

kie zwycięstwo społeczne” – radował się poseł lewicy z Hiszpanii César Luena po głosowaniu, którego kraj pełni od 1 lipca br. przewodnictwo w Radzie UE.

Może i wielkie zwycięstwo, ale także pyrrusowe. Dzięki m.in. poprawkom zgłoszonym przez EKR z rozporządzenia zostały wykreślone zapisy nakazujące krajom członkowskim tworzenia nowych obszarów chronionych, w tym nawadnianie osuszonych torfowisk. Ograniczono także odtwarzanie siedlisk lądowych wyłącznie do obszarów Natura 2000 i usunięto zobowiązania czasowe w tej kwestii. Ponadto rozporządzenie zostanie wprowadzone dopiero po przeprowadzeniu oceny jego wpływu na bezpieczeństwo żywnościowe Europy.

SZYBCIEJ NIŻ DINOZAURY

Takiej oceny obecnie nie ma. Za to są dane z Europejskiej Agencji Środowiska, z których wynika, że 81 proc. terenów naturalnych w Europie jest w złym stanie. Z wyjątkiem lasów.

Mimo osłabienia przepisów fakt, że przeszły, oznacza, że Komisja Europejska zyskała prawo do decydowania o gruntach, lasach i wodach w krajach członkowskich, czyli kolejne kompetencje. I jak najbardziej są uzasadnione obawy, że na wdrożeniu prawa stracą właśnie te kraje, gdzie przyroda jest w dobrej kondycji, a lasów, bagien i nieuregulowanych rzek nie brakuje. Tak jak w naszym kraju, gdzie wciąż są duże obszary dzikiej przyrody i panuje wyjątkowa bioróżnorodność. Polska zobowiązała się w 2003 r. do uczestnictwa w programie Natura 2000. W ten sposób 20 proc. terytorium lądowego RP stało się obszarem chronionym, na którym nie można lokować żadnych inwestycji, szczególnie przemysłowych. Rozszerzenie tych obszarów zamieniłoby Polskę krok po kroku w przyrodniczy skansen.

A Komisji Europejskiej się spieszy. Czuć bowiem rosnące zmęczenie zielonym ładem. We Włoszech władzę przejęła prawica, 23 lipca może się tak stać także w Hiszpanii. Europa skręca w prawo i nie wiadomo, jak będzie wyglądał skład PE po wyborach w 2024 r. Może się okazać, że brakuje większości dla

ambitnych celów ekologicznych Brukseli. Komisarz ds. klimatu Frans Timmermans przekonywał podczas debaty w PE: „Zielony ład to nie menu à la carte”. Trzeba brać wszystko albo nic. A ekolodzy straszili: „Ptaki na obszarach rolnych wymierają szybciej niż dinozaury”. Obie strony oskarżały się przy tym o kłamstwa i szerzenie dezinformacji.

Batalia o przyrodę w UE się więc dopiero rozpoczęła. Jak zauważył włoski dziennik „Corriere della Sera”: „Zielona transformacja wydaje się idealnie skrojona do podziału bogatych społeczeństw wzdłuż interesów, które kiedyś określano jako interesy klasowe”. Rozporządzenie tymczasem trafi pod obrady Rady Europejskiej, która będzie je dalej negocjowała z KE. Z niewiadomym wynikiem. 

Zimna wojna na

Z racji naszego miejsca na mapie wciąż jesteśmy zmuszeni popatrywać nerwowo na Wschód i na Zachód, czasem tylko dla dodania otuchy powtarzając sobie, że Pan Bóg umieścił Polskę między Rosją i Niemcami, bo nikt inny nie wytrzymałby takiego sąsiedztwa. Jest jednak w basenie Morza Śródziemnego miejsce, w którym aż trzeszczy od napiętych relacji. I choć wydają nam się one odległe, mają groźne konsekwencje dla Polski



MAŁGORZATA WOŁCZYK

Ostatecznym celem Kremla jest unicestwienie Europy manewrem okrążenia, atakując nie tylko wschodnią flankę przez Ukrainę, ale także z południa, przez kontynent afrykański” – ostrzega często Pilar Rangel, profesor prawa i stosunków międzynarodowych na Uniwersytecie w Maladze,

ekspert od terroryzmu w Afryce. Gdy rozmawiam z nią na temat wpływów Rosji, odpowiada: – Współpraca Rosji z krajami afrykańskimi rządzonymi przez reżimy skonfliktowane z Zachodem jest także jej strategią na podważanie ładu zachodniego świata. W niektórych krajach afrykańskich symbioza z Grupą Wagnera stała się tak silna, że zerwanie mogłoby doprowadzić do głębokiej destabilizacji rządu i samego kraju. Jednak Rosja będzie musiała wyjaśnić kilka kwestii 27 i 28 lipca, kiedy to Putin zwoła w Petersburgu drugi szczyt Rosja-Afryka i afrykańscy władcy będą chcieli usłyszeć odpowiedź na swoje wątpliwości.

AKTUALIZOWANA MAPA ZIMNEJ WOJNY

Kto jest największym sojusznikiem Rosji w basenie Morza Śródziemnego? Odpowiedź jest prosta: Algieria. Podczas niedawnej wizyty na Kremlu prezydenci Abd al-Madżid Tabbun i Władimir Putin świętowali datującą się już od czasów zimnej wojny niezachwianą przyjaźń. Algier jest dziś trzecim co do wielkości odbiorcą broni z Rosji, przeznaczając na to aż 6 proc. swojego PKB, a w ciągu ostatnich trzech lat importował od niej ponad 80 proc. sprzętu wojskowego i regularnie uczestniczy we wspólnych ćwiczeniach wojskowych. Przychodzi więc ochota spytać: prze-

piaskach Sahary

ciwko komu zbroi się Algieria, że nawet mimo nacisków UE odrzuca bojkot relacji z Rosją i składa czolobitne wizyty na Kremlu?

Historyczny wróg Algierii to znajdujące się po sąsiedzku Maroko. I tak się składa, że z kolei ten kraj jest jednym z najwierniejszych sojuszników USA. Oba państwa podpisały traktat o przyjaźni w 1786 r. Według Departamentu Stanu USA jest to najdłużej obowiązujący traktat o przyjaźni podpisany przez ten kraj (dla porównania Polska nawiązała relacje dyplomatyczne ze Stanami Zjednoczonymi dopiero w 1919 r.).

W ten sposób puzzle napięć i przyjaźni układają się w regionie Maghrebu w schemat znany nam doskonale jeszcze z zimnej wojny.

Czy zatem Maroko, obecne w naszej prasie ostatnio za sprawą słynnej Kartagate – afery korupcyjnej w unijnych instytucjach – jest państwem, o którego roli na szachownicy świata powinniśmy wiedzieć nieco więcej? Tak, bo królestwo Alawitów skutecznie rozgrywa Brukselę, czerpie obfite granty z przyjaźni z USA, a jak pokazał ostatni mundial – potrafi upokorzyć Europejczyków nawet na murawie.

Przede wszystkim Maroko pomaga uszczelnić wyjście na Ocean Atlantycki i tym samym zamykać drogę wpływom Rosji przez Algierię. Można sobie przypomnieć film „Casablanca”, by zrozumieć, że Maroko wcale nie jest jakimś nieznanym państwkiem afrykańskim, lecz sprawnym graczem geopolitycznym. Królestwo Alawitów nawet jeśli jest małym krajem, rządzone przez dyktatorski reżim króla Muhammada VI, szantażującym całą UE kurkiem z imigrantami, leży jednak w strategicznym miejscu, na skrzyżowaniu szlaków i stref wpływu. Trzeba przypomnieć, że Maroko za podszepem USA przełamało swoją neutralność wobec konfliktu na Ukrainie, stając się pierwszym krajem afrykańskim, który udzielił Kijowowi wsparcia militarnego. W przypadku zbrojnego konfliktu marokańsko-algierskiego u wrót nieprzygotowanej, południowej Europy to USA będą jak zawsze wspomagać Maroko, a Rosja – Algierię i będzie to inna odsłona zimnej wojny.

SEDNO SPORU

Trudno zrozumieć, czemu Maroko znajduje się tak mało miejsca w polskiej

debacie, tym bardziej że jak się okazało w styczniu – ważną rolę w korupcyjnym skandalu w UE miał odgrywać Abderahim Atmoun, ambasador Maroka w Polsce. Według ustaleń belgijskich śledczych ambasador miał korumpować europosłów w celu pozyskania ich poparcia dla marokańskiego planu autonomii dla Sahary Zachodniej. Ten skrawek nieurodzajnej, pustynnej ziemi wciąż powraca jako niewralgiczny temat, dlatego warto spojrzeć na mapę, by zrozumieć wagę problemu. Polskie MSZ ma jasne stanowisko w sprawie Sahary Zachodniej i zachowuje neutralność, uznając zapisy rezolucji Zgromadzenia Ogólnego ONZ co do jej statusu.

Sahara Zachodnia bywa nazywana ostatnią kolonią Afryki, choć wodzowie plemion Saharawi podpisali swoje „przyjazne podporządkowanie” Hiszpanii dopiero w 1934 r., mimo że ta już od czasu swoich wypraw zamorskich wznosiła tam forty i pierwsze osady. Stolica w El Ayoun została założona w 1940 r. i dopiero później zaczęto eksploatować zasoby naturalne, by – jak mówią Hiszpanie – pokryć znaczne wydatki Madrytu spowodowane utrzymywaniem tej odległej

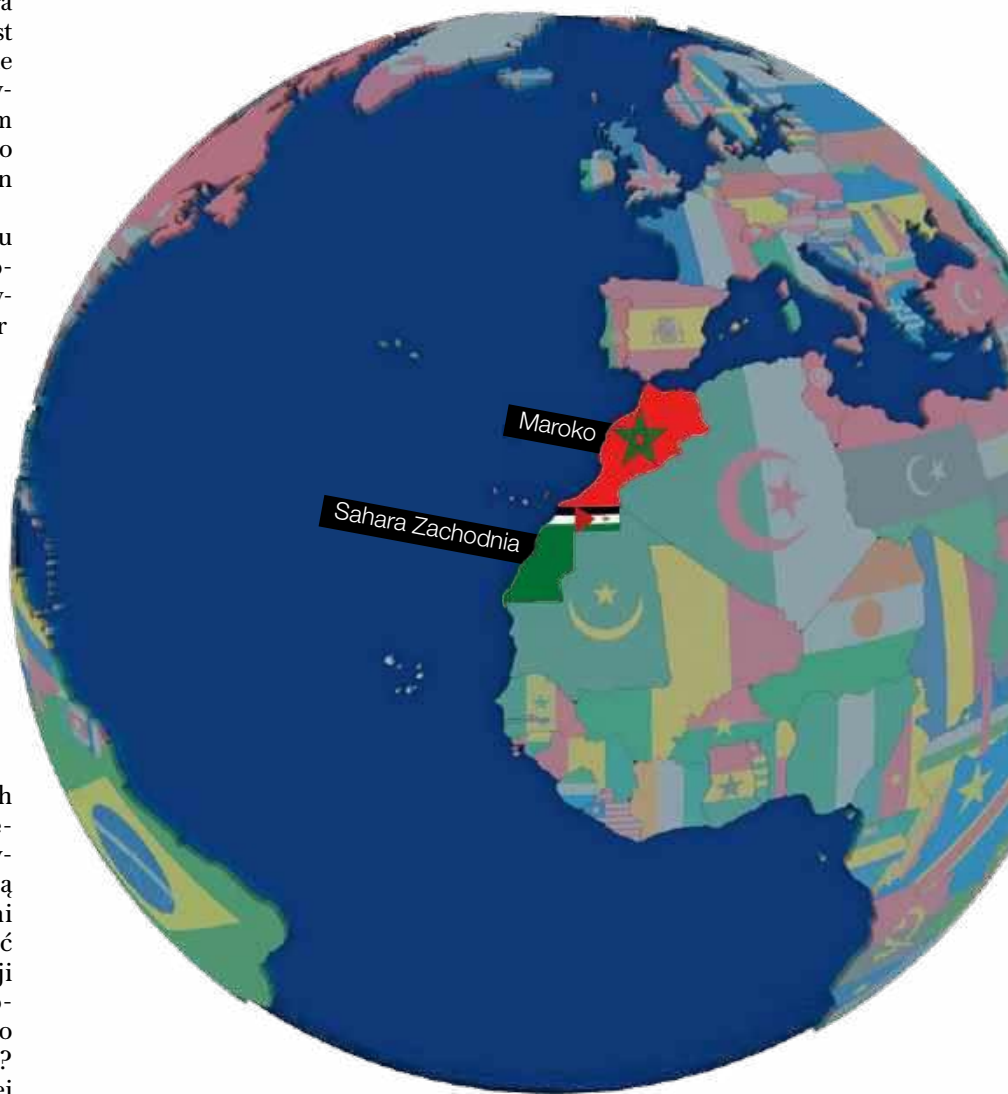
i nieproduktywnej prowincji hiszpańskiej. Miejscowi, znani jako Saharawi, byli praktycznie Hiszpanami, choć dodajmy uczciwie drugiej kategorii. Mogli podróżować do metropolii i tam się osiedlać, otrzymywali dowód osobisty podobny do hiszpańskiego. Pod zwierzchnictwem hiszpańskim Sahara Zachodnia odnotowała znaczny wzrost gospodarczy i demograficzny. Kopalnie fosforanów i bujne rybołówstwo przybrzeżne w połączeniu z nieprzerwanym przepływem kapitału z metropolii po raz pierwszy w historii umieściły ten obszar na mapie.

Pretensje Maroka do tego obszaru wedle Madrytu nie mają żadnej historycznej podstawy, a wedle Marokańczyków są w pełni uzasadnione, bo obszar należał wieki temu do królestwa Almorawidów, a ponadto lud Saharawi od wieków składał hołd sultanom Maroka. Korupcyjny proceder na forum Parlamentu Europejskiego miał więc ułatwić przekonanie Europy do racji Maroka. Co ciekawe, na rzecz Maroka przemawia fakt rozegranej brawurowo hybrydowej wojny w 1975 r.

Król Maroka Hasan II – wiedząc, że gen. Franco dogorywa na łożu śmierci, a Hiszpania przeżywa kryzys polityczny – wyprowadził tzw. zielony marsz. Strategia była prosta: wysłać 300 tys. swoich bezbronnych obywateli i 25 tys. dyskretnie wmieszanych w niego żołnierzy w niby-pokojowym marszu na ówczesną hiszpańską prowincję pod flagami Maroka, a także USA (!), by skłonić do poparcia i legitymizacji aneksji Sahary Zachodniej. Hiszpańscy pogranicznicy okazali się bezradni, bo jak mieli strzelać do masy cywilów? W czasie trwającej wówczas zimnej wojny Rabat umiał przekonać USA, że zajęcie przez Alawitów hiszpańskiej Sahary przysłuży się atlantyckim interesom, bo w ten sposób ochronią niewralgiczne obszary przed dostępem sąsiedniej Algierii sprzymierzonej z ZSRS. Majstersztyk, dzięki któremu król Maroka przejął w sposób pokojowy ziemię (do której nie miał żadnych praw!), powinien zagościć w podręcznikach w rozdziale strategii ekspansji i ataków hybrydowych.

Lud Saharawi nie miał jednak ochoty na poddaństwo wobec brutalnego, marokańskiego okupanta i po części podjął zbrojną walkę, której przewodził algierski Front Polisario, czyli ruch narodowowyzwoleńczy organizowany i finansowany przez Sowietów za po-

zaciekle broni tam swoich interesów, bo chce mieć geostrategiczny przyczółek w basenie Morza Śródziemnego. W 1991 r., po latach walk i tysiącach ofiar wśród cywilów, ONZ skłonił Rabat i Front Polisario do porozumienia prze-



średnictwem Komunistycznej Partii Hiszpanii. To marksistowski Front Polisario proklamował na spornym terenie Saharyjską Arabską Republikę Demokratyczną pod hasłami ochrony ludu Saharawi. Za plecami Polisario od początku stała też Moskwa, która już w latach 70. XX w. miała nadzieję, że za pośrednictwem bratniej Algierii udaje jej się uzyskać dostęp do Atlantyku i zniszczyć wpływy USA. Do dziś Rosja

widującego zawieszenie broni i zorganizowanie referendum pod auspicjami Hiszpanii w sprawie samostanowienia ludu Saharawi.

ŚWIATOWE PRZEPYCHANKI O SAHARĘ

Mimo nakazu ONZ, by dekolonizacja odbyła się na zasadzie plebiscytu,

nigdy do niego nie doszło (z powodu niemożności przeprowadzenia uczciwego spisu ludności), a faktyczna okupacja Sahary przez Maroko pogłębiła krwawy konflikt z sąsiednią Algierią. Zatem niewyjaśniony status dawnej kolonii hiszpańskiej trwa aż do dziś. Katalizatorem zdarzeń okazał się jednak tweet prezydenta Trumpa, który na odchodnym z Białego Domu „podarował” Saharę Zachodnią Królestwu Marokańskiemu, uznając jego roszczenia terytorialne w zamian za nawiązanie przez Rabat dyplomatycznych relacji z Izraelem. Tak więc w grudniu 2020 r. USA uznały zwierzchność Maroka nad Saharą Zachodnią wbrew decyzji ONZ o konieczności przeprowadzenia referendum. Ta decyzja wzburzyła nie tylko Hiszpanię, lecz także Algierię, bo to na jej terytorium prześladowany przez Marokańczyków lud Saharawi znajdował schronienie. Hiszpański rząd był zakłopotany postawą Ameryki, marokańskimi naciskami i faktem, że Niemcy, a także początkowo Francja przychyliły się do planu, który zakładał faktyczny protektorat nad Saharawi.

Niespodziewanie jednak dla wszystkich w marcu 2022 r. hiszpański premier Pedro Sánchez zrobił historyczny zwrot w relacjach z Rabatem i uznał, że marokański plan autonomii jest jedynym realnym i sensownym. Opinia publiczna Hiszpanii zatrzęsa się jednak z oburzenia i trwa w nim do dziś. Sánchez tłumaczył, że decyzja miała na celu położenie kresu wzajemnej agresji i napięcia z Marokiem, nasilających się zwłaszcza po ataku hybrydowym na Ceutę, gdy 17 maja 2021 r. aż 10 tys. imigrantów zostało nagle wepchniętych przez Maroko do spokojnego hiszpańskiego miasta. Rabat pokazał w ten sposób Madrytowi, że w każdej chwili może go zalać odkręconym kurkiem z imigrantami. Od roku jednak we wszystkich mediach Hiszpanii, a nawet wśród wysokich funkcjonariuszy publicznych, mówi się otwarcie o tym, że to służby specjalne Maroka za sprawą systemu Pegasus, szpiegującego telefon premiera – znalazły się w posiadaniu treści, którymi mogą

szantażować Sáncheza, wymuszając na nim różne dziwne decyzje ze szkodą dla Hiszpanii. A jednocześnie trzeba przyznać, że kontekst geopolityczny sprawia, że ekonomiczna, polityczna i społeczna stabilność Hiszpanii zależy od sojuszu między stolicami, więc to też może wyjaśniać uległość Sáncheza wobec Rabatu.

Bezpieczeństwo Hiszpanii w dużej mierze leży w rękach sąsiada z południa, bo to Maroko jest krajem stowarzyszonym z UE, który w zamian za gigantyczne fundusze płynące z Brukseli (ta wysłała pakiet 500 mln euro do Rabatu) zajmuje się ochroną antyislamistyczną zarówno Hiszpanii, jak i Europy. Zdaniem niektórych ekspertów Maroko tylko pozoruje ochronę południowych

Maroko skutecznie rozgrywa Brukselę, czerpie obfite granty z przyjaźni z USA, a jak pokazał ostatni mundial – potrafi upokorzyć Europejczyków nawet na murawie

granic Europy w zamian za ogromny haczyk od Madrytu i UE, zdaniem wielu innych – rzeczywiście wywiad marokański skutecznie umie eliminować komórki dżihadystyczne i efektywnie współpracować z CIA w tropieniu islamistów.

NOWA WOJNA W EUROPIE?

Tymczasem, jak twierdzą eksperci, po międzynarodowym uznaniu marokańskiego zwierzchnictwa na Saharą Zachodnią Algieria bardziej niż kiedykolwiek potrzebuje Rosji i Chin jako sojuszników w kwestii swojego bezpieczeństwa narodowego. Wszyscy widzą, jak Maroko zbroi się na potęgę, kupując najnowocześniejsze uzbrojenie od USA: czołgi Abrams, samoloty F-16, helikoptery Apache, drony SeaGuardian.

Maroko bierze też udział w cyklicznych ćwiczeniach wojskowych „African Lion” i co dwa lata odnawia warunki swojego dwustronnego stowarzyszenia z NATO, którego dobrze zdefiniowane cele służą obu stronom. Dokument kładzie nacisk na walkę z terroryzmem, ochronę krytycznej infrastruktury energetycznej, cyberbezpieczeństwo, modernizację oraz współpracę operacyjną sił zbrojnych paktu i Maroka. Jednostki wojskowe Alawitów są regularnie zapraszane do udziału w połączonych ćwiczeniach lądowych, morskich i powietrznych organizowanych przez NATO.

Jeśli znając ten kontekst, spojrzymy na aferę Katargate i fakt, że w ramach tego nielegalnego procederu Maroko lobbowało i przekupywało europosłów na rzecz uznania ich roszczeń do Sahary Zachodniej, sprawa potwornie się komplikuje.

Z jednej strony – co oczywiste – opowiadamy się za postanowieniami rezolucji Rady Bezpieczeństwa ONZ, a prześladowany lud Saharawi ma oczywiste prawo do samostanowienia w drodze referendum. Jednak z drugiej – należy pamiętać, że Maroko jest strategicznym partnerem NATO, zwłaszcza jeśli chodzi o basen Morza Śródziemnego, i nikt, kto spodziewa się realizacji scenariusza nowej zimnej wojny, nie chciałby zwiększenia wpływów Rosji i jej rosnącej obecności w tzw. miękkim podbrzuszu Europy. Nikt też nie chce nowej wojny między Algierią a Marokiem o piaszczysty skrawek ziemi, który spowodowałby hekatombę ofiar i angażował potęgi światowe. Odrębną sprawą jest fakt, że ekspansjonizm terytorialny Maroka i jego coraz to nowe, absurdałne roszczenia już nawet względem hiszpańskiej Ceuty, Melilli i Wysp Kanaryjskich stają się egzystencjalnym problemem dla Hiszpanii – naszego partnera w UE i członka NATO.

Teraz Polacy mogą zrozumieć, dlaczego piaszczysty skrawek Sahary wywołuje ból głowy światowych potęg i niemoc ostatecznego rozwiązania konfliktu od sześciu dekad. Zimna wojna wcale nie dotyczy tylko naszego regionu...

Patriarcha Cyryl: ideolog imperium

Jak to się stało, że duchowy zwierzchnik Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej został głównym propagatorem doktryny usprawiedliwiającej masowe zbrodnie?



GRZEGORZ GÓRNY

Każde imperium potrzebuje ideologii, która stanowiłaby jego spoiwo. Bez takiej jednoczącej idei rozpadnie się ono rozzerwane przez siły odśrodkowe. Nie może być tą ideologią nacjonalizm, który jest formułą zbyt wąską dla imperium. To ostatnie składa się bowiem z wielu żywiołów etnicznych i religijnych, nie może więc ograniczać się do jednej tylko nacji. Taką koncepcją w Rosji okazuje się dziś doktryna „ruskiego miru”, której głównym propagatorem jest patriarcha Moskwy i Wszechrusi Cyryl.

Słowo „mir” ma w języku rosyjskim dwa znaczenia: świat i pokój. Z jednej strony jest to więc cywilizacja oparta na kulturze rosyjskiej i religii prawosławnej, a z drugiej – ponadnarodowy ład na wzór Pax Romana, czyli „pokoju rzymskiego”, który pozwalał godzić różne etnosy w ramach jednego imperium.

Cyryl zaczął nagminnie odwoływać się do tego terminu w swoich wystąpieniach publicznych od 2007 r. Najpierw używał go w pierwszym znaczeniu: jako ideę trójjedynego narodu: Rosjan, Ukraińców i Białorusinów, którzy niegdyś tworzyli wspólnie Świętą Ruś. W ostatnim czasie zaczął jednak interpretować pojęcie „ruskiego miru” również w drugim znaczeniu. Dał temu wyraz m.in.

w liście napisanym do uczestników odsłonięcia pomnika św. Aleksandra Newskiego w Ałmaty w Kazachstanie w połowie lipca br.

DZIEDZICTWO ALEKSANDRA NEWSKIEGO

W tym kontekście warto poświęcić nieco uwagi osobie Aleksandra Newskiego, ponieważ jest on uznawany w kręgach państwowych i kościelnych za głównego patrona współczesnej geopolityki rosyjskiej. Ówczesny książę Nowogrodu,

a potem wielki książę Włodzimierza, dokonał w XIII w. strategicznego wyboru. Zagrożony wojną na dwa fronty, na zachodzie i na wschodzie, postanowił z jednej strony walczyć przeciw Niemcom i Szwedom, a z drugiej podporządkował się chanatowi mongolskiemu. Miał w ten sposób uznać – według dzisiejszej narracji – że większym zagrożeniem jest Zachód i katolicyzm niż Azja i Złota Orda. Z tym pierwszym niebezpieczeństwem trzeba walczyć, a z drugim można się porozumieć nawet kosztem utraty własnej niepodległości.



Przed śmiercią Aleksander Newski podzielił swoje włości między synów, dając każdemu z nich inne ziemie. Moskwa przypadła Danielowi, który jako pierwszy w historii przyjął tytuł księcia moskiewskiego. To właśnie tam przeniosło się wkrótce centrum polityczne Rusi. Tamtejsi władcy kontynuowali też obrany przez Aleksandra kurs, pielgrzymując każdorazowo po wstąpieniu na tron do Złotej Ordy, by oddać wiernopoddańczy hołd chanowi. Dopiero pod koniec XV w. udało im się zrzucić zwierzchność tataro-mongolską.

Aleksander Newski jest ważną postacią także dla Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej, ponieważ został przez nią w 1547 r. kanonizowany. Cyryl, który nigdy nie przepuszcza okazji, by uczcić pamięć świętego monarchy, napisał więc wspomniany list, w którym przypomniał, że książę „swoimi zdolnościami dyplomatycznymi pozwolił na ukształtowanie się jednolitego modelu międzyreligijnego i międzyetnicznego świata w przestrzeni eurazjatyckiej”, a zatem „jego godne pochwały idee są dziś zgodne z polityką kierownictwa Republiki Kazachstanu, zmierzającą do wzmocnienia wielokulturowej i wieloreligijnej jedności”.

Cyryl nawiązał też do czasów sowieckich i walki z nazistami, podkreślając, że bohaterskie czyny Aleksandra Newskiego „zainspirowały wielu ludzi w strasznych latach Wielkiej Wojny Ojczyźnianej do odważnej i stanowczej obrony suwerenności narodowej, wolności duchowej i ideałów moralnych”.

SYMBIOZA Z EURAZJATYZMEM

Sięganie przez patriarchę po przymiotnik „eurazjatycki” nie było przypadkowe. Kazachstan jest bowiem krajem, w którym większość mieszkańców deklaruje się jako muzułmanie. To sprawia, że spoiwem religijnym, kulturowym i ideowym nie może być tam prawosławie. Nie może ono też stanowić wspólnej płaszczyzny budowania jedności Rosjan z Uzbekami, Turkmenami, Kirgizami, Tadżykami i innymi narodami wyznającymi islam. W tej sytuacji przydatna staje się koncepcja eurazjatyizmu, czyli nowej ideologii dla imperium, stworzonej już po upadku Związku Sowieckiego, której głównym przedstawicielem pozostaje czołowy geopolityk moskiewski Aleksander Dugin.

W myśl tej teorii Eurazja stanowi odrębną cywilizację. Jej największym składnikiem pozostaje Rosja, która w większym stopniu opiera się na azjatyckiej niż na europejskiej kulturze politycznej. Całkowitym przeciwieństwem Eurazji, zwłaszcza jeśli chodzi o hierarchię wartości, pozostaje Zachód, rozumiany głównie jako świat anglosaski. Te dwie siły są skazane na nieustanny konflikt z powodów geopolitycznych, aksjologicznych, metafizycznych i duchowych.

Wyznawca powyższych poglądów Aleksander Dugin przez wiele lat był traktowany z nieufnością przez kręgi kierownicze Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej jako myśliciel heterodoksyjny, a nawet heretycki. Po 2014 r. (czyli po wybuchu wojny z Ukrainą) nastąpiło jednak zbliżenie środowisk związanych z Cyrylem i Duginem, czego wyrazem jest działalność stacji telewizyjnej i portalu Tsargrad TV. Oba media zostały założone w 2015 r. przez oligarchę i miliardera Konstantina Malofiejewa – największego prywatnego sponsora patriarchatu moskiewskiego. To właśnie w tych kręgach dokonuje się synteza dwóch koncepcji: „ruskiego miru” i eurazjatyizmu.

Od eurazjatów Cyryl przejął utożsamienie Zachodu z siłami ciemności, szatanem i Antychrystem. Wcześniej mówił co prawda o kosmicznej walce między Dobrem a Złem, ale ujmował ją w kategoriach czysto duchowych. Po 24 lutego 2022 r. demoniczny wróg przybrał jednak konkretny kształt kolektywnego Zachodu, który dąży z wszystkich sił do zniszczenia Świętej Rusi z jej systemem wartości. To sprawia, że patriarcha zagrzewa Rosjan do wojny na Ukrainie i błogosławi żołnierzy, którzy dokonują masowych zbrodni na bezbronnej ludności cywilnej. W jego optyce walka z absolutnym Złem jest w stanie usprawiedliwić nawet ludobójstwo.

KONSTRUKCJA METODOLOGÓW

W tej sytuacji nic dziwnego, że aktywność Cyryla cieszy się całkowitym poparciem Władimira Putina, odpowiadając na zapotrzebowanie władz. Trzeba bowiem pamiętać, że po upadku Związku Sowieckiego rządzący w Moskwie mieli problem. Komunizm, który był obowiązującą ideologią imperium, skompromitował się całkowicie, pozostawiając po sobie ideową próżnię. Trzeba było tę pustkę jakoś wypełnić. Za prezydentury Jelcyna stworzono nawet specjalną komisję, której głównym zadaniem miało być wypracowanie nowej idei państwowotwórczej, ale próba się nie powiodła.

Do roli nowej ideologii chciało aspirować prawosławie, jednak okazało się, że posiada ono zbyt wąską bazę społeczną. Ludność była tak zateizowana, a Cerkiew tak słaba, także intelektualnie, że nie dało się tego urzeczywistnić. W tej sytuacji w latach 90. pojawiła się formuła „ruskiego miru”, w której prawosławie, owszem, było ważnym, ale nie najważniejszym składnikiem. Co ciekawe, wspomniana koncepcja nie powstała ani w kręgach nacjonalistycznych, ani kościelnych, lecz w środowisku Moskiewskiego Koła Metodologicznego. Jego przedstawiciele stworzyli własny nurt naukowy określany mianem SMD, czyli „system, myśl, działalność”. Celem grupy było nie tylko prowadzenie badań, lecz także wykorzystanie ich wyników w praktyce do rozwiązywania konkretnych problemów zarządzania społecznego.



Fot. papieża24/Shutterstock.com

Członkowie tego gremium, wśród których znajdowali się m.in. Gieorgij Szczedrowicki, Gleb Pawłowski czy Jurij Krupnow, podeszli praktycznie do kwestii konstruowania systemów społecznych i wypracowali model „ruskiego miru”. Jego podstawą miała być nie religia czy narodowość, lecz kultura – myśl i mowa. W ich wizji „ruski mir” to „struktura sieciowa dużych i małych społeczności, które myślą i mówią po rosyjsku”. Obejmuje ona nie tylko Rosję, lecz także inne kraje, w których żyje mniejszość rosyjskojęzyczna, dlatego porównać ją można do archipelagu. Z czasem definicja owego pojęcia zaczęła ewoluować, niemniej należy pamiętać, że po upadku komunizmu jako pierwsi do obiegu publicznego wprowadzili je stratedzy i technolodzy polityczni.

SYMBIOZA Z KGB

Dziś ich dzieło kontynuuje Cyryl, który znakomicie znajduje wspólny język z Putinem również dlatego, że łączy ich podobne doświadczenie współpracy w przeszłości z pewną instytucją, czyli KGB. Obecny patriarcha (w cywilu Władimir Gundiajew) błyskawiczną karierę w Cerkwi prawosławnej zawdzięczał swojemu promotorowi – metropolicie leningradzkiemu Nikodemowi Rotowowi, agentowi KGB ps. Adamant. Ten ostatni zasłynął z tekstów, w których dzielił ateizm na zły – burżuazyjny, i dobry – komunistyczny. Zachęcał też podległych sobie księży do współpracy z sowiecką bezpieką, przekonując ich, że nie ma w tym konfliktu sumienia.

To właśnie on w 1971 r. wysłał swojego osobistego sekretarza, 25-letniego wówczas Gundiajewa, na ważną placówkę zagraniczną – jako przedstawiciela patriarchatu moskiewskiego przy Światowej Radzie Kościołów w Genewie. Młody kapłan pełnił tam równoległe tajną misję jako agent KGB ps. Michajłow, którego oficerem prowadzącym był pracownik sowieckiego konsulatu Wadim Mielnikow. Zadanie duchownego polegało na wpływaniu na genewską instytucję, by

potępiała ona niecną działalność kapitalistycznego Zachodu. Zebrana wówczas argumentacja przyda mu się później, gdy zostanie patriarchą.

Cyryl zawsze z największą czcią wspomina metropolitę Nikodema, który zmarł niespodziewanie na zawał serca w 1978 r. podczas audjencji u Jana Pawła I w Watykanie. Gdy Gundiajew stanął na czele Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej, rozpoczął starania, by wynieść Nikodema na ołtarze jako świętego. Plany kanonizacji pokrzyżował jednak znany teolog, dia-

Od eurazjatów Cyryl przejął utożsamienie Zachodu z siłami ciemności, szatanem i Antychrystem. Wcześniej mówił co prawda o kosmicznej walce między Dobrem a Złem, ale ujmował ją w kategoriach czysto duchowych. Po 24 lutego 2022 r. demoniczny wróg przybrał jednak konkretny kształt kolektywnego Zachodu, który dąży z wszystkich sił do zniszczenia Świętej Rusi

kon Andriej Kurajew. Opublikował on mianowicie świadectwa o homoseksualnych czynach dostojnika, które doczekały się nawet w środowisku leningradzkich księży miana „nikodemowych grzechów”.

Przez niemal dwie dekady Cyryl był osobą numer dwa w rosyjskim prawosławiu, pełniąc od 1989 do 2008 r. funkcję przewodniczącego wydziału zewnętrznego stosunków cerkiewnych patriarchatu moskiewskiego. W tym czasie stworzył też podwaliny potęgi finansowej patriarchatu, który zaczął zajmować się m.in. handlem alkoholem i papierosami. Dużą zasługę w tym mieli doradcy ekonomiczni Cyryla, wśród których większość stanowili byli oficerowie KGB.

WYZWANIE ŚW. FILIPA

Po śmierci patriarchy Aleksego II (agenta KGB ps. Drozdow) jego następcą w 2009 r. został Cyryl. Tak się złożyło, że początek urzędowania nowego zwierzchnika Cerkwi zbiegł się w czasie z premierą głośnego filmu Pawła Łungina pt. „Car”. Reżyser we wspomnianym dziele ukazał konflikt między władzą świecką a duchowną, czyli między Iwanem Groźnym a moskiewskim metropolitą św. Filipem Kołyczewem. Obaj byli od dzieciństwa przyjaciółmi, jednak w pewnym momencie stanęli naprzeciw siebie jako antagoniści. Reprezentowali bowiem dwie instytucje, które weszły z sobą w spór. Car dokonywał wówczas krwawej rozprawy z bojarami, a powołane przez niego do życia szwadrony śmierci, zwane opryczniną, siały terror i spustoszenie w całym kraju. Monarcha zażądał wówczas od metropolity, by ten pobłogosławił jego zbrodnie. Gdy hierarcha odmówił, powołując się na prawo Boże, został na rozkaz władcy zamordowany.

Zdaniem Łungina był to kluczowy moment w historii Rosji, który można porównać do sporu o inwestyturę w XI w. między papieżem a cesarzem w świecie zachodnim. Biskupowi Rzymu udało się wówczas uratować niezależność Kościoła katolickiego od władzy świeckiej. Niestety, to samo nie powiodło się w Moskwie, co według reżysera fatalnie zaciążyło na późniejszych dziejach Rosji.

Wkrótce po premierze „Cara” wspomniany diakon Andriej Kurajew w jednym ze swoich tekstów pytał, czy świeżo wybrany patriarcha znajdzie w sobie dość odwagi, by pójść w ślady metropolity Filipa. Autora nurtowało pytanie, czy nowy zwierzchnik Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej zechce zerwać z zależnością tej instytucji od państwa i uczynić ją niezależną od władzy świeckiej.

Kolejne lata przyniosły odpowiedź na to pytanie. Dziś Cyryl robi dokładnie to, czego odmówił Iwanowi Groźnemu ówczesny metropolita Moskwy, czyli błogosławi zbrodnie. Św. Filip Kołyczew zapłacił za swoją postawę śmiercią męczennika. Nie ma wątpliwości, że patriarcha Cyryl odbierze swoją nagrodę.



**TOTALIZATOR
SPORTOWY**



GRALIŚCIE I **WY**GRALIŚCIE!

Jesteście Wielcy! Dzięki Wam 27 obiektów otrzyma dofinansowanie, które pozwoli na rozwój działalności sportowej i kulturalnej w Waszej okolicy.

Gratulujemy i dziękujemy!

#WYgrywamy Razem, bo **WYgrywamy zaczyna się od **WY****

gramywygrywamy.pl



Rodzina 800+. Busy informacyjne i pikniki w każdym województwie



Fot. Mateusz Włodarczyk/Alfresco

W trasę ruszyły busy informacyjne, w których rodzice mogą dowiedzieć się więcej o zmianach w programie Rodzina 500+. To przede wszystkim podniesienie wysokości świadczenia wychowawczego do 800 zł

W najbliższych tygodniach w każdym województwie będą odbywały się pikniki z poświęconymi programowi punktami informacyjnymi. Pierwsze wydarzenia już za nami, towarzyszyła im wyjątkowa atmosfera i wspaniała zabawa – mówi minister rodziny i polityki społecznej Marlena Maląg.

Od przyszłego roku wysokość świadczenia wychowawczego w ramach programu Rodzina 500+ wzrośnie z 500 zł do 800 zł miesięcznie. Sejm przyjął ustawę w tej sprawie.

– Program Rodzina 500+ zrewolucjonizował politykę społeczną państwa. Dzisiaj stawiamy kolejny krok w kierunku lepszej przyszłości naszych dzieci, podnosząc wysokość świadczenia do 800 zł. To większe bezpieczeństwo finansowe, lepsze perspektywy i możliwości. To najlepsza inwestycja – mówi minister rodziny i polityki społecznej Marlena Maląg.

Program Rodzina 500+ to już przeszło 230 mld zł dla rodzin w Polsce. Każdego miesiąca ze wsparcia korzysta 7 mln dzieci.

PIKNIKI RODZINNE W KAŻDYM WOJEWÓDZTWIE

W związku ze zmianami w programie Rodzina 500+ przez całe wakacje w każdym województwie będą organizowane pikniki rodzinne. Pierwsze już się odbyły. Podczas poszczególnych wydarzeń w wyznaczonych punktach jest możliwość



Ministerstwo Rodziny
i Polityki Społecznej

zasięgnięcia informacji na temat programu i samego świadczenia wychowawczego. Wkrótce każdy powiat w kraju odwiedzą z kolei specjalne busy, w których będzie można dowiedzieć się więcej o nowej odsłonie programu i jego zasadach. Pierwsze z nich już ruszyły w trasę.

RODZICE NA RYNKU PRACY

– Zależy nam, by rodzinom w Polsce żyło się bezpiecznie, by rodzice mogli realizować się zawodowo. Rolą państwa jest wspieranie ich w tej kwestii. Dlatego zmieniamy przepisy, wprowadzamy kolejne regulacje chroniące pracujących rodziców, wydłużamy urlopy rodzicielskie, wprowadziliśmy pracę zdalną i dyrektywy unijne zapewniające m.in. większą równość na rynku pracy. Dlatego przeznaczamy coraz większe środki na tworzenie nowych miejsc opieki nad najmłodszymi dziećmi – mówi minister Maląg.

W ciągu ostatnich ośmiu lat liczba miejsc opieki nad dziećmi do trzech lat w całym kraju niemal potroiła się z 84 tys. w 2015 r. do 232 tys. w 2023 r.

JESZCZE WIĘCEJ MIEJSC OPIEKI NAD NAJMŁODSZYMI DZIEĆMI

Dzięki zwiększeniu budżetu programu Maluch+ do 5,5 mld zł tych miejsc będzie jeszcze więcej. W ramach zakończonego 19 lutego br. naboru wojewodowie będą podpisywać umowy na utworzenie w ramach programu Maluch+ blisko 80 tys. miejsc opieki, w tym ok. 38 tys. miejsc opieki przez gminy. Blisko 40 proc. tych umów dotyczy tzw. białych plam, czyli obszarów, na których obecnie brakuje miejsc w instytucjach opieki. Tym samym liczba „białych plam” zmniejszy się z 1105 do 683.

Na początku lipca br. uruchomiono nabór stały do programu.

– Chcemy, by wszystkie środki były przeznaczone właśnie na tworzenie nowych miejsc w miastach i miasteczkach w całej Polsce. Chcemy likwidować białe plamy, w których rodzice nie mogą liczyć na żłobek czy klub dziecięcy – podkreśla minister Marlena Maląg.

DOBRO RODZIN NA PIERWSZYM MIEJSCU

– Wszystkie nasze działania są podyktowane dobrem polskich rodzin. Wszystkich zainteresowanych gorąco zapraszam do uczestnictwa w organizowanych w te wakacje w całej Polsce piknikach rodzinnych, podczas których będzie możliwość

zadania pytań i dowiedzenia się więcej na temat zmian w programie Rodzina 500+ – zachęca minister rodziny Marlena Maląg.

K

ULTURY



Róż w natarciu

To będzie najgłośniejszy pojedynek lata. W ten sam weekend wchodzą na ekrany „Oppenheimer” Christophera Nolana i „Barbie” Greta Gerwig. Powstanie filmu o rozterkach najstłynniejszej lalki świata zainicjowała Australijka Margot Robbie



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

Jak porównać historię fizyka Juliusa Roberta Oppenheimera, nazywanego ojcem bomby atomowej, z kinową fantazją o kultowej lalce Barbie? Płaszczyzną stało się kino. I nośność oraz potencjalna siła rażenia tak różnych od siebie produkcji.

O komentarz do ekranowego pojedyńku został poproszony m.in. Tom Cruise. Bo już wiadomo, że to nie jego „Mission Impossible: Dead Reckoning Part 1” (z polskim akcentem w postaci Marcina Dorocińskiego w obsadzie) rozbije wakacyjny biletowy bank. Zwycięzcę wyłoni kinowe zderzenie atomu z różem. Zapytany, który z filmów obejrzy w weekend otwarcia, Cruise stwierdził dyplomatycznie, że oczywiście oba.

O CO TYLE SZUMU?

Jak to się stało, że symbol kiczu – i zarazem marketingowej potęgi, która od sześciu dekad mimo niezliczonych kontrowersji wzmacnia markę Barbie – ma szansę przyciągnąć do kin nie tylko dziecięcą czy kobiecą, lecz także męską część widowni?

Wydaje się, że poczynania oponentów i prześmiewców, które od początku towarzyszyły ekranowemu projektowi ze słynną lalką w głównej roli, odniosły przeciwny skutek. I film o zderzeniu plastikowego świata (i takiego też kanonu urody) z rzeczywistością – choćby z ciekawości, o co tyle szumu – obejrzą również fani akcji i thrillerów.

Reżyserii i współtworzenia scenariusza, a także udziału w produkcji filmu podjęła się Greta Gerwig, dziś przede wszystkim doceniana za pracę po drugiej stronie kamery. Jej „Małe kobiety” z 2019 r. były nominowane do Oscara w sześciu kategoriach, w tym za scenariusz autorstwa Gerwig. Nominacje do Oscara dostała też za reżyserię i scenariusz debiutanckiego filmu „Lady Bird” z 2017 r.

Co ważne, licząca się dziś w Hollywood reżyserka, scenarzystka i producentka przysgodę z kinem zaczynała od grania. Doceniono ją m.in. nominacją do Złotego Globu za rolę we „Frances Ha” z 2012 r. Teraz aktorskie doświadczenie Gerwig procentuje w jej filmach – nie tylko zna realia planu, co pozwala dogadywać się z obsadą i ekipą, lecz także jest otwarta na różne formy udziału członków zespołu w jej projektach.

Nie odmówiła, gdy z propozycją zrealizowania fabularnego filmu o ikonicznej lalce Barbie pojawiła się u niej aktorka, która od blisko dekady i z niezłym skutkiem działa też w produkcji.

Z ANTYPODÓW DO HOLLYWOOD

Mowa o urodzonej w Australii (w 1990 r.) Margot Robbie. Począwszy od roli w nominowanym do Oscara filmie Martina Scorsese „Wilk z Wall Street” (2013) – gdzie zagrała u boku Leonardo DiCaprio – znakomicie radzi sobie nie tylko jako hollywoodzka aktorka.

W 2014 r. założyła własną firmę produkcyjną LuckyChap Entertainment. Dwa lata później w rodzinnej Australii wyszła za mąż za brytyjskiego producenta Toma Ackerleya i w tym samym roku zagrała m.in. dzielną Jane w filmie „Tarzan: Legenda” oraz komiksową postać z „Legionu samobójców”.

Do czarnego charakteru Harley Quinn wracała jeszcze kilkakrotnie. Najpierw w tzw. spin-offie (jej bohaterka tak się spodobała, że w 2020 r. powstał osobny film nawiązujący do „Legionu...” – „Ptaki Nocy (i fantastyczna emancypacja pewnej Harley Quinn)”. Robbie była też jego producentką. Rok później pojawiła się w obrazie „Legion samobójców: The Suicide Squad”. W 2024 r. jej bohaterka dołączy do Kobiety-Kota i Trującego Bluszczu w produkcji „Gotham City Sirens”.

GORĄCE TEMATY

Komiksowa Harley Quinn dała Margot Robbie wielką popularność wśród kinowych widzów. Pierwszą nominację do Oscara przyniosła jej rola lyżwiarki



figurowej Tonyi Harding w biograficznym filmie „Jestem najlepsza. Ja, Tonya” (2017), który zresztą współprodukowała. Rok później, w obrazie „Maria, królowa Szkotów”, zagrała królową Elżbietę u boku Saoirse Ronan jako Marii Stuart.

Kolejną szansę na nagrodę Amerykańskiej Akademii Filmowej otrzymała za drugi plan w filmie „Gorący temat” (2019), gdzie jej ekranowymi partnerkami były Charlize Theron i Nicole Kidman. W tym samym roku w „Pewnego razu... w Hollywood” Quentina Tarantino, wcieliła się w brutalnie zamordowaną aktorkę i żonę Romana Polańskiego Sharon Tate.

Na planie „Amsterdamu” (2022) Davida O. Russella – kostiumowego filmu, którego akcja rozgrywa się w Ameryce lat 30 ub.w. – pracowała m.in. z Christianem Bale’em i Robertem DeNiro. Do Złotego Globu nominowano ją jednak za postać wykreowaną (w tym samym roku) w „Babilonie” Damiena Chazelle’a (w dramacie o Hollywood lat 20. grał też Brad Pitt).

Najnowszą rolę – w pierwszej aktorskiej produkcji o Barbie – można powiedzieć, załatwiła sobie sama. I to u boku Ryana Goslinga.

SZANSA I PRZERAŻENIE

Greta Gerwig wspomina: „Barbie przyszła do mnie za pośrednictwem Margot Robbie. Margot była jedyną, która zdobyła do niej prawa, i pojawiła się z pomysłem w Warner Bros. To ona właściwie

prowadziła cały projekt. Spotkałyśmy się, a jestem wielką fanką Margot jako aktorki, ale kiedy rozmawiałyśmy, zrozumiałam, jak niewiarygodną jest też producentką. Okazała się niezwykle inteligentna, bardzo zaangażowana i naprawdę zainteresowana”.

Robbie wtóruje: „Barbie to ważna i rozpoznawalna na całym świecie marka. Wielu ludzi wspomina ją z nostalgią. Kręcenie filmu o Barbie było dla nas wielką szansą – pomyśleliśmy z Gretą, że zrobimy coś naprawdę wyjątkowego, jeśli podejmiemy do tego tematu w nieoczekiwany, zaskakujący i sprytny sposób. Było to również – jak mówiła Greta, przerażające doświadczenie. Wiedziałyśmy, że porywamy się na coś wielkiego, bo widzowie mają już na temat Barbie wyrobione zdanie.

IKONA I MARKETING

Do planu stworzenia filmu o kultowej lalce Gerwig dodała pomysł „mnogości Barbie i Kenów”. Główna bohaterka mówi na ekranie: „Jestem tą Barbie, którą każdy sobie wyobraża, kiedy myśli

o Barbie”, ale obok siebie ma całą galerię innych lalek Barbie. Podobnie jak Kenów. Z tym że – co podkreślają obie producentki – rola pierwszoplanowego Kena od początku była pisana z myślą o jednym aktorze – Rynie Goslingu.

Nie zdradzając zbyt wiele z treści scenariusza, Margot

Robbie zwraca uwagę na zaskakujące role, którą w Barbie Landzie odgrywają bohaterki, tak przez lata uprzedmiotowione jak Barbie: „To proste: masz samochód, dom i Kena i na tym polega frajda w tej krainie. To jakby rewers prawdziwego świata, w którym rządzą mężczyźni. W Barbie Landzie jest na odwrót. To kobiety – Barbie – wszystkim rządzą”.

Świat Barbie wydaje się miejscem idealnym. Co jednak, gdy któregoś dnia żyjącą w nim bohaterkę dopadną egzystencjalne wątpliwości? Odpowiedź na to pytanie zna producencki duet Gerwig–Robbie (i podzieli się nią, gdy film trafi do kin).

Wcielająca się w kultową lalkę aktorka poznała dodatkowo marketingową siłę Barbie. Od kilku miesięcy robi furorę, pojawiając się – odpowiednio wystylizowana – na różnorodnych promocjach. Różnej służby.



„Kalifat”

czyli multikulti w rozkwicie



Splecione z sobą losy trzech kobiet – matki na zakręcie, natchnionej studentki i ambitnej policjantki. Tak opisują w internetach scenariusz szwedzkiego serialu pt. „Kalifat”. Nie brzmi zachęcająco, prawda? Wygląda na opis telenoweli.

Na szczęście pozory mylą

Kalifat” to znakomity, wciągający, trzymający w napięciu od pierwszego odcinka thriller. Autorów scenariusza – Wilhelma Behrmanna i Niklasa Rockströma – zainspirowała historia trzech licealistek arabskiego pochodzenia z Bethnal Green Academy w Londynie, które w lutym 2015 r. w tajemnicy przed rodzicami radykalnie zmieniły swoje życie. Sprzedały rodzinną biżuterię i uciekły przez Turcję do Syrii, by tam poślubić dżihadystów. Wzorowały się przy tym na szkolnej koleżance, która rok wcześniej tak właśnie postąpiła.

Akcja serialu rzeczywiście ogniskuje się wokół trzech postaci kobiecych. Pervin mieszkała kiedyś w Szwecji, ale zwiedziona fundamentalistyczną ideologią przeniosła się do syryjskiej Ar-Rakki, stolicy ówczesnego Państwa Islamskiego. Wychowana w liberalnym kraju, nie może przystosować się do życia według surowych reguł szariatatu. Rozumie, jaki błąd popełniła, i chce uciec, co wszakże nie jest łatwe, kiedy są obok: mała córka i mąż bojownik z kalasznikowem pod ręką.

Fatima pochodzi z Bośni. Jest oficerem SÄPO – szwedzkiego kontrwywiadu cywilnego, zajmującego się m.in. grupami ekstremistycznymi. Emocjonalna, krnąbrna, uparta – za-

dziera z wszystkimi i podpada przelozonemu. Właśnie od Pervin dowiaduje się o planowanym przez ISIS zamachu w Szwecji. Wykrycie konspiracji jest dla niej szansą na podreperowanie swoich notowań służbowych, dlatego postanawia pomóc Pervin w zamian za dalsze informacje.

Z kolei Sulle to nastolatka wychowująca się w rodzinie pochodzącej z Bliskiego Wschodu. Korzysta z dobrodziejstw szwedzkiego państwa opiekuńczego, co jednak nie budzi jej fascynacji w odróżnieniu od radykalnego islamu, umiejętnie suflowanego jej przez czarnoskórego pedagoga. Ten wątek jest najbardziej wart uwagi, dlatego jeszcze do niego wrócę.

Dramat jest zbudowany na najlepszych wzorach skandynawskiego kryminału. Wszystko rozgrywa się w kręgu raptem kilkunastu osób, kilkunastu miejsc. Bez efektów specjalnych, strzelanin, pościgów samochodowych i lądujących helikopterów. Nie ma postaci niepotrzebnych, nie ma wątków pobocznych, nic nie rozprasza naszej uwagi. Prawie Teatr Telewizji, niczym pierwszy sezon „Dynastii Tudorów”. I podobnie jak tam napięcie trzyma nas za gardło. Kameralny, surowy serial pobił rekordy oglądalności już podczas swojej pierwszej emisji w szwedzkiej

telewizji publicznej w styczniu 2020 r. Nic dziwnego, że już trzy miesiące później znalazł się ofercie Netflixa a teraz mogli go obejrzeć widzowie TVP.

Czy jest to serial o islamie? Poniekąd tak, o tym odrodzonym. Możemy przyrzec się życiu codziennemu w społeczności urządzonej przez salafitów z ISIS, postulujących i realizujących w praktyce powrót islamu do źródeł. Czyli reguł opartych na religii pustynnych koczowników. Tam kobieta nie może być pozostawiona sama sobie, żyje pod dokładną opieką ojca, a później – wybranego przez ojca – męża. Z naszej perspektywy to dla kobiety zniewolenie i wielka krzywda. Z ich punktu widzenia – stan uzasadniony i naturalny. Tam mężczyzna nie wychodzi na ulicę bez broni palnej jak niegdyś bez szabli lub kindżału, a jego najświętszym obowiązkiem jest zabijanie niewiernych. Może pojąć drugą – i kolejne – żony pod warunkiem, że potrafi je utrzymać.

Jednak więcej mówi ten serial o naszym życiu na naszym kontynencie. Dowiadujemy się o nim kilku ważnych rzeczy przez skonfrontowanie go przez twórców serialu z napływową kulturą. Mieszkaniec Europy funkcjonuje na poziomie materialnym nieosiągalnym dla większości społeczeństw muzułmańskich. Stosunkowo niewielkim



wysiłkiem zdobywa dobra materialne będące w sferze marzeń dla ludzi z Syrii, Iraku, Pakistanu bądź Afryki. Oni z kolei już dawno odkryli, że w bogatej Europie nie trzeba nawet pracować, by po nie sięgać. Wystarczy trochę sprytu przy czerpaniu z socjału i można w statusie imigranta nieźle egzystować. Można też korzystać ze swobód osobistych, których w islamie nie mają np. kobiety lub przeróżne mniejszości.

Jest jednak cena, którą trzeba zapłacić w obszarze własnej sfery duchowej. Koncepcja człowieka dążącego do zbawienia według radykalnego islamu (lub jak kto woli – „odrodzonego”) jest nie do pogodzenia z życiem codziennym w państwie liberalnym. No, chyba że się dopasujesz, że zapomnisz, o czym naucza Koran – tak jak zrobili to rodzice wspomnianej wcześniej Sulle. Mają zapewnione bezpieczeństwo materialne i socjalne, mogą cieszyć się sukcesami szkolnymi swoich nastoletnich córek. Dorastające dziewczyny zaczynają jednak myśleć samodzielnie i wyczuwać otaczającą je pustkę duchową. Dostrzegają fałsz politycznej poprawności, pozorną równość szans, pozorną bezstronność mediów, pozorną swobodę myślenia. Niewiele potrzeba – w tym przypadku jest to ujmujący agent ISIS – by uległy fascynacji radykalnym islamem. Widzą w nim sens, autentyzm, konkretny system wartości. Wolą konfrontację ze swoim światem od dotychczasowej gry pozorów.

Czy jest to coś nowego? Czy jest dla nas odkryciem, że człowiek ma oprócz mate-

rialnych również potrzeby duchowe? Że pragnie nadać swojemu istnieniu sens, że woli życie w pełni od płytkiej konsumpcji? Wiemy to nie od dzisiaj. Kluczową kwestią jest: jaki rodzaj podaży odpowie

Cieszę się, że urodziłem się w kraju, który nigdy nie ograniczał się do dystrybucji dóbr. Który dawał zawsze autentyczną ofertę duchową, kulturową i wspólnotową. Jej owocami były pokolenia AK, Solidarności i JPII

na ten popyt? Czy Zachód potrafi jeszcze wygenerować coś wartościowego w tej dziedzinie? Jeżeli nie, to w opustoszałe miejsce będą niestety wchodzić różne prymitywne i niebezpieczne nurty jak np. prostacka wersja islamu.

Oglądając „Kalifat”, można tylko zgrzytać zębami na widok nieporadności szwedzkich policjantów i agentów służb. To nie jest „blue wall” (wszyscy znamy amerykańskie serie policyjne). To raczej znudzeni, skrepowani procedurami urzędnicy, niestawiający żadnej przeszkody dla złych ludzi z Bliskiego Wschodu. Żeby się przekonać, że jest to obraz bliski realiom, wystarczy dzisiaj spojrzeć na ma-

sowe rabunki wśród słupów ognia na ulicach zachodnioeuropejskich miast. Multikulti w rozkwicie... Tamtejsi autochtoni, sterroryzowani polityczną poprawnością i pedagogiką wstydu za przeszłość kolonialną, nie wiedzą, jak się bronić, potrafią się tylko bać. Ale jest dla nich nadzieja! Może uda się w ramach relokacji przerzucić choć część tego piekła do Europy Środkowej. Przecież to nie w porządku, że w takiej np. Polsce jest tak spokojnie, że biały człowiek może tam bez strachu jechać metrem.

Cieszę się, że urodziłem się w kraju, który nigdy nie ograniczał się do dystrybucji dóbr. Który dawał zawsze autentyczną ofertę duchową, kulturową i wspólnotową. Jej owocami były pokolenia AK, Solidarności i JPII. Nie chcę, żeby to miejsce zostało zalane setkami tysięcy barbarzyńców i wszystko mi jedno, z którego kierunku oni nadejdą. Zbudowaliśmy skuteczną barierę na granicy wschodniej, to i zbudujemy na zachodniej, jeżeli będzie trzeba.

Wróćmy na koniec do serialu. „Kalifat” jest dziełem udanym, bardzo udanym. Przy użyciu niewielkich środków powiedziano i pokazano naprawdę dużo. Pojawia się naturalne w tej sytuacji pytanie – a może sequel? Jeszcze bardziej intrygujący byłby prequel. Nie trzeba by nawet wymyślać fikcyjnych dramatów. Wystarczy wpisać w wyszukiwarce „kryzys migracyjny”.

Artur Kołęda

Autor jest historykiem i publicystą, pracownikiem Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej

Kult i kultura

Uzarania nie istniało rozróżnienie kultu i kultury. Sacrum zmieszane było z profanum. 26 stuleci temu greccy filozofowie rozpoczęli separację kultury od kultu. Zaczęła się jej emancypacja. Proces odzierania mitologii z fantastycznych wyobrażeń i emocji wpłynął ożywczo na naszą cywilizację. Równoległe ograniczenie antycznej panseksualności w monogamicznym małżeństwie mężczyzny i kobiety pozwoliło skanalizować potężny ładunek ludzkiej energii do czynienia sobie ziemi poddaną. Racjonalizm i chrześcijański etyczny monoteizm zaczęły budować zachodnią cywilizację, doskonalić narzędzia pojmowania i opanowywania świata. Powstał uniwersytet, powstały szpitale, szkoły i hospicja. Chrześcijaństwo niosło z Rzymu na ówczesne peryferia religijności i katolicką duchowość, a także rozwinięte systemy opieki społecznej i zdrowotnej oraz system edukacyjny. Od pierwszych misjonarzy kolejne ludy przyjmowały obyczaje, pismo i łacinę jako język urzędowy, wzorce w rzemiośle, architekturze i przemyśle. Cystersi budowali huty, uczyli nowoczesnego rolnictwa i hodowli. W środowisku chrześcijańskiej cywilizacji, nigdzie indziej, powstała nowożytna nauka. Bezinteresowne szukanie prawdy na drodze empirii. Powtarzalnego dowodu.

W cywilizacji chrześcijańsko-naukowej kult został radykalnie oddzielony od kultury, choć oczywiście na nią oddziaływał. Profanum było przeniknięte sacrum, ale już nie – zmieszane. Chrześcijaństwo promieniowało na kulturę, ale rytuały były zarezerwowane dla sfery duchowej.

Proces separacji doprowadził do wspañalej koegzystencji wiary i racjonalności, chrześcijaństwa i nauki, które pilnując, by nie przekraczać granic swoich kompetencji, na dwóch skrzydłach wznosząc człowieka w poszukiwaniu prawdy i skuteczności w działaniu. Był to proces rozwoju, rozróżnienia, wzbogacenia. Rozdzielenie przedmiotu wiary i przedmiotu empirycznych badań, choć

nie bezbolesne, przysłużyło się obu systemom poznania rzeczywistości. Obok narracyjnej, posługującej się językiem symboli religii, ludzką potrzebę nieśmiertelności coraz skuteczniej obsługiwała też narracyjna, posługująca się językiem symboli sztuka.

Odwrotny proces rozpoczął się w chwili, w której środowiska decydujące o hierarchii wartości niesionych przez zachodnią kulturę odrzuciły Boga, bezinteresowne źródło uniwersalnej prawdy. Od momentu, w którym człowiek zajął jego miejsce, świat zaczął znów być mierzony egoistyczną miarą, z nauki zaczęła znikać bezinteresowność, a z kultury uniwersalizm.

Dziś nauka jest narzędziem władzy, sztuka przestała być poszukiwaniem pozazmysłowego piękna i transcendentnej prawdy, a kultura przestała być miejscem bezpiecznym dla człowieka. Profanum na powrót zmieszało się z sacrum. Kultury zanieczyszczają kulturę. Człowiek Zachodu uczestniczy w rytuałach i zeświecczonych technikach religijnych, nie mając świadomości, że wchodzi w duchowość. Okłamuje się go, twierdząc, że duchowość jest częścią świata materialnego, że da się ją poznać za pomocą narzędzi nauki. Materializm stał się zaś religią dużej części ludzi wykształconych, a z nim ubóstwiona została ludzka pycha.

„Religia dała ludziom nadzieję, nadawała sens życiu, tłumaczyła przy pomocy kapłanów świat, powodowała, że ludzie kupowali zbawienie za uczestnictwo we mszy i mówienie nieznanym osobom o swoich tzw. grzechach.

Czy to jest dzisiaj potrzebne? Nie wiem, ja osobiście tego nie potrzebuję. Świat tłumaczy mi nauka, sensu istnienia dostarcza mi mój syn, a o swoich grzechach wolę opowiedzieć przyjacielowi niż anonimowemu koleśowi w sutannie. Pozdrawiam”.

Tak w jednym z mediów społecznościowych napisał współczesny człowiek. Doskonale go rozumiem, bo podobnie myślałem jeszcze w połowie czwartej dekady swojego życia.



ROBERT TEKIELI

Co będzie z autorem tych słów, kiedy przetoczą się nad nim fale? Kiedy zdarzy się w jego życiu jakieś prawdziwe nie-szczęście, kiedy woda podejdzie mu pod usta. Kiedy zacznie się topić?

Ukształtowany przez chrześcijaństwo człowiek Zachodu, pozbawiony świadomości działania łaski, szuka mocy. Niosą ją kultury ukryte w kulturze.

Bóg wysoko umieścił poprzeczkę dla ludzi, którzy ubóstwili swój rozum. Jezus powiedział: „Wysławiam Cię, Ojcze, Panie nieba i ziemi, że tajemnice królestwa objawiłeś tym, którzy są jak małe dzieci”. Ludziom ukształtowanym w dominującej dziś kulturze liberalno-lewicowej, dzieciom pysznego Prometeusza, trudno przyjąć postawę prostoty i dziecięcej szczerości. A aby doświadczyć nadprzyrodzonego działania Boga w swoim życiu, trzeba na podobieństwo dziecka przyjmować treści Ewangelii bez zbędnych kalkulacji, nie kombinować, nie żywić złych, pokreślonych emocji i w prostocie z wszystkich sił angażować się w wypełnianie poznanych Bożych prawd.

Bóg zakrywa i objawia swoje sprawy. Zakrywa je przed ludźmi, którzy bardziej niż Jemu ufają swojej ludzkiej mądrości.

Są dwa tylko sposoby rozumienia świata. Cała różnorodność tysiąca postaw, życiowych mądrości, szukania równowagi, złotego środka, mocy w układaniu palców, manifestowania pragnień, afirmacji szczęśliwych scenariuszy na życie, wszystko wyjaśniających ideologii, światopoglądów schlebiających

naszym słabościom, a niesionych triumfalnie na sztandarach wszechmocnej popkultury, każdy z tych pomysłów na życie jest oparty na błędnej hierarchii wartości. Stawia w centrum człowieka, sukces, władzę, pieniądze, bezpieczeństwo, dzieci, ludzką mądrość, rodzinę.

Człowiek w centrum świata, człowiek miarą rzeczy, przepis na nieszczęście.

Mój egoizm zderzy się w końcu z drugim egoizmem. To jak dwa plus dwa cztery. Stracisz małżeństwo, miłość swojego życia. Ograbią cię z majątku, z wewnętrznego spokoju, z bezpieczeństwa. Biliarderzy chorują, miliarderzy umierają, rozpadają się imperia wzniesione z ludzkiej pychy. Dopiero cierpienie otworzyło mi oczy. Kto nie doświadczył

absolutnej beznadziei, nic jeszcze nie wie o życiu. Byleby nie uciekł w nałogi, byle nie stoczył się w rozpacz. Byle nie rozhuśtał zła w sobie, nie szedł po trupach, nie niszczył ludzi. Byle nie zatracił się w chemii neurotransmiterów aż do zderzenia z filarem wiaduktu 200 na godzinę, aż do ostatecznego uderzenia w ścianę.

WOJNA CYWILIZACJI

Warte „Trzeba wynaleźć nowy strach, który każe nam zaakceptować reguły gry transhumanizmu albo posthumanizmu. Trzeba nas zastraszyć – ta idea jest bardzo głęboko niepokojąca. Brzmi w praktyce politycznej i ekonomicznej XXI w. – w 2023 r.” – gdy prof. Andrzej Nowak pisze słowa, które jeszcze cztery lata temu mogłyby w mniemaniu większości czytających ludzi w Polsce wyjść jedynie spod pióra zwolennika teorii spiskowej, warto się zatrzymać.

Powyższy cytat pochodzi z antologii zatytułowanej „Tyrania postępu”. Wśród autorów oprócz Andrzeja Nowaka m.in. Wojciech Roszkowski, Zbigniew Stawrowski, Grzegorz Kucharczyk, Aleksander Nalaskowski, ks. Dariusz Oko, ks. Waldemar Chrostowski i ks. Paweł Bortkiewicz. Czytamy o mechanizmach tworzenia nowego człowieka, o roli w tych zmaganiach Unii Europejskiej, ONZ czy WHO, o ekoreligii i o Kościele.

W cytowanym wyżej tekście Andrzej Nowak zwraca uwagę na pokusę i fenomen współczesnego transhumanizmu, którego atrakcyjność ujawniła się z niezwykłą siłą na progu lat 70. w kilku ośrodkach świata zachodniego. Z jednej strony mieliśmy ideę nieśmiertelnienia człowieka za pomocą krioniki. Dziś za zamrożenie własnego mózgu w chwili śmierci trzeba zapłacić 80 tys. dol. Inna gałąź transhumanizmu jest oparta na nanotechnologii i sztucznej inteligencji, chodzi o przechowywanie tożsamości człowieka w elektronicznej chmurze. Jest też idea stworzenia cyborgów, nadludzi, czyli transludzi. Oczywiście „pierników nie wystarczy dla wszystkich”. W końcu „jeżeli słyszy się o ludzkości jako pewnym ideale, to pamiętajcie, że zawsze kryje się za tym podział, że zawsze będą tam nadludzie albo transludzie; to jest oczywiście także cecha ideologii posthumanizmu”. A skoro są podludzie, potrzebne jest zarządzanie nimi. Zastraszenie ludzkości jest zaś tu metodą.

Niklas Boström, profesor uniwersytetu w Oksfordzie, założyciel World

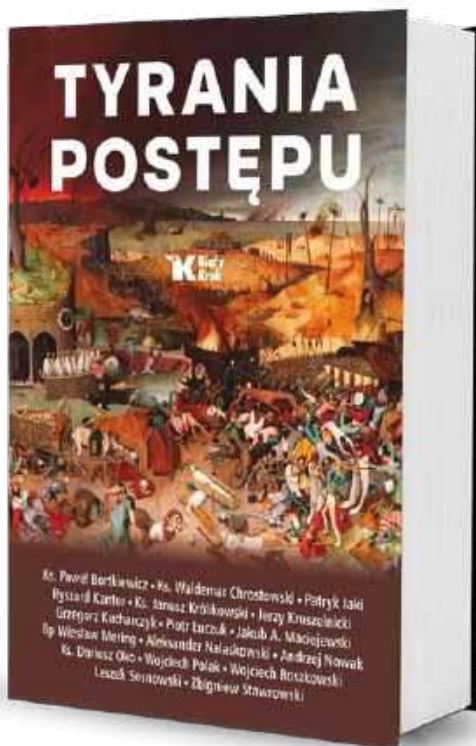
Transhumanist Association, w 2017 r. organizował w Kalifornii spotkanie, w którym brali udział przedstawiciele Facebooka, Google'a, MIT, Uniwersytetu Oksfordzkiego i Tesli, z Elonem Muskem w roli głównej. Obok Billa Gatesa jest on głównym rzecznikiem skoku w rzeczywistość postludzka czy transludzka.

Najważniejsze globalne korporacje spotykają się zatem, by zastanowić się nad właściwymi scenariuszami dla ludzkości, by urzeczywistnić projekt transhumanistyczny. Co proponuje Nick Boström? Otóż w myśl przedstawionego na spotkaniu 20-stronicowego scenariusza Boströma, „przeżycie przez ludzkość kryzysu takiego jak wybuch wojny nuklearnej, przyspieszenie globalnego ocieplenia czy pandemii”, mogącej unicestwić ludzkość „pozwoli przybliżyć ideę rządu światowego”. Potrzebne jest „uświadomienie ludziom, że ich gatunek może być zagrożony, a to pozwoli wprowadzić totalny nadzór nad człowiekiem”. Andrzej Nowak: „Taką właśnie wizję przedstawia Nick Boström: *establish effective*

global governance – ustanowić efektywne globalne zarządzanie. To jest najważniejszy cel zmiany, bez której nie będzie transhumanizmu”. Koszt takiego nadzoru, wylicza Boström, jest właściwie pomijalny, wynosi 140 dol. na osobę, za które można przez 24 godziny na dobę zapewnić totalną kontrolę nad każdym człowiekiem.

„Trzeba zastąpić religijne chimery [wiarę w Boga], skrajnym terrorem. Dość uwolnić lud od strachu przed piekłem, a przystanie na wszystko” – pisał jeszcze przed 1791 r. markiz de Sade. Cywilizacja na kursie i na ścieżce. Zachodnia cywilizacja oparta na prawdzie, miłości, godności i wolności wyhodowała sobie pasożyta i to on rości sobie dziś prawo do miana prawdziwego Zachodu.

Robert Tekieli
Polskie Radio





Kino



Szlachetna opowieść



To miał być anglojęzyczny debiut Paolo Genovese z amerykańską obsadą na pokładzie. Pandemia pokrzyżowała plany i zamiast Nowego Jorku, rzymianin Genovese po raz kolejny opowiada o swoich rodakach na ulicach Wiecznego Miasta. Robi to w specyficznym dla siebie stylu, który coraz mocniej różni go od bardziej utytułowanych kolegów, jak Paolo Sorrentino, Matteo Garrone, Nanni Moretti czy Giuseppe Tornatore. Genovese rozwija swoją autorską koncepcję magicznego realizmu, który jest ukąszony na dodatek ciekawą duchową percepcją.

Oparty na książce samego Genovese „Pierwszy dzień mojego życia” opowiada o kilku (niedoszłych?) samobójcach, którzy spotykają na swojej drodze tajemniczego mężczyznę (Toni Servillo). Namawia on ich do zawarcia paktu, polegającego na tym, że przez tydzień będą oni podróżować z nim po swoim życiu. Dojrzą skrawki jego niedoszłej przyszłości i innym okiem spojrzą w przeszłość. Zerkną z dystansu na swoją decyzję o samobójstwie i będą mogli ją zmienić. Ten jeden, jedyny raz. Będą mieli szansę rozpocząć pierwszy dzień nowego życia. Po raz kolejny u Genovese mamy więc motyw tajemniczego mężczyzny, który kieruje życiem innych ludzi, co widzieliśmy szczególnie mocno w „The Place” oraz wątek zrywania masek, które wszyscy nosimy. O tym był przecież największy sukces kasowy w twórczości Genovese „Dobrze się kłamię w miłym towarzystwie”, który doczekał się ponad 20 wersji, w tym polskiej („Nieznajomi”).

Genovese zebrał ekipę gwiazd włoskiego kina, wcielających się w ludzi z różnych grup społecznych, który łączy jedno: chęć skończenia swojego życia. Rozpaczająca po śmierci córki policjantka (Margherita Buy), otyły i cierpiący na cukrzycę nastolatek Daniele (Gabriele Cristini), z którego pazerni ro-

dzice zrobili obzerającego się influencera TikToka i YouTube, hochsztaplerski mówca motywacyjny Napoleone (Valerio Mastandrea), jeżdżąca na wózku gimnastyczka Emilia (Sara Serraiocco) – oni wszyscy trafiają pod skrzydła Anioła (?) o twarzy aktora grającego u Sorrentino demony Andreottiego i Berlusconi. Bohaterowie konfrontują się ze swoimi traumami i bólem. Dostają szansę na oswojenie strachu i dojrzewanie szans na jego przepędzenie. A może nie każdy chce takiej szansy?

Magiczny realizm o samobójstwie mógł zakończyć się totalną katastrofą. Genovese unika jednak pułapki truizmu i pretensjonalności. Dlaczego? Bo jest szczery w chęci opowiadania o dobrych ludziach, którzy stracili z horyzontu nadzieję i boją się szukać... właśnie dobra. Genovese różni się od wielu zatopionych w moralny relatywizm współczesnych reżyserów tym, że on naprawdę opowiada szlachetne historie poruszające fundamentalne życiowe prawdy, jak miłość, poświęcenie, odkupienie czy poświęcenie. Jest w tym czasami zbyt melodramatyczny i dosłowny, ale nie można odmówić mu szczerości i dobrej energii, która płynie z jego kina.

„Pierwszy dzień mojego życia” jest trochę za długi i nie wszystkie motywacje bohaterów prowadzące do ich kresu są równie przekonujące. Wszystkie narracyjne wertepy ratują jednak aktorzy, dający poruszające kreacje aktorskie. Stoicki Servillo w roli demiurga jest klasą samą w sobie, ale nie kradnie show. Reszta obsady doskonale wpisuje się w jego specyficzną charyzmę „nie z tego świata”. Bardzo istotne jest również to, że akcja jest osadzona w Rzymie, który jest tutaj daleki od swojego majestatycznego wymiaru. Wszystko rozgrywa się w okolicach stacji Termini, która skrywa przecież wiele wyjątkowo mrocznych dramatów. Dramatów, które nie musiałyby się rozegrać, gdyby bohaterowie mieli jeszcze jedną szansę spojrzeć na swoje życie.

„PIERWSZY DZIEŃ MOJEGO ŻYCIA” FILM W KINACH

Tym razem De Niro bawi! 🍷🍷🍷🍷🍷🍷

Grymaszący Robert De Niro na plakacie komedii o zgryźliwym ojcu i tytule „Wszystko o moim starym”? O nie, nie, nie! Nie wyciągniecie mnie do kina na kolejną żenująco bezczelną maszynkę do spłacania długów jednego z najwybitniejszych aktorów w historii amerykańskiego kina, który od czasu występu w „Poznaj mojego tatę” rozmiął własną legendę na drobne. Tak zareagowałem, widząc pierwszą zapowiedź tego dzieła. De Niro, który przez dekady bardzo precyzyjnie dobierał role, w pewnym momencie stał się biznesmem, który postanowił postawić na nogi nowojorską dzielnicę Tribeca. Do tego potrzeba wielkich funduszy, które można łatwo pozyskać, grając kolejne mutacje tej samej postaci w coraz mniej wymagających komediach i filmach sensacyjnych dla mas. Dlaczego więc jednak polecam w tej rubryce komedię z grymaszącym Robertem De Niro, który wcielił się w kolejnego mrukliwego ojca? Ano dlatego, że za projektem stoi Sebastian Maniscalco. Jeden z najciekawszych amerykańskich komików i standuperów o włoskich korzeniach dał nam autobiograficzną opowieść, w której zaskakująco dobrze odbija się los całej włoskiej społeczności w USA.

Maniscalco w swojej inspirującej autobiografii „Stay Hungry” z 2018 r. opisywał żmudną drogę Amerykanina włoskiego pochodzenia na szczyt amerykańskiej komedii. „Wszystko o moim starym” jest wariacją na ten sam temat. Fabuła jest prosta i na wszelkie możliwe sposoby wyświechtana przez Hollywood. Oto ambitny chłopak z Małej Italii w Chicago, nazywający się – a jakże! – Sebastian Maniscalco, ma zostać przedstawiony rodzicom swojej bardzo WASP-owskiej (biali, protestanci Amerykanie) dziewczynie Ellie (Leslie Bibb). On jest synem fryzjera z Sycylii (De Niro) i pracuje w hotelu. Ona jest bogatą córką znanej senator (Kim Cattrall) i biznesmena (David Rasche), którego przodkowie przybyli wraz z setką pierwszych pielgrzymów do Ameryki na statku Mayflower (tak, o ten statek chodzi). Sebastian zostaje zaproszony do letniego domu

(a raczej rezydencji) rodziny ukochanej, ale bierze z sobą ojca, który nie chce spędzać samemu 4 lipca. Wiadomo, co musi wynikać z takiej mieszanki osobowości.

Klasowe zderzenie dwóch światów i związane z tym gagi, sytuacyjny humor i slapstick to najbardziej przewidywalny wymiar tego filmu. De Niro robi swój stały komediowy zestaw min, Maniscalco rozpycha łokciami niegrzecznego standupera w miarę grzeczną komedię dla masowego widza, a happy end w każdej kolejnej scenie coraz wyraźniej wisi w powietrzu. Po co więc opisuje tak przewidywalny film?

Najlepszy w tej niezobowiązującej komedii jest wątek etniczny, który Maniscalco porusza mocno w swojej książce. Zapominamy albo nawet nie jesteśmy tego w Polsce świadomi, że imigranci z Włoch byli bardzo mocno dyskryminowani przez białych, amerykańskich protestantów, wywodzących się w Niemiec, Holandii i Wielkiej Brytanii. Zaraz po czarnoskórych Amerykanach najbardziej poniewieraną i lekceważoną grupą byli właśnie Włosi z południa kraju, Polacy i Irlandczycy. Wpływ na to miał również katolicyzm tych grup etnicznych, który przez radykalnych antypapistów był wyjątkowo mocno łączony z etnicznością. „Wszystko o moim starym” prześlizguje się po tym aspekcie, ale dzięki dobrze napisanej ojcowsko-synowskiej historii daje szansę na zrozumienie percepcji imigrantów z dolnej części włoskiego buta. Ojciec Maniscalco jest na tyle dumnym Sycylińczykiem, który dzięki ciężkiej pracy sięgnął po swój amerykański sen, że był nawet zirytowany, że musi zbyt dużo czasu spędzać z De Niro przygotowującym się do roli, przez co... zaniedbuje swoich klientów!

Pod maską błazeństwa i czystego komizmu De Niro świetnie odkrywa nostalgię i ból starego Włocha, który musi pogodzić się z tym, że jego syn w 100 proc. wtopił się w świat Jankesów. Po to Sycylińczyk przyjechał do ziemi obiecanej, ale gdzieś w środku czuł, że oderwanie od korzeni nie powinno być radykalne. Ten element historii jest najbardziej poruszający, bo wypływa z przeżyć samego Maniscalco i jest hołdem oddanym wszystkim imigrantom, którzy poświęcili się dla lepszego losu swoich dzieci. Ba, jest to też tożsamość De Niro, który miał również wyjątkowo skomplikowaną relację ze swoim ojcem. Nie dajcie się więc zwieść banalnemu tytułowi filmu i plakatowi, który równie dobrze mógłby reklamować kolejny sequel „Poznaj moich rodziców” czy „Wojny z dziadkiem”. Sebastian Maniscalco i Robert De Niro to duet, który wznosi tę prostą komedijkę na inny poziom. Bardzo produktowny i bardzo włoski, co doskonale pasuje do obu stron tej rubryki!

**„WSZYSTKO
O MOIM
STARYM”
FILM
W KINACH**

Internet





Bezpieczeństwo żywnościowe ważne jak militarne

Jesteśmy krajem bezpiecznym pod względem żywnościowym, a główną rolę w jego zapewnieniu odgrywają polscy rolnicy. Należy to zawsze podkreślać i dbać o stabilność ich sytuacji – mówi Robert Telus, minister rolnictwa. – Nabiera to znaczenia, gdy żywność staje się amunicją, za pomocą której wygrywa się lub przegrywa biznesowe, polityczne i militarne spory oraz bitwy. Do najistotniejszych zadań należy też reagowanie na krajowe i międzynarodowe regulacje dotyczące bezpieczeństwa żywnościowego

Bezpieczeństwo żywnościowe byłogłównym tematem kolejnej debaty V Forum wGospodarce.pl: „Jak biznes i państwo mogą wspierać strategię produkcji zdrowej i zrównoważonej żywności?”. Podstawowe pytania, które padły podczas debaty, to: czy jesteśmy krajem bezpiecznym żywnościowo? Jakie czynniki sprzyjają, a jakie zagrażają stabilizacji żywnościowej? Czy krajowe i międzynarodowe regulacje zawsze za-

pewniają dobre warunki do produkcji zdrowej żywności? I co tak naprawdę oznacza zrównoważony rozwój w rolnictwie i branży rolno-spożywczej?

Według raportu Międzyrządowego Zespołu ds. Zmian Klimatu (IPCC) około jedna trzecia światowych emisji gazów cieplarnianych pochodzi z systemów żywnościowych. Dlatego też UE dąży do przekształcenia sposobu produkcji i konsumpcji żywności w Euro-

pie, by zmniejszyć ślad środowiskowy sektora rolno-spożywczego, wzmocnić jego odporność na kryzysy wynikające m.in. ze zmian klimatycznych, a przy tym zapewnić zdrową i przystępną cenowo żywność.

O wynikających z tego konsekwencjach dla poszczególnych krajów UE, europejskiej i polskiej branży rolno-spożywczej oraz dla poszczególnych firm, zwłaszcza liderów tego segmentu

gospodarki, debatowali zaproszeni goście: Robert Telus, minister rolnictwa, Andrzej Gantner, dyrektor generalny Polskiej Federacji Producentów Żywności, Marek Zagórski, prezes zarządu Krajowej Grupy Spożywczej, Łukasz Dominiak, dyrektor ds. public i government relations Smithfield Polska, Jakub Puźniak, public affairs manager Coca-Cola Poland Services.

Priorytetem strategii „Od pola do stołu” jest bezpieczeństwo żywnościowe, obecnie jednak wiele zagrożeń, głównie wojna na Ukrainie, sprawia, że zasadne są pytania dotyczące poziomu bezpieczeństwa w Polsce oraz w innych rejonach Europy i świata.

Jednoznaczne stanowisko zajął w tej sprawie Robert Telus, minister rolnictwa. – Polska to kraj bezpieczny pod względem żywnościowym. Pokazujemy to w naszym działaniu – zapewnił na początku dyskusji. Minister zwrócił uwagę na istotne fakty: – Ostatnie trzy i pół roku udowodniły, jak ważne jest bezpieczeństwo żywnościowe. Kiedy w czasach pandemii zostały zerwane łańcuchy dostaw i zaczęło brakować towarów w sklepach, choć była to panika, a nie zjawisko realne, zrozumieliśmy, jak ważnym filarem jest zapewnienie bezpieczeństwa żywności i jak bardzo musimy o to dbać. Według mnie w takim samym stopniu jak o bezpieczeństwo militarne. W tej chwili widzimy po raz kolejny, że żywność na świecie jest używana jako amunicja. I jest wykorzystywana w wielu wojnach, również w tej wschodniej, którą teraz odczuwamy. Czasem próbowano wygrać wojnę głodem, a czasem zasypać zbożem. Chodzi o zdestabilizowanie społeczeństwa. To, co się dziś dzieje, to jest wojna w dziedzinie żywności. Musimy ją wygrać, a wygramy, gdy będziemy myśleli strategicznie.

Minister Robert Telus podkreślił, że szczególnie ważną datą będzie 15 września. Przypomnijmy: unijne rozporządzenie zakazujące swobodnego obrotu pszenicą, kukurydzą, rzepakiem i słonecznikiem z Ukrainy obowiązuje od 2 maja do 15 września w Bułgarii, Polsce i Rumunii oraz na Węgrzech i Słowacji, czyli w krajach przyfrontowych, jest wynikiem zalania rynków tych krajów tańszym towarem z Ukrainy. Poważne protesty rolnicze w konsekwencji

spowodowały dymisję poprzedniego ministra rolnictwa w Polsce. Czy po 15 września nastąpi zmiana i surowce rolne z Ukrainy będą mogły być znowu obecne na rynkach wymienionych pięciu państw?

– Nie mamy do czynienia z argumentami merytorycznymi, ale działaniami politycznymi. Dlatego wspólna reakcja naszej piątki koalicyjnej w tej sprawie ma temu zapobiec – powiedział Telus.

– Być może na tej liście zakazów znajdują się także maliny – taki wniosek zostanie przedłożony Komisji Europejskiej. Minister podkreślał kilkakrotnie, że bezpieczeństwo żywnościowe to najważniejszy filar dla całości bezpieczeństwa kraju.

Zwracał uwagę na siłę marki Produkt Polski, która staje się na rynku europejskim, w tym także na niemieckim, mocną, rozpoznawalną jakością, marką konkurencyjną w stosunku do produktów z innych krajów. To bardzo istotne również w kontekście historycznym. W opinii ministra rolnictwa w momencie wejścia Polski do UE – a wcześniej w czasie transformacji ustrojowej – zaprzeczaliśmy szanse polskiej branży przetwórczej i handlu artykułami spożywczymi. To z kolei spowodowało, że w tej chwili rolnicy jako jedyni przedstawiciele wielu branż gospodarczych nie decydują o cenie swoich produktów. – Powodem jest to, że oddaliśmy przetwórstwo i handel w ręce koncernów. To błąd historyczny, który musimy teraz odrobić – podkreśla minister Telus.

W innej sytuacji znalazła się np. Litwa, która zastrzegła przy wejściu do UE, że przez pięć lat na ich rynku nie pojawi się żaden koncern zagraniczny, co spowodowało, że w krótkim czasie powstały trzy wielkie litewskie sieci handlowe. Dziś działają one także na Łotwie i w Estonii.

BEZ WSPÓŁDZIAŁANIA JEST TRUDNIEJ

Żeby działania rządowe miały skuteczny wymiar na polu międzynarodowym, jest potrzebne współdziałanie państwa z organizacjami rolniczymi i branżowymi, czego czasami brakuje. – Często apeluję do organizacji rolniczych czy branżowych o to, by w kraju dyskutować i mieć

odrębne zdania, ale za granicą mówić jednym głosem. To jest bardzo ważne. Niektóre organizacje szkodzą polskiemu rolnictwu przez swoją aktywność własnie poza granicami Polski – mówił Telus.

Jego uwagę zwraca również fakt, że pojawia się wiele niebezpiecznych i nieprawdziwych informacji. Jak bardzo fake newsy mogą być szkodliwe, świadczy chociażby sytuacja w branży drobiarskiej, w której Polska jest przodującym eksporterem. Cyklicznie pojawiają się dane na temat ptasiej grypy, które wpływają negatywnie na cały sektor i wywołują perturbacje wtedy, gdy brana jest pod uwagę ekspansja branży na rynek chiński. – To nie jest przypadkowe – uważa minister rolnictwa.

KWESTIA REGULACJI UNIJNYCH I MIĘDZYNARODOWYCH

Regulacje krajowe, ale w przypadku żywności przede wszystkim unijne, oraz inne międzynarodowe unormowania mają bezpośredni i znaczący wpływ na bezpieczeństwo żywnościowe.

– Przesłaniem działania wobec regulacji unijnych jest właśnie bezpieczeństwo żywnościowe – oceniał dr Andrzej Gantner, dyrektor generalny Polskiej Federacji Producentów Żywności (PFPŻ), odnosząc się zarówno do strategii „Od pola do stołu”, jak i Fit for 55. [W europejskim prawie o klimacie zapisano obowiązkowy unijny cel klimatyczny: ograniczenie emisji w UE o co najmniej 55 proc. do 2030 r., a do 2050 r. uczynienie UE neutralną dla klimatu. Według słów polskiego premiera: Polska nigdy nie poparał żadnego pakietu Fit for 55, ale jest w tej kwestii przegłosowywana – przyp. red.].

– Jako organizacja apelujemy zawsze, by każda z tych strategii i każde rozporządzenie było rozpatrywane pod kątem bezpieczeństwa żywnościowego – mówił dyrektor PFPŻ.

Dla konsumenta oznacza to, aby miał łatwy dostęp do żywności, a dla przedstawiciela branży rolniczej, aby dobrze funkcjonowało zarówno rolnictwo, jak i przetwórstwo rolno-spożywcze. – Jeżeli w aktach znajdują się zapisy, które mogą powodować szkody dla rolników i konsumentów, to trzeba to kwestionować. Np. jeżeli ktoś chce wyłączenia

znaczącego odsetka upraw konwencjonalnych na rzecz upraw ekologicznych, to musi mieć pełną świadomość, że spowoduje to zmniejszenie produkcji rolnej w poszczególnych krajach UE – wyliczał Gantner.

Dla przykładu jeden z punktów strategii „Od pola do stołu” podaje, że należy obniżyć użycie pestycydów do 2030 r. o 50 proc. – Jest to robione według jednej sztancy. Nie patrząc, jakie są różnice między krajami, między rolnictwami, jakie są różnice w sile nabywcy konsumenta. My zawsze postulujemy, by każdy akt prawny, który dotyczy bardzo wrażliwego obszaru, którym jest bezpieczeństwo żywnościowe, rolnictwo i przetwórstwo, był poddany bardzo wnikliwej ocenie skutków tych regulacji – podkreślił.

I dodał, że czasem trudno się zorientować, czy obecna strategia Europejskiego Zielonego Ładu i Fit for 55 to są tylko koszty, czy potencjalne inwestycje, które przyniosą w przyszłości zyski zarówno środowiskowe, społeczne i ekonomiczne. Przy braku szczegółowych analiz wygląda na to, że nikt tego nie wie, łącznie z Komisją Europejską. – Mam wrażenie, że KE nie chce słuchać głosów krytycznych, przyjmując, że są głosy przeciwko niej – a tak nie jest. Wszyscy jedziemy na jednym wózku – bezpieczeństwo żywnościowe Europy i poszczególnych państw jest zarazem całościowym bezpieczeństwem społecznym, stabilizującym i niezbędnym. I co więcej: raz zepsute czy zerwane łańcuchy, raz wyłączone obszary z produkcji nie wracają na zawołanie – tłumaczył. – A przy tym nie ma wątpliwości, że wszystkim stronom zależy, by zasoby rolnicze nie były niszczone, by środowisko naturalne było chronione i by produkcja żywności odbywała się w sposób zrównoważony.

W wielu wypadkach lobbing ma do odegrania znaczącą, pozytywną rolę. – Należy wyjaśniać swoje stanowisko i do niego skutecznie przekonywać nie tylko polskich przedstawicieli, lecz także tych z innych krajów. Jeśli tego nie będziemy robić, to wynik poszczególnych działań jest czystą loterią – mówi Gantner.

Przywołuje przykład rozporządzenia PPWR (ang. Packaging and Packaging Waste Regulation), które na dekady zdecydowanie o kosztach produkcji żywności ze

względu na opakowania. – Proponowane są rozwiązania, które mogą wywindować niebotycznie koszty produkcji żywności w wielu kluczowych branżach, np. mięsnej czy mleczarskiej, a na dokładkę są często niemożliwe do realizacji. Przy okazji Komisja Europejska na tej podstawie będzie mogła zakazywać używania danego typu opakowań. To da jej olbrzymią władzę nad kształtowaniem warunków działania gospodarki żywnościowej w całej UE i poszczególnych krajach. Często wśród decydentów brakuje szerokiego spojrzenia na proponowane zmiany i potencjalne zagrożenia. Szczególnie że mówimy o rozporządzeniu działającym wprost, a nie o dyrektywie, którą można tak czy inaczej implementować – komentuje dyrektor PFPŻ.

W jego opinii, jeśli już nawet dochodzi do implantacji dyrektyw – to nie ma powodu, byśmy w Polsce stwarzali większe wymagania, niż sama dyrektywa proponuje. Taka sytuacja ma obecnie miejsce np. przy ustawie o systemie kaucyjnym. Narzucenie polskim przedsiębiorcom wymagań wyższych niż wynikające z dyrektywy nie ma żadnego uzasadnienia i apelujemy do rządu, żeby to poprawił.

WSPIERANIE ROLNICTWA I CAŁEJ BRANŻY

Istotnie wybrzmiał w tym kontekście głos czołowego producenta i eksportera produkcji mięsnej w Polsce, Łukasza Dominiaka, dyrektora ds. public i government relations Smithfield Polska. – Jako firma obecna od wielu dekad na krajowym rynku współpracujemy z ponad 4 tys. polskich rolników. Wspieramy ich na każdym etapie działalności, ponieważ są kluczowym ogniwem, wpływającym na funkcjonowanie naszego przedsiębiorstwa. Zaplecze surowcowe firmy jest oparte w 100 proc. na rodzimych hodowcach i stanowi gwarancję naszego bezpieczeństwa. Co istotne, pozyskując trzodę chlewną i drób w Polsce, wysyłamy mięso i jego przetwory w dużej mierze na rynki zagraniczne. Nasza globalna struktura i aktywność w innych państwach pozwala nam na promowanie polskich produktów niemal na całym świecie – podkreślał.

W swojej wypowiedzi zwrócił uwagę na rangę polskiego rolnictwa. – Jako

kraj wyspecjalizowaliśmy się w produkcji żywności. Bardzo istotna jest więc kwestia nadania odpowiedniej rangi polskiemu rolnictwu jako wiodącej gałęzi gospodarki narodowej. Branża rolno-spożywcza przenika wiele sfer życia i działa w szerokim układzie naczyń połączonych związanych z tematami środowiskowymi, społecznymi czy ekonomicznymi. Musi być zatem dobrze rozumiana i wspierana także przez inne resorty i decydentów oraz traktowana jako nasza przewaga konkurencyjna w UE i na świecie.

O błędnym postrzeganiu roli produkcji rolniczej mówił z kolei Marek Zagórski, prezes zarządu Krajowej Grupy Spożywczej (KGS). – Zmieniło się postrzeganie rolnictwa jako formy kształtowania społeczności i jej integralności. Produkcję rolniczą często traktuje się jak produkcję stali czy samochodów. Tego typu postawy powodują, że dochodzimy do regulacji, które są szkodliwe, bo próbuje się traktować żywność niczym każde inne dobro przemysłowe. Trzeba pod tym względem na nowo uświadamiać społeczeństwo.

KGS jako polska grupa biznesowa ma przed sobą wiele zadań, ale głównym celem jest budowanie bezpieczeństwa żywnościowego w Polsce. Prezes zwrócił uwagę, że połączenie kilkunastu spółek stwarza możliwość wykorzystania synergii działania.

– Jeśli chodzi o kierunki rozwoju, to w tych segmentach, w których jesteśmy obecni, m.in. w segmencie zbożowym czy skrobiowym, będziemy inwestowali w przetwórstwo i w produkty wysoko przetworzone. W strategii będziemy kładli na to nacisk. To też recepta, jak zmierzyć się z rolnictwem ukraińskim, bo tak czy inaczej to zderzenie będzie miało miejsce – zaznaczał Zagórski. – Mamy doświadczenia – mówił prezes – we współpracy z plantatorami buraka cukrowego, które chcemy przenieść na kolejne obszary działalności grupy, m.in. na ziemniaki. Najlepsze warunki kontraktacyjne, przewidywalność wolumenów surowcowych, gwarancja zbytu surowców – to tylko niektóre z korzyści, które możemy multiplikować na inne płody rolne.

Dla KGS ważny też będzie segment badań i rozwoju np. w hodowli nasion.

To z kolei wiąże się z utworzeniem specjalnego funduszu badawczego w spółce. – Przetwórstwo, innowacje i badania to ważne dla nas obszary. Nasze cele są ambitne. Zależy nam na zbudowaniu stabilnego holdingu – rentownego, a także będącego partnerem dla gospodarstw rolnych, dzięki któremu gospodarstwa mogą się rozwijać – akcentował prezes grupy.

ZDROWA ŻYWNOŚĆ I WYBORY KONSUMENTÓW

Jednym z filarów unijnej strategii „Od pola do stołu” jest zapewnienie zrównoważonej produkcji zdrowej żywności. Sprzyjające otoczenie może w znaczącym stopniu przyczynić się do skutecznego wdrażania działań w obszarze zrównoważonego rozwoju podejmowanych przez podmioty prowadzące działalność w sektorze spożywczym. Jednym z istotnych aspektów tych działań jest zapewnienie konsumentom możliwości wyboru i ich edukowanie.

– Wierzimy w dawanie konsumentom wyboru – powiedział w czasie debaty Jakub Puźniak, public affairs manager Coca-Cola Poland Services. Marka ta jest obecna na polskim rynku już od ponad 50 lat. – Wpisujemy się w cele strategii „Od pola do stołu”, podejmując działania, które wpisują się w stworzenie środowiska zbudowanego na zbilansowanym i zróżnicowanym systemie żywienia. Jesteśmy świadomi odpowiedzialności wobec naszych konsumentów i społeczeństwa, dlatego już od lat rozwijamy nasze portfolio bezkaloryczne i niskokaloryczne. Te produkty stanowią obecnie 37 proc. naszej oferty, a nie jest to nasze ostatnie słowo, bo systematycznie je rozwijamy. Również systematycznie, od lat, spada zużycie cukru w naszych napojach. Stale poszukujemy rozwiązań, które pozwolą nam na kolejne zmniejszanie użycia cukru, równocześnie nie tracąc kultowego smaku naszych produktów. Nasza marka zmienia się od lat, tak jak zmieniają się potrzeby konsumentów. Dlatego też wsłuchujemy się w ich głos i konsekwentny rozwój portfolio produktów bez cukru oraz obniżonej kaloryczności to jeden z najważniejszych punktów naszej strategii, a także cel na kolejne lata. Wspieramy

naszych konsumentów przez dostosowanie naszych kampanii marketingowych do promowania napojów o niskiej lub zerowej zawartości cukru – wskazał podczas debaty Jakub Puźniak. – Promujemy także kontrolę porcji, oferując bogatszy wybór mniejszych opakowań. Dbamy o to, by nasi konsumenci mieli dostęp do pełnej informacji odnośnie do ilości wskazanych porcji – dodaje.

Tego typu działania wpisują się w unijną strategię, która ma zmienić obecny model żywieniowy w bardziej zrównoważony i zdrowszy, by unikać powiększającej się liczby chorób cywilizacyjnych. Według danych unijnych obecny model żywności szkodliwie wpływa na zdrowie ludzi, o czym świadczy fakt, że ponad 50 proc. dorosłych Europejczyków ma nadwagę. – Warto pamiętać, że kwestia zdrowia publicznego i otyłości wymaga szerszego spojrzenia. Otyłość to bardzo złożony problem, wynikający z wielu czynników. To nie jest kwestia jednej kategorii produktów, co oznacza, że reformulacja produktów spożywczych powinna być kompleksowa i dotyczyć każdej z kategorii – dodaje Puźniak.

ZRÓWNOWAŻONY ROZWÓJ

Jednym z celów europejskich strategii jest zrównoważony rozwój. Łukasz Dominiak, dyrektor w Smithfield Polska, zauważył, że powinien on być rozumiany przede wszystkim jako szansa dla wszystkich podmiotów zaangażowanych w rozwój profesjonalnego rolnictwa w Polsce.

– Nasza firma funkcjonuje w ramach całego łańcucha dostaw. Realizując produkcję żywności „Od pola do stołu”, zdajemy sobie sprawę nie tylko z odpowiedzialności, jaka na nas spoczywa, lecz także wielu możliwości, które przed nami stoją. Implementując rozwiązania z zakresu zrównoważonego rozwoju, podchodzimy do tego obszaru kompleksowo, na każdej płaszczyźnie naszej działalności. Świadomie zarządzając wpływem na otoczenie, nieustannie wsłuchujemy się w potrzeby lokalnych społeczności. Wiele naszych działań dotyczy ochrony środowiska. Efektywnie zarządzamy zasobami, inwestujemy w ekologiczne opakowania czy ponowne

wykorzystanie ubocznych produktów pochodzenia zwierzęcego, wpisując się tym samym w ideę gospodarki obiegu zamkniętego. Uważamy, że dobre rozumienie zrównoważonego rozwoju polega na długoterminowym planowaniu i wykorzystywaniu efektu synergii w ramach podejmowanych inicjatyw.

Robert Telus na zakończenie debaty z naciskiem podkreślił jednak, że w całym podejściu do bezpieczeństwa żywnościowego najważniejszy jest rolnik. I dlatego tak ważne jest wypracowanie stabilizacji z punktu widzenia rolnika. Musi czuć się bezpiecznie i stabilnie. W całym łańcuchu bezpieczeństwa żywnościowego należy podkreślać właśnie jego rolę. – Każdy kraj ma swoją strukturę rolną, a w Polsce wielkość średniego gospodarstwa rolnego wynosi ok. 11 ha. Do 10 ha ma ponad 75 proc. gospodarstw, do 5 ha – 52 proc. – wskazuje minister. – To pokazuje, że to nie jest rolnictwo towarowe, choć takie jest bardzo potrzebne i też ma swoją rolę. Ale musimy pamiętać, jaka jest struktura polskiego rolnictwa. To mniejsze rolnictwo i szansą dla niego jest rolniczy handel detaliczny i przetwórstwo u rolnika, co wpisuje się w cały łańcuch bezpieczeństwa żywnościowego – wyjaśnia.

Tym sposobem są omijani pośrednicy, co sprawia, że towary są tańsze, pochodzą z pewnego, bezpośredniego źródła, a dla środowiska oznacza to także zmniejszenie śladu węglowego.

Do istotnych zadań rolnictwa należy też według niego odbudowanie hodowli trzody chlewnej, bo pogłowię spadło z 24 mln do 9–10 mln sztuk obecnie.

Biorąc pod uwagę wszystkie czynniki ważne z punktu widzenia strategii Europejskiego Zielonego Ładu, a także obserwując prekampanię wyborczą w Polsce, trzeba uznać, że rolnictwo staje się jednym z głównych elementów tych wyborczych potyczek. Podczas debaty wyraźnie wybrzmiały wezwania o zapewnienie stabilności rynku rolnego, konsumenckiego wyboru, równowagi i oczywiście bezpieczeństwa. Jak się okazuje, postulowana od lat „sprawiedliwa transformacja energetyczna” dotyczy w dużym stopniu także branży rolniczej i rolno-spożywczej.

*Moderacja i opracowanie debaty:
Grażyna Raszkowska*

Polityka klimatyczna, czyli filozofia przymusu i celów

Nie możemy dopuścić do tego, żeby polityka klimatyczna była obciążeniem dla Polaków i pogorszyła poziom ich życia – mówi **Anna Moskwa**, minister klimatu i środowiska, w rozmowie z Agnieszką Łakomą („Gazeta Bankowa”)



Pani minister, kto decyduje o przyszłości polskiej energetyki i o tym, w jakich elektrowniach będziemy produkować prąd – Warszawa czy Bruksela?

Anna Moskwa: Te decyzje, które są dobre dla naszego społeczeństwa i gospodarki, jak np. zamrożenie cen energii, obniżenie podatku akcyzowego na paliwa czy dopłaty do opalu – podejmujemy tutaj, w Warszawie. Tak samo jak decyzje o budowie gazociągu Baltic Pipe, który zapewnił nam stabilne

dostawy gazu, gdy Rosjanie zakręcili kurek, czy też o budowie elektrowni jądrowych i rozwoju fotowoltaiki. Jednak wiele trudnych do zaakceptowania dla nas decyzji podejmuje Komisja Europejska w ramach polityki klimatycznej i pakietu Fit for 55. I niestety stara się narzucić nam rozwiązania trudne do zrozumienia i tym bardziej do zrealizowania.

Mamy kolejne przepisy w ramach polityki klimatycznej, na które Polska się nie zgadza, a i tak są przyjmowane w europarlamencie. Więc powstaje wrażenie, że nasz głos jako kraju po prostu się nie liczy.

Większość decyzji dotyczących polityki klimatycznej forsują Niemcy, Belgia, Hiszpania, Austria, Luksemburg i inne państwa, w których rządzą zieloni. O tym, jak silne są wpływy Niemiec, świadczy choćby obecnie trwający spór o uznanie energii jądrowej za czystą, by – jak odnawialne źródła – mogła liczyć na finansowanie. Mimo że wraz z Francją, czyli największym producentem energii z elektrowni jądrowych, oraz kilkoma innymi krajami zbudowaliśmy silną koalicję w tej sprawie, Niemcy nadal są nieugięte. Choć sami zrezygnowali z atomu, a gdy zajdzie potrzeba importują energię z Francji, gdzie prąd jest ze źródeł jądrowych. Nam w kilku niezwykle ważnych kwestiach udało się odnieść sukces, jak choćby przy ustaleniu maksymalnej ceny gazu w Unii czy przy rozporządzeniu metanowym, by nie zniszczono polskich kopalń. Udało nam się też wpisać węgiel koksujący na listę surowców strategicznych Unii i zapewnić więcej darmowych uprawnień do emisji CO₂ dla ciepłownictwa. Podstawowy problem polega jednak na tym, że decyzje zapadają większością głosów w niezwykle ważnych, wręcz strategicznych kwestiach, które rzutują na bezpieczeństwo dostaw energii i ceny. Tak być nie powinno – to jest sprzeczne z traktatami. Dlatego te szkodliwe przepisy zaskarżamy do TSUE. Przy wszystkich tych decyzjach głosowania powinny być jednomyślne.

Czy to znaczy, że jedyne, co Polska może zrobić, to właśnie zaskarżyć te sporne przepisy, nie będąc pewnym rezultatu? Pojawiają się opinie, że już raz rząd przegrał, używając tego argumentu, który pani przedstawiła, i teraz będzie tak samo.

Składamy skargi, bo uważamy, że zmiana przepisów mająca wpływ na tak ważne sprawy jak miks energetyczny, którego kształtowanie leży wyłącznie w gestii każdego kraju członkowskiego, nie może być przyjmowana większością głosów, lecz tylko na zasadzie jednomyślności. Złożyliśmy skargi w kilku odrębnych sprawach, jak zakaz rejestracji nowych aut spalinowych w 2035 r. oraz dyrektywy o efektywności energetycznej budynków, narzucające obowiązek modernizacji i remontów w ciągu zaledwie kilku lat. Oczywiście nigdy nie można być pewnym, jaki wyrok zapadnie.

W ostatnim czasie pojawia się wiele krytycznych opinii nie tylko o tych rozwiązaniach, które Polska chce zaskarżyć. Rosną obawy o realizację i sensowność innych narzucanych celów polityki klimatycznej, choćby w kwestii emisji przemysłowych, unijnego wydobycia surowców krytycznych czy produkcji zielonego wodoru. Mówią o nich nie tylko eksperci, lecz także szefowie największych firm w Unii i to z różnych branż. Czy ta krytyka może doprowadzić do zmiany podejścia do tych kwestii w Brukseli, Strasburgu i Berlinie?

W Polsce świadomość istoty zmian, radykalizmu i zagrożeń, które niesie Europejski Zielony Ład i Fit for 55, jest bardzo duża. Mamy debatę publiczną o tym, jakie będą tego skutki. Mam wrażenie, że gdy świadomość tych skutków dotrze również do innych społeczeństw w Europie, bo zaczną je odczuwać, ponosząc coraz wyższe koszty utrzymania i płacąc coraz drożej za energię, to nacisk opinii publicznej będzie tak duży, że nastąpi rewizja tych wszystkich przyjmowanych „na kolanie” przepisów. W tym kontekście ważny jest jeszcze jeden aspekt – czyli obowiązki i nakazy, które towarzyszą polityce klimatycznej. Niestety, nie ma w niej mowy o dobrowolności.

Komisja Europejska wyszła najwyraźniej z założenia, że trzeba zastosować metodę kija, a nie marchewki. Karani specjalnymi podatkami mają być właściciele domów ogrzewanych węglem, gazem i olejem opałowym, bo zostaną dodane do ceny tych paliw, a także jeśli nie podniosą klasy energetycznej budynku. Karane będą niemal wszystkie branże, kupując pozwolenia na emisję. Czy to w ogóle może zyskać akceptację społeczną nawet ze szczytnym hasłem „chronimy klimat”?

Frans Timmermans, który jako wiceszef Komisji Europejskiej odpowiada za sprawy klimatu, już dawno narzucił taką swoistą filozofię przymusu i celów, a decydenci w Brukseli go poparli. Uznał, że jak narzucimy sztucznie cel albo wpisujemy konkretną datę – np. 42,5 proc. OZE w 2030 r., zakaz dla samochodów spalinowych w 2035 r., zeroemisyjne budynki publiczne w 2028 r., to takie rozwiązanie będzie dobre. I nie

wiadomo właściwie, dlaczego to taki cel i taka data. Nie jest ważne ani jakim kosztem to się odbędzie, ani czy to jest uzasadnione i co najważniejsze – czy jest wykonalne. Nasz rząd uważa takie podejście za błędne i szkodliwe.

A jakie powinno być właściwe?

Stawiamy na wsparcie tych działań, które faktycznie służą ochronie klimatu, ale przede wszystkim dają wymierne korzyści finansowe. Zachęcamy, np. oferując dopłaty do modernizacji budynków. Przygotowaliśmy m.in. programy Mój Prąd, Czyste Powietrze i Moje Ciepło. Każdy zainteresowany może uzyskać dofinansowanie. A osobom o najniższych dochodach proponujemy przedpłaty na wykonanie prac i 100 proc. dofinansowania. Nie możemy im przecież nakazać wykonania remontu za 100 tys. zł i powiedzieć, że jeśli tego nie zrobią, to będzie kara. A taka niestety jest unijna filozofia, o której wcześniej wspomniałam.

Każdy budżet się kiedyś wyczerpie i co będzie, jeśli wsparcie dla obywateli nie będzie możliwe, bo KE go zakaze? Już

w ogłoszonych w br. wytycznych apeluje, żeby dopłaty do rachunków skończyć w tym roku. Co zatem czeka nas w następnym?

W UE trwa dyskusja, więc na razie jest to temat otwarty. Wiemy, że Hiszpania, która sprawuje w tym półroczu prezydencję, ma pozytywne podejście do przedłużenia wsparcia. Będziemy jako rząd oczywiście reagować, bo stabilne dostawy energii i ceny to dla nas priorytet. W tej kwestii interes zarówno Polaków, jak i naszej gospodarki jest najważniejszy.

Czy są wyliczenia, jak polityka klimatyczna wpłynie na poziom

życia polskiego społeczeństwa?

Na obecnym etapie nie jesteśmy w stanie tego szczegółowo określić. I nie tylko my jako polski rząd. Nie może tego zrobić żaden inny rząd, bo jest za mało danych. Np. znamy tylko ogóle stawki podatków na paliwo do ogrzewania. To także jeden z wielu powodów, dla których krytkujemy przyjmowane przepisy z Fit for 55 i jesteśmy im przeciwni. Brakuje analiz kosztów i prawdziwej refleksji przy wprowadzaniu nowych rozporządzeń. Nie możemy dopuścić do tego, żeby polityka klimatyczna była obciążeniem dla Polaków i pogorszyła poziom ich życia. Jedno jest pewne, Społeczny Fundusz Klimatyczny dla Polski, który ma finansować zmiany proponowane w Fit for 55 jest kilka razy niższy niż koszt wdrożenia pakietu. Nie zgodzimy się na szkodliwe rozwiązania.

Obszerny wywiad z ministrem klimatu i środowiska Anną Moskwą, poświęcony kosztom zielonej transformacji, ukaże się także na łamach nowego wydania „Gazety Bankowej” dostępnego już 27 lipca w sprzedaży oraz w aplikacjach „GB”.

W Polsce świadomość istoty zmian, radykalizmu i zagrożeń, jakie niesie Europejski Zielony Ład i Fit for 55, jest bardzo duża. Mamy debatę publiczną o tym, jakie będą tego skutki

Na sportowy sukces składa się mnóstwo czynników, ale fundamentem jest oczywiście odpowiednio długie i jak najlepsze wytrenowanie zawodnika.

Sportowa specjalizacja w niemal każdej dyscyplinie osiągnęła dziś taki pułap, że ten, kto nie zaczął trenować we wczesnym dzieciństwie, praktycznie nie ma szans na osiągnięcie mistrzowskiego poziomu, na którym mógłby z powodzeniem rywalizować z najlepszymi



Piłkarska przyszłość z Orlenem

Czy trzeba szukać następców Lewandowskiego? Nie, wyszkolić!

Czasem żartuje się, że aby zostać numerem jeden np. w świecie tenisa, należy nauczyć dziecko trzymać rakietę, zanim stanie ono na własnych nogach i zrobi pierwszy krok. To nadal jeszcze przesada, ale nie jest nią już to, że ostatni dzwonek na rozpoczęcie treningów (jeśli ktoś ma oczywiście wielkie ambicje) brzmi już w wieku przedszkolnym. Nie inaczej jest z najbardziej popularnym sportem świata – piłką nożną. Nasz najlepszy piłkarz Robert Lewandowski został zapisany przez rodziców do drużyny Varsovi, gdy miał sześć lat, a już wcześniej trenował w Partyzancie Leszno, gdzie tata Roberta, pan Krzysztof Lewandowski, był prezesem.

Nikogo zatem nie dziwi dziś, że każda szanująca się akademie piłkarska oferuje zajęcia już dla kilkulatków. A ileż to razy słyszeliśmy padające z ust komentatorów telewizyjnych narzekania na polski system szkolenia po nieudanych meczach reprezentacji Polski?

POLSKA SZKOŁA PRZESTAŁA DZIAŁAĆ

Faktem jest, że po tłustych latach polskiego futbolu, które przypadły na kadencje selekcjonerów Kazimierza Górskiego, Jacka Gmocha i Antoniego Piechniczka, futbol przyspieszył, a nasza piłka nożna została z tyłu. Polska

szkoła futbolu, która tak zaimponowała fachowcom na mistrzostwach świata w 1974 r., nie była już aktualna w drugiej połowie lat 80., a w kolejnych dekadach dystans się tylko powiększał. Świadczył o tym także fakt, że polscy trenerzy – z wyjątkiem Henryka Kasperczaka, który zbudował swoją markę we Francji – nie byli cenieni w krajach piłkarsko rozwiniętych. Od 1986 do 2002 r. nie zdołaliśmy awansować do żadnego ważnego turnieju jak Euro czy mundial, a nasze zespoły klubowe z roku na rok notowały coraz gorsze wyniki na arenie europejskiej. Jako podstawowy problem takiego stanu rzeczy często wskazywano niedoinwestowanie polskiej piłki, ale



Fot. Łukasz Gruchala/CyfraSport

ważniejsze było chyba niskiej jakości szkolenie młodzieży. Oczywiście wciąż trafiały się nam talenty, które z polskiej ligi były szybko transferowane do zachodnich klubów, i właśnie z takich piłkarzy głównie składały się reprezentacje Jerzego Engela czy Pawła Janasa, które zagrały – z resztą ze słabym efektem – w mistrzostwach świata w 2002 i 2006 r. Warto jednak zauważyć, że najgorszy okres posuchy w polskim futbolu zakończył się właśnie na początku XXI w., a później nie notowaliśmy już tak dramatycznie długich okresów poza jakimikolwiek elitarnymi turniejami.

Do dziś odrobiliśmy już całkiem spory dystans, który dzielił nas od najlepszych, czego dowodem jest w miarę regularna gra reprezentacji w największych turniejach i duża liczba polskich piłkarzy w najlepszych światowych ligach takich jak włoska, francuska, a nawet angielska. Tacy piłkarze jak Piotr Zieliński czy Wojciech Szczęsny cieszą się statusem gwiazd światowego formatu, a supergwiazdą jest oczywiście Robert Lewandowski.

SZKOLIMY LEPIEJ

Żebyśmy jednak mogli liczyć na następców wymienionych piłkarzy w przyszłości w jeszcze większej liczbie, która przyczyni się do wzrostu siły naszej reprezentacji narodowej i doprowadzi do rywalizacji o medale wielkich imprez, potrzebujemy profesjonalnego i doinwestowanego modelu szkolenia piłkarzy już od najmłodszych lat. I tutaj faktycznie polscy kibice mają powody do optymizmu, bo jak ważne jest szkolenie młodzieży w naszym kraju, zrozumiano już kilka lat temu, a ośrodków szkoleniowych z wykwalifikowaną kadrą przybywa. Bardzo mocno w rozwój piłki nożnej w naszym kraju jest zaangażowany największy sponsor polskiego sportu, czyli Orlen. Spółka nie tylko wspiera seniorskie zespoły narodowe, będąc najważniejszym partnerem strategicznym niemal wszystkich liczących się związków sportowych w Polsce, ale realizując swoją misję społeczną, mocno angażuje się we wspieranie sportu amatorskiego, w tym zajęć dla dzieci i młodzieży.

UJEDNOLICONE ZASADY SZKOLENIA

W przypadku piłki nożnej jest kontynuowany projekt zainicjowany jeszcze przez Lotos, który po udanej fuzji z Orlenem zyskał dodatkowe możliwości rozwoju. Przyszłość Piłki z Orlenem to wieloletni projekt, który ma na celu propagowanie piłki nożnej wśród najmłodszych. Dzięki niemu tysiące młodych piłkarzy może podążać śladami Roberta Lewandowskiego czy Kamila Glika. Programem jest objętych kilkanaście ośrodków szkoleniowych w całej Polsce. W ramach tego programu trenuje kilka tysięcy dzieci, które z pasją doskonaliły swoje umiejętności, podążając za jednolitym planem szkolenia.

Program powstał we wrześniu 2012 r. i działa pod patronatem Ministerstwa Sportu i Turystyki oraz Polskiego Związku Piłki Nożnej. Jego głównym celem jest wyrównanie poziomu wyszkolenia zawodników trenujących w mniejszych klubach przez ujednolicenie planu szkolenia, wprowadzenie profesjonalnego i kompletnego nadzoru trenerskiego oraz zwiększe-

nie dostępności treningów dla dzieci i młodzieży. Program koncentruje się również na pogłębianiu wiedzy trenerów pracujących z młodymi zawodnikami oraz zapewnieniu finansowego wsparcia dla prawidłowego procesu szkoleniowego.

Ważnym aspektem w programie jest nie tylko rozwijanie umiejętności piłkarskich, lecz także kształtowanie postawy patriotycznej oraz promowanie zasad fair play. Ciekawostką jest, że w ramach programu Piłkarska Przyszłość z Orlenem trenuje coraz większa liczba dziewcząt, bo żeński futbol stale zyskuje na popularności. Większość ośrodków szkoleniowych łączy dziewczęce drużyny z drużynami chłopców, ale działają również drużyny skupiające wyłącznie dziewczęta.

Dzięki temu programowi udało nam się osiągnąć znaczące postępy. Jeden z głównych wskaźników sukcesu Piłkarskiej Przyszłości z Orlenem to liczba zawodników reprezentujących ośrodki w narodowych kadrach, a także zainteresowanie ze strony czołowych polskich klubów. Dodatkowo, od momentu przystąpienia do programu, liczba dzieci trenujących w poszczególnych ośrodkach podwoiła się. To pokazuje, jak istotne jest wsparcie dla mniejszych klubów oraz jakie wyzwania występują w mniejszych miejscowościach. Efekty programu są już wyraźnie widoczne. Każdego roku zawodnicy i zawodniczki z ośrodków otrzymują liczne powołania do reprezentacji wojewódzkich, a ci najlepsi mają okazję reprezentować Polskę w młodzieżowych kadrach narodowych. Wiele wychowanków programu odnosi już sukcesy na najwyższym poziomie rozgrywkowym w Polsce, takim jak Ekstraklasa oraz I liga. To dowód na to, że wyszkolenie i rozwój oferowane przez program Piłkarska Przyszłość z Orlenem przynoszą realne rezultaty, a młodzi piłkarze i piłkarki mają szansę rywalizować na najwyższym poziomie.

PARTNER DODATKU



Ataki na Lasy Państwowe: ekoterrorystów w służbie dezinformacji i destrukcji

Polskie lasy pozostają wciąż w realnym niebezpieczeństwie, którym jest eskalacja ataków ekoterrorystów i nieuczciwej retoryki Unii Europejskiej oraz opozycji. Spiskujący przeciwko Lasom Państwowym agresywni aktywiści, dążący do osiągnięcia własnych celów, podkopują nie tylko polskie dobra narodowe, lecz także rzeczywistość i zaufanie społeczne. Ostatnie incydenty, takie jak blokowanie legalnych prac leśnych, niszczenie mienia publicznego i rozprzestrzenianie dezinformacji, ujawniają groźną działalność ekoterrorystów

13 lipca 2023 r. w Makowej na Podkarpaciu zakończyła się kolejna hucpa ekoaktywistów. Na obrzeżach wymyślonej Puszczy Karpackiej i projektowanego – przez samych siebie – parku narodowego urządzili „punkt informacji turystycznej”. Jako siedziba tej fikcyjnej instytucji służył zdezelowany, obskurny barakowóz. Prowizoryczna buda została usunięta.



ZDEZELOWANY KONSULAT EKOTERRORYSTÓW

– Zgodnie z decyzją Powiatowego Inspektora Nadzoru Budowlanego w Przemysłu Nadleśnictwo Bircza podjęło ostateczną decyzję o usunięciu barakowozu z terenu działki ewidencyjnej nr 492 w Makowej, będącej własnością skarbu państwa i zarządzanej przez PGL LP – mówi dyrektor generalny Lasów Państwowych Józef Kubica.

Barakowóz został wwieziony na teren nieruchomości nocą, w listopadzie 2021 r., bez zgody i wiedzy leśników. Obiekt ten prawdopodobnie był wykorzystywany przez aktywistów Inicjatywy Dzikie Karpaty, którzy wielokrotnie odmawiali wskazania właściciela lub inwestora budynku.

– Nadzór budowlany nie mógł dłużej tolerować takiej sytuacji. Do usunięcia tej ekoterrorystycznej samowoli budowlanej doszło w symbolicznym dniu, w środę, po ogólnopolskich obchodach Dnia Leśnika – zwraca uwagę dyrektor Kubica.

Fot. Damian Kwiatkowski (3x), Shutterstock



Zdjęcia z likwidacji samowoli budowlanej dokonanej w 2021 r. przez ekoterrorystów, którzy blokowali legalne prace leśne w Nadleśnictwie Bircza. Barakowóz ustawiono na gruntach Skarbu Państwa. Służył za bazę dla tzw. osób aktywistycznych i „punkt informacyjny”. Likwidacja na podstawie decyzji nadzoru budowlanego w asyście policji

Formalnie decyzja PINB o obowiązku rozbioru wynikała z braku ustalenia właściciela lub inwestora barakowozu. To działanie było konieczne, by przywrócić stan zgodny z prawem na terenie leśnym.

NA HAJU BAJU, BAJU O... PUSZCZACH I PARKACH

Makowa, gdzie organizacje o lewackim zabarwieniu ustawiły swoją bazę, leży raptem 5 km od granicy z Ukrainą.

– To trzeba koniecznie podkreślić, że miejsce, które ci ludzie wybrali na ustawienie tej kupy złomu, jest zlokalizowane w strefie nadgranicznej, blisko granicy z Ukrainą, gdzie trwają działania wojenne. Dlatego też działania ekoterrorystów na tym obszarze mogą mieć kluczowe znaczenie dla bezpieczeństwa państwa – zwraca uwagę Michał Gzowski, rzecznik Lasów Państwowych.

Rzecznik dodaje, że usunięcie samowoli budowlanej nie miało na celu tłumienia protestu czy ograniczenia wolności wyrażania opinii. Było odpowiedzią na bezprawne działania, które mogą wpływać negatywnie na ochronę przyrody i środowiska naturalnego. Leśnicy w pełni respektują prawo do protestu i wyrażania opinii, ale równocześnie zwracają uwagę, że działania te powinny odbywać się w pełnym poszanowaniu prawa i bez naruszania przepisów.

Sprawa ma jeszcze drugie dno.

– W trakcie wykonywania czynności służbowych przez policję w barakowozie znaleziono substancje, które wyglądały na zabronione. W związku z tym cztery osoby zostały doprowadzone na komendę, gdzie przeprowadzono czynności dochodzeniowo-śledcze – informuje Gzowski. – Policja na razie nie potwierdziła, co to za substancje, ale narkotyki w takich ekoobozowiskach to standard. I nie ma się co dziwić, że osoby w stanie upojenia wymyślają a to jakieś puszcze, a to parki narodowe.

JEDNYM GŁOSEM PRZECIW EKOBUJDOM

Jednak barakowóz w Makowej to tylko jeden z wielu incydentów, którym Lasy Państwowe muszą stawić czoła. Coraz częściej ataki na Lasy Państwowe są związane z agresywną retoryką, dezinformacją i manipulacją informacją, szczególnie silną w mediach społecznościowych. Grupy ekoterrorystyczne, takie jak Inicjatywa Dzikie Karpaty, podejmują różne działania, by blokować prace leśne, nielegalnie zajmować tereny leśne czy dokonywać aktów wandalizmu.

– Zagrożenie ekoterroryzmem i dezinformacją nie dotyczy jedynie Lasów Państwowych jako instytucji, ale przede wszystkim wpływa na ochronę przyrody i zrównoważoną gospodarkę leśną w Polsce. Lasy Państwowe, pozyskując drewno, generują miejsca pracy dla blisko 500 tys. Polaków, a Polska jest głównym producentem mebli drewnianych w Europie. Szkodliwe działania ekoterrorystów niosą z sobą negatywne konsekwencje dla gospodarki, zatrudnienia i społeczności lokalnych – wylicza Edward Siarka, sekretarz stanu w Ministerstwie Klimatu i Środowiska i pełnomocnik rządu do spraw leśnictwa.

– Walka z ekoterroryzmem i dezinformacją wymaga współpracy wszystkich zainteresowanych stron. Organizacje rządowe, organy ścigania, przedstawiciele społeczeństwa obywatelskiego i lokalne społeczności powinny działać wspólnie, by przeciwdziałać agresywnym działaniom ekoterrorystów i promować rzetelną informację na temat gospodarki leśnej i ochrony przyrody – uzupełnia dyrektor generalny Lasów Państwowych.

EKOTERRORYZM KRUSZY ZAUFANIE SPOŁECZNE

– Niestety, agresywni aktywiści i ekoterroryści zdają się nie zainteresowani prawdą ani dialogiem. Ich działania są wypełnione dezinformacją i manipulacją, które prowadzą do niszczenia dobra narodowego i atakowania ludzi, którzy pracują na rzecz lasów. Takie zachowanie podważa zaufanie do prawdziwych ruchów ekologicznych, których głównym celem powinno być zrównoważone zarządzanie zasobami przyrodniczymi – ubolewa Edward Siarka, którego resort współpracuje z wieloma różnymi organizacjami.

A Michał Gzowski dodaje: – W obliczu narastającego ekoterroryzmu i dezinformacji obywatele powinni być świadomi manipulacji i roszczeń grup ekologicznych, które dążą do zniszczenia polskich lasów i przemysłu drzewnego. Tylko odpowiedzialna i rzetelna współpraca wszystkich zainteresowanych stron może prowadzić do prawdziwej ochrony przyrody i zrównoważonego wykorzystania zasobów leśnych.

Ekoterroryzm i agresywna retoryka nie są drogą do tego celu, lecz jedynie sabotażem i destrukcją, które szkodzą naszym lasom i wszystkim zależnym od nich społecznościom.



Lasy Państwowe

GNIEWOMIR KNAPSKI*

Na trasie z Góromirem

Pochodzę z nizinnej Wielkopolski, a mimo to od dziecka moje zainteresowanie budziły góry, co w końcu przerodziło się w pasję. Mając zaledwie kilka lat, przeszedłem z rodzicami i bratem m.in. Czerwone Wierchy i wspiąłem się na Giewont. Krok po kroku rozwijałem swoje umiejętności, zdobywałem doświadczenie i wiedzę. To właśnie polskie Tatry zajęły w moim życiu szczególnie i wyjątkowe miejsce.

Do tej pory przewędrowałem niezliczoną liczbę polskich szlaków, ale też zdobyłem jedne z największych i najtrudniejszych szczytów Alp i Kaukazu, w tym popularny Mont Blanc (4810 m), majestatyczny Matterhorn (4478 m) i kaukaski gigant – Kazbek (5033 m). Wspiąłem się także na dach Afryki – Kilimandżaro (5895 m).

Góry stały się dla mnie miejscem, w którym oddycham pełną piersią, gdzie serce mocniej bije... miejscem po prostu niezwykłym... – deklaruje twórca bloga Śladami Góromira, a ostatnio także autor niezwykle przy-

datnego przewodnika „Góry dla każdego” (wyd. Znak).

W książce znajdziemy propozycje 40 szlaków po polskich górach. Od Bieszczadów po Sudety. Wycieczek jednodniowych i weekendowych. Zaplanowanych i przygotowanych w najdrobniejszym szczególe, ale też z możliwością dostosowania do własnych potrzeb.

Opis każdej trasy uzupełniają przejrzysta mapa, QR kody z linkami do tras i praktyczne informacje zarówno o biletach wstępu, jak i o tym, dokąd mamy szansę dotrzeć z wózkiem dziecięcym czy z psem. Nie brakuje ciekawostek, legend i historii z przeszłości. I oczywiście charakterystyki szlaków pozwalającej wybrać optymalny wariant. Wśród parametrów są: czas, dystans, różnica wysokości oraz ocena „Okiem Góromira”: atrakcyjności, trudności, satysfakcji i zmęczenia. Są też propozycje alternatywnych zakończeń tras. Poza tym autor podpowiada, co



jak spakować do plecaka, jak zdobywać informacje na temat np. pogody czy jak przygotować organizm do drogi.

A oto próbka stylu, w jaki jest prowadzony przewodnik: „Jeśli ktoś szuka w Karkonoszach szlaku na przyjemny niedzielny spacer z rodziną, to ta propozycja będzie dla niego idealna. Zaczniemy od najwyższej kaskady w Sudetach – Wodospadu Kamień-

czyka. Wielbiciele trekkingu i górskich widoków pomaszczą dalej na grzbiecie Karkonoszy – w kierunku Szrenicy. Szczyt ten znajduje się w zachodniej części pasma oraz roztacza się z niego przepiękna panorama Gór Izerskich i czeskich Karkonoszy. Wędrówkę rozpoczynamy w Szklarskiej Porębie. Samochód można zostawić na jednym z kilku płatnych parkingów – przy czerwonym szlaku (Szosa Czeska), przy ul. Adama Mickiewicza lub obok wyciągu, skąd pójdziemy dalej czarnym szlakiem. Dojedziemy tam także pociągiem, do stacji Szklarska Poręba Huta.

Niezależnie od miejsca startu do wodospadu dotrzemy kamienistą ścieżką po 30–40 min. Wejście do wąwozu, w którym się on znajduje, jest biletowane. Trzeba mieć również na uwadze, że w sezonie mogą się tu tworzyć kolejki. Zdecydowanie jednak warto odstać w nich jakiś czas. Wąwóz z 35-m ścianami robi ogromne wrażenie. Po krótkim spacerze odsłania się przed nami widok na najwyższy wodospad w polskich Sudetach.

Wodospad Kamieńczyka ma 27 m wysokości i spada trzema kaskadami. To przy nim szczególnie można poczuć magiczną atmosferę okolicy. Jeśli jednak nie mamy ochoty schodzić na dół, to obok schroniska Kamieńczyk znajduje się platforma widokowa – obserwacja z góry jest darmowa. Jeśli zdecydujemy się zakończyć wycieczkę już na tym etapie, zajmie ona ok. 1,5 godz.”

Jolanta Gajda-Zadworna

*alpinista, autor bloga Śladami Góromira i książki „Góry dla każdego”





SŁODKO-SŁONY

Piersi w owocach

ANNA MONICKA

Organizmowi, który od dziecka regularnie dostawał mięso, trudno jest tak po prostu je odstawić. Nawet wtedy, gdy intuicja podpowiada, że stek czy inny kotlet nie służą ani żołądkowi, ani wątrobie. Mnie najłatwiej poszło z parówkami, kielbasami, salcesonami i pasztetówkami, czyli wędlinami, które nie wiadomo dokładnie, z czego powstają. Na drugi ogień poszły kurczaki. Powód był banalny – otóż mój kot któregoś pięknego dnia po zjedzeniu dorodnej piersi ciężko się pochorował, a potem już nigdy więcej tak ochoczo nie startował do drobiu. Jeśli udało mi się kupić porządną wiejską kurę, na której od czasu do czasu gotuję jesienią i zimą rosół – prosił o gotowane mięso, ale zwykłej sklepowej nie chciał. Dało mi to do myślenia.

Zdarza się jednak, że ciało domaga się mięsa. Najczęściej wiejskiej suszonej kielbasy, porządnego kindziuka albo chudego boczku, najlepiej od razu w pakiecie z wędzoną śliwką – owocek owinięty plasterkiem wędliny trzeba podsmżyć na patelni albo podpiec w piekarniku – taki zestaw pachnie tak pięknie, że dają się od czasu do czasu ponieść łakomstwu.

Jeśli mogę kupić porządną kurę jest podobnie. Ostatnio, gdy wpadła mi w ręce, rosolek uwarzyłam na korpusach i nogach (i zamroziłam go na później), a z piersi postanowiłam zrobić pyszne zawijane zrazy w sosie owocowym, głównie z moreli, mirabelek i plasterków limonki. Ten przepis pokazuje, co można wyczarować z suchego i mało wyrazistego kawałka drobiu.

Piersi trzeba ostrym nożem podzielić na platy – kroimy wzdłuż, z każdej wyjdą trzy kawałki. Do środka można włożyć kwaszony ogórek, duszone pieczarki, małą kuleczkę mozzarelli albo kostkę fety. Zwijamy rulonik, a potem całość owijamy jeszcze chudym boczkiem i dokładnie podsmażamy na odrobinie oleju. Owoce podpiekamy w piekarniku, przecieramy przez sito i podsmażamy z czosnkiem na większej patelni. Na koniec przekładamy kurze roladki do sosu owocowego i podduszamy w nim jeszcze z 15–20 minut albo wkładamy wszystko do żaroodpornego naczynia i pieczemy kilkanaście minut w piekarniku, polewając raz czy dwa sosem owocowym. Podajemy z sałatą. 

Fot. Shutterstock



WILCZYM OKIEM

Wypadek jerzyka

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

O jerzykach napisałem już chyba 100 stron artykułów i rozdziałów. I nie poruszałbym tego tematu 101. raz, gdyby nie to, że spotkała mnie ciekawa przygoda. Szedłem ulicą starego miasta. Na opisanie pogody można użyć wyświechtanej frazy – żar lał się z nieba. Szedłem niespiesznie, gdy nagle, niczym w dobrej powieści, nastąpił zwrot akcji: na ziemi, na rozgrzanym asfalcie objawił się mały ptaszek. „Bardzo źle” – pomyślałem. Był to bowiem właśnie jerzyk. Jest to jeden z nielicznych ptaków, który nie ma prawa mieć kontaktu z ziemią. Raz usiadłszy na ziemi, pozostanie na niej na zawsze. Nie ma przystosowania, które umożliwiłoby mu start z ziemi. Jerzyk musi rozpocząć lot ze skały, budynku itp. Przede wszystkim jednak jerzyki latają. Nie siadają. W locie jedzą, kopulują, śpią, wypoczywają. Dlatego pomyślałem: „Bardzo źle”.

Był to młody jerzyk, który chwilę wcześniej musiał ulec drobnemu wypadkowi. Ucząc się latać, uderzył w mur lub w tzw. druty. Podniosłem drobne ciałko. Zbadałem skrzydła. Nie wydawały się uszkodzone. Ptak bezwładnie kręcił głową, co faktycznie wskazywało na zderzenie z czymś twardym. Doskwierał mu upał. Poszliśmy do cienia. Szybko przestało mu się kręcić w głowie. O dziwo nie wyrywał się, nie niepokoił, serce mu nie kołatało jakzymanemu w dłoni obrączkowanemu zimorodkowi. Uczepił się delikatnie pazurkami mojej dłoni i wyglądał na zadowolonego. Dałem mu pić. Pił chętnie wodę z mojej drugiej dłoni.

Wychłodzony, napojony mógł stawić się na badania. Chciałem sprawdzić, czy wziąć go do domu i kurować dalej, czy też wypuścić tu i teraz. Podniosłem więc wysoko dłoń, na której siedział, i energicznie, choć z wyczuciem, opuściłem w dół. Gdy ręka opadała ptak rozłożył skrzydła, ale nie zdecydował się na lot. Jego łapki wciąż trzymały się mojej. Za drugim razem, podczas przejażdżki z góry w dół, rozwinął skrzydła, puścił moją dłoń i wesoło, choć niezgrabnie odleciał. Niestety, lot trwał trzy sekundy, a jerzyk wyładował znów na ulicy. Po tym krótkim locie, po wypiciu wody, jerzyk na asfalcie załatwił się. Ponownie wziąłem go do ręki i wysoko podrzuciłem. O dziwo ptak wzbil się, zatrzepotał skrzydłami i chwacko odleciał za XVI-wieczne budynki. Ze spotkania pozostało mi kilka zdjęć. 

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Lewicowy niemiecki ekstremizm



www.wojciechreszczyński.pl

Nie jestem zaskoczony, że Niemcy mają problem w szkołach z młodzieżą, która śle sobie hitlerowskie pozdrowienia, maluje swastyki na ścianach, opowiada publicznie antysemickie dowcipy o Żydach czy śpiewa nazistowskie pieśni. Donosił o tym portal dziennika „Die Welt”, z którego cytaty przytoczył 15 lipca br. portal wPolityce.pl.

Opisany stan rzeczy nie dziwi mnie, gdyż Brandenburgia i Meklemburgia-Pomorze Przednie to tereny dawnej NRD, gdzie przez 45 lat komunizmu przetrwała pruska buta, akceptacja dla siły i braku tolerancji. Właśnie dlatego, że totalitaryzm w podporządkowanej Rosji NRD miał podglebie niemieckiego prusactwa, raczej wzmacniał, a nie osłabiał to negatywne dziedzictwo.

O nagannym zachowaniu uczniów w szkołach poinformowali w liście otwartym nauczyciele Laura Nickel i Max Teske. Rozważają nawet jako jedyne wyjście ze względu na liczne pogróżki pod ich adresem, rezygnację z pracy w szkole. I tu cytata: „Nie może to być jednak dobrym rozwiązaniem, tym bardziej że ucieczy to prawicowych ekstremistów”.

W artykule portalu Welt oraz w piśmie „Welt am Sonntag” aż pięciokrotnie jest mowa o „incydentach prawicowych ekstremistów”, co wiernie przedrukowuje dla polskiego czytelnika portal wPolityce.pl. I tu jest pies pogrzebany, jak mówi stare porzekadło, znane zresztą Niemcom jako „da liegt der Hund begraben”.

Jeżeli niemieckie szkoły mają takich nauczycieli, którzy agresję młodzieży w stosunku do Żydów, czyli antysemityzm, ogólną ksenofobię, podziw dla Hitlera i jego armii łączą z prawicowym ekstremizmem, to znaczy, że sami mają problemy z historią i nic nie dadzą po-

stulowane przez nich pogadanki, rozmowy edukacyjne, spotkania z ocalałymi z Holocaustu czy wycieczki, jak to sformułowało ministerstwo edukacji Brandenburgii, do miejsc pamięci. Czy chodzi o niemieckie obozy koncentracyjne? Przy okazji moich spotkań ze studentami prosiłem, byśmy wymieniali nazwy obozów koncentracyjnych zgodnie z ich pełną i oficjalną nazwą – Konzentration Lager. Nie były to bowiem żadne obozy w rozumieniu języka polskiego, ani harcerskie, szkolne, szkoleniowe, sportowe czy turystyczne. Jedyną właściwą nazwą miejsc zagłady stworzonych przez Niemców w czasie II wojny światowej jest nazwa (fonetycznie) „koncentracjon lagier”, czyli w skrócie KL. Tak samo jak w języku rosyjskim „lagry” oznaczają sowieckie miejsca kaźni.

Tendencja tworzenia zbitki językowo-semantycznej przez łączenie nazizmu, hitleryzmu, wszelkiego niemieckiego skrajnego ekstremizmu politycznego z prawicą ma nie tylko w Niemczech długą historię. Została wymyślona i wprowadzona przez komunistów wszelkiej narodowej maści, podtrzymywana przez postkomunistów i wszystkich socjalistów, także dzisiejszych liberalów. Naukę w europejskich i amerykańskich szkołach należy zacząć od rozszyfrowania nazwy partii Adolfa Hitlera, czyli NSDAP – Nationalsozialistische Deutsche Arbeiterpartei. W dosłownym tłumaczeniu jest to „narodowa, socjalistyczna, niemiecka, pracy, partia”, czyli po polsku: Narodowo-Socjalistyczna Niemiecka Partia Robotnicza. NSDAP liczyła 8,5 mln członków, co daje ponad 12 proc. dorosłej ludności przedwojennych Niemiec liczących wówczas 69 mln ludzi. Gdybyśmy doliczyli liczne przybudówki młodzieżowe czy paramilitarne, to

większość ówczesnych Niemców była czynnie zaangażowana w ludobójcze dzieło Hitlera. Czy trzeba przekonywać, że bez Niemców dzieło zniszczenia Hitlera nie byłoby możliwe?

A jednak nadal łączy się nazizm z prawicową ideologią, a nazistowskie incydenty w brandenburskich szkołach z prawicowym ekstremizmem. Tymczasem te incydenty są typowe dla ideologii lewicowej, socjalistycznej, tej, która w XIX i XX w. chciała wyrzucić cały świat.

Łatwość, z jaką przypisuje się niemieckiej młodzieży, oskarżanej o gloryfikowanie nazizmu, antysemityzmu i wrogości wobec obcych, prawicowe poglądy, jest ewidentnym oszustwem, a co najmniej dowodem braku wykształcenia niemieckich nauczycieli i ich uczniów. Hitler nie był prawicowcem. Był zbrodniarzem chcącym zbudować szowinistyczne, narodowo-socjalistyczne Niemcy.

Okarierze słowa „nazizm” pisałem już na tych łamach, ale warto powtórzyć, że słowo to pozwala ukrywać prawdziwe oblicze III Rzeszy, która przez militarne podboje miała zamiar stworzyć nowy niemiecki, europejski ład. Lewicowa propaganda woli robić z Niemców nazistów, a współczesnych sympatyków Hitlera, który był skrajnym lewakiem, wyznawcą i liderem niemieckiego postępu w Europie, stale nazywa się prawicowymi ekstremistami.

Drodzy niemieccy nauczyciele! Prawda jest taka, że wychowujecie kolejne pokolenia lewicowych narodowych socjalistów, ekstremistów bardzo podobnych do swoich dziadków czy pradziadków. Podobnie lewacka, a nie prawicowa, jest wasza nowa partia, która pnie się w sondażach do góry. Chodzi oczywiście o Alternative für Deutschland (AfD).

Trzy sprawy

Sprawa pierwsza. W 80. rocznicę zagłady Polaków podczas rzezi wołyńskiej media były wypełnione wspomnieniami, faktami, zapiskami czy fotografiami z tamtych wydarzeń. Polacy domagali się też przeprosin ze strony władz ukraińskich i ujawnienia prawdy o sprawcach, o których my wiemy, ale przeciętny Ukraińiec może nie mieć pojęcia. Czym innym jest pojednanie, braterski uścisk dłoni, a czym innym opowiedzenie całej prawdy o tych wydarzeniach, o tej niesłychanej zbrodni. Zbrodni co do faktu niehumanitarnej, a także popełnionej w sposób niehumanitarny. Prawda, pełna prawda o niej musi być znana zarówno Polakom, jak i Ukraińcom.



**Aleksander
Nalaskowski**

*W obchodach rocznicy tej
potworności zabrakło mi jednego
elementu. Chodzi mianowicie
o Ukraińców, którzy wbrew
amokowi swoich pobratymców
ratowali polskich sąsiadów*

W obchodach rocznicy tej potworności zabrakło mi jednego elementu. Elementu, który nie ma zapewne wielkiego znaczenia historycznego, elementu z obszaru marginesu wydarzeń, ale moralnie doniosłego i wartego przywołania. Chodzi mi mianowicie o Ukraińców, którzy wbrew amokowi swoich pobratymców, wbrew atmosferze przyzwolenia na okrutne mordy, na tę ogromną zbrodnię, wbrew śmiertelnemu ryzyku, wbrew temu wszystkiemu ratowali, ukrywali polskich sąsiadów. Ryzykowali życiem swoim i swoich bliskich, bo próbując ocalić polskich sąsiadów, sami mogli stracić życie. Wielu straciło. O nich należy głośno mówić, nawet jeśli to niewielka grupa, pojedyncze przypadki, margines, to nasza pamięć im się należy. Tak samo jak pamięć o rodzinie Ulmów i innych Polakach powinna być czczona w Izraelu. Póki żyją świadkowie rzezi, póki mamy dostęp do źródeł, do wspomnień powinniśmy poznać tych, którzy w atmosferze zdżyczenia pozostali ludźmi. Myślę, że to zadanie dla Instytutu Pamięci Narodowej.

Sprawa druga. Nie dają mi spokoju kolejne rezolucje Parlamentu Europejskiego dotyczące niepraworządności w Polsce. Idą one tak bardzo w poprzek faktów, są tak niesłychanie wydumane, że aż przestały być interesujące. Rezolucje podejmowane z udziałem polskiej opozycji i tak samo etycznych jak ona skorumpowanych posłów („katarska gotówka”) mają znikomą moc faktyczną, ale nie o to w nich chyba chodzi. Podejrzewam, że ich rytmiczne ogłaszanie ma na celu podtrzymywanie przekonania, że Polska jest krajem niepraworządnym, dyktatorskim i wobec własnych obywateli nieuczciwym, a to oznacza, że

niemal wszystkie działania podejmowane przez polskie instytucje są tak samo niepraworządne. A wszystko razem – dodajmy tu jeszcze zaprzańskie działania posłów pokroju Ochojskiej, Thun czy Halickiego i innych – ma tworzyć grunt do zakwestionowania przebiegu *ergo* wyniku jesiennych wyborów. Wszak w niepraworządnym kraju nie mogą się odbywać uczciwe wybory. Kto wie, może już w Brukseli powstają dokumenty odmawiające uznania wyniku wyborów, które dopiero się odbędą, a jeśli je wygra prawica, to Parlament Europejski pierwszy odmówi jej legitymizacji.

Sprawa trzecia. Sondaże wyborcze wysoko plasują Konfederację, która może w przyszłym Sejmie wprowadzić sporo zamieszania. Zwracam jednak uwagę, że Konfederacja nie jest utożsamiana z posłem Grzegorzem Braunem, którego gdzieś schowano, z podstarzałym Januszem Korwin-Mikke czy nijakim Krzysztofem Bosakiem. Jej frontmanem został bez wątplenia Sławomir Mentzen.

Tak naprawdę głosy oddane na Konfederację będą głosami oddanymi na Mentzena. A to oznacza, że otworzy on szeroko drzwi dla swojego ogona, czyli mniej znanych lubo zgola nieznanych konfederali

tów oraz dla tych, których na czas kampanii wyborczej ukryto, a których poglądów, programów i stopnia przygotowania do pełnienia ważnych funkcji nie znamy. Tak naprawdę głosując na Mentzena, głosujemy na pewną nie wiadomą, o której prawdę poznamy w praniu, ale wtedy może już być za późno.

Retoryka Sławomira Mentzena jest aksamitnie agresywna. Ten bez wątplenia uzdolniony i dobrze wykształcony człowiek, elokwentny oraz pewny siebie narcyz może zachęcić do głosowania na Konfederację i tak się bez wątplenia stanie. Ale jest pytanie, co dalej? W którą pójdzie stronę, jak bardzo podtrzyma antypisowskie hasła, jakie pomysły zgłosi zamiast 500+ czy 13. emerytury? Dzisiejsze hasła, które głosi, mogą się dość szybko okazać wyborczą błagą, zaledwie przynętą. Bo w polityce o wiele łatwiej zdobywać władzę, niż rządzić. A powyborcza rzeczywistość może okazać się wysoce niełaskawa dla młodego i mało doświadczonego polityka, który rychło przedwyborczy gładki język może zamienić na powyborczy bełkot polityczny.

Rysuje **Jerzy Wasiukiewicz**



TRENDY I OWĘDY

Piwo wyborcze

Mimo wakacji życie polityczne nie weszło w sezon ogórkowy

Niegdyś kanikuła kojarzyła się z UFO, bursztynową komnatą i potworem z Loch Ness. Dziś nawet najgorętsze dni lata są rozżarzane informacjami z pola walki wyborczej. Od „Chcesz głosować na PiS lub Konfederację? Powiedz to, tchó-



Ryszard Makowski

rz, w twarz żonie, dziewczynie, córce!” do reakcji na happening KO w Łebie. „A kim wy jesteście? Byli komuniści, którzy się nakradli. Wszystko rozkradli, całą Polskę”.

Obserwujemy walkę wersji praktycznej z wersją teoretyczną. Wersję praktyczną reprezentuje obecna władza, która mimo niezwykle niekorzystnego momentu do rządzenia, pandemii, wojny na Ukrainie zadbała o obywateli. Nie wszystko jest idealnie i niektóre grupy społeczne są niezadowolone. I na nich czeka oferta czysto teoretyczna, ale jakże atrakcyjna. Platforma obiecuje zwiększenie kwoty wolnej w podatku PIT z obecnych 30 do 60 tys. zł. Fantastycznie! Niezwykłej wiarygodności tej propozycji dodaje fakt, że za swoich rządów PO podwyższyła tę kwotę z 3089 do 3091 zł. O 2 zł!

Teoretycznie jest do wyboru wiele dróg. Z tym że choćby ta trzecia wygląda jak droga donikąd. Jeden z przywódców partyjnych organizuje spotkania przy piwie. Pomyśl sam w sobie jest bardzo dobry, choć Polska Partia Przyjaciół Piwa już była. Tutaj samo nasuwa się powiedzenie o nawarzeniu piwa. Niestety, w polityce bywa tak, że spożywają napój nie ci, którzy go nawarzyli, tylko całkiem postronni ludzie, będący niejednokrotnie abstynentami. Należy też pamiętać, że często po milej biesiadzie zostaje dotkliwy kac.

Michał Korsun prezentuje:
Dzika rzeź „zielonego” Trzaskowskiego



Referencje Andrzeja Wiktor, Shutterstock

Wycinki z przeszłości

Rozebrana higienicznie, mądrze, wygodnie i ładnie, zażywa kąpieli powietrznej, słonecznej i wodnej” – zachwalała polska prasa nowoczesne wtedy stroje kąpielowe w połowie lat 30. ub.w. Z dalszych porad: „Trzeba się przygotować umiejętnie: obnażyć maksimum tego, co można, a zasłonić wszystko to, co trzeba. Do tego celu posłuży dobry kostium, koniecznie wełniany, w pierwszorzędnym gatunku. Powinien być starannie dopasowany i doskonale utrzymany. Pani plażująca, która ma doświadczenie, wie doskonale, że kostium rozciągnięty, za duży, wygląda bardzo nieestetycznie”.

Z wyjątkiem sformułowania „koniecznie wełniany” pozostałe rady pozostają aktualne.

(mk)



Pochwała lata...

Niech będzie pochwalona letnia pora lipca
– Lipa pachnąca miodem
Szwadron pszczół ku niej zdążający
Petunii śmiech różowy po balkonach
I po opłotkach wiejskich blisko torów
Wyścigi rozchodników
Stawów leniwe tafle
– Tataraku nabrzeżne umizgi
Niech brawa, zachwyt mój usłyszają



Leszek Długosz

Pochwalone niech będzie to nasze
Latem wędrowanie
– Za kierownicą, na piechotę, pod żaglami
Niech przez ten czas trwa
Wszelkie zawieszenie broni
Odłożenie terminów
Odstąpienie od żelaznej konsekwencji

Niech się pochylą na polach kłosa
I ludzie z czoła pot ocierający
Niech podniosą głowy
Niech wyprostują się ich ramiona
I pochwalony tak niech będzie znój
I lata utrudzenie

I nasze obok, przy tym stole, żono
Troski, żale,
Sezonowe smutki
Niechże to wszystko
Jak w gigantycznym lata stoju
Cukrzy się i kisi
I niech to już wonnie
Jak wiązki ziół
Co się je potem za obrazy święte wkłada
Na pocieszenie
Na życia niepogody
I ostatecznie...
Niech już przychodzi, co nieuniknione
(To coraz bliżej wszak nieuniknione)
Niech jesienniej
I jesień niech już obejmuje władzę
W ochrach i w ostach, w aksamitach, złotych
W zaciekach fioletowych
Ta już na końcu pogodzona uładzona pora
Innej miłości
I innych już z jesienią zachwyków

Zamów Prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	82 zł	149 zł	265 zł
wSIECI HISTORII	–	34 zł (3 wydania)	59 zł (6 wydań)
pakiety SIECI i wSIECI HISTORII	–	169 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	295 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

*dane do przedruku w stopce redakcyjnej



OD A DO ZYBERTOWICZA

Wszyscy superkreatywni

Co by to było, gdyby każdy z nas mógł zachowywać się tak niekonwencjonalnie, jak tylko pozwala jego własna kreatywność?

Już w podstawówce dostrzegłem, że jedni uczniowie są bardziej kreatywni od innych. Różnice uchwyciłem, słuchając czytanych na głos naszych wypracowań i obserwując odpowiedzi na pytania nauczycieli. Choć każdemu w mojej klasie zdarzały się lepsze i gorsze dni, to jednak niejednolity poziom kreatywności był na trwale przypisany różnym koleżankom i kolegom.

Nieco później zauważyłem, że jedni nauczyciele – nazwijmy ich dobrymi – działali tak, że potrafili z nas wydobywać wypowiedzi czy działania (np. na zajęciach praktycznych) kreatywne, inni zaś wcale tego nie promowali. Z czasem, w ogólniaku, pomyślałem sobie, a może nawet rozmawiałem o tym z kolegami, że gdyby system szkolny był sprawniejszy, np. gdyby nauczyciele byli lepiej wykształceni, to wydobywaliby z uczniów więcej kreatywności.

WYCHOWANIE DO BIERNOŚCI

Znacznie później, pod koniec lat 70. XX w. już jako asystent w Zakładzie Filozofii UMK, słuchając wystąpienia znanego profesora pedagogiki Zbigniewa Kwiecińskiego, dowiedziałem się o koncepcji *ukrytego* programu szkolnego nauczania. Jest nim to wszystko, czego uczy już samo przebywanie w szkole, a nie tylko to, co przekazują nauczyciele.

Zdaniem niektórych badaczy ten ukryty program miał zawczasu wdrażać uczniów do posłuszeństwa wobec różnych instytucji społecznych, w których przyjdzie im później żyć. Nauczyciele mają mówić, uczniowie słuchać, wdrażając się do posłuszeństwa. To zadanie świetnie realizują zwłaszcza marne szkoły i ci nauczyciele, którzy oczekują od uczniów przede wszystkim zdyscyplinowanej bierności.

Ktoś pomyślałby, że koncepcja ukrytego programu powstała, by opisać stan rzeczy w szkolnictwie krajów komunistycznych. Nic podobnego. Powstała w odniesieniu do sytuacji w krajach demokratycznego Zachodu. Bowiem w społeczeństwach – nawet tych najbardziej demokratycznych – da się z grubszą wyłonić dwie warstwy ludzi: tych, którzy mówią i wydają polecenia, oraz tych, którzy słuchają, by je wykonać. A nieogłoszony w żadnych dokumentach program szkoły polegał na tym, by dzieci z warstw niższych przyzwyczajając do wykonywania ról społecznych wiążących się z wykonywaniem poleceń.

PRZEGIĘCIE W DRUGĄ STRONĘ

Od tamtego czasu społeczeństwa zachodnie bardzo się zmieniły. Demokratyzowanie niemal wszystkich sfer życia społecznego i obsesje poprawności politycznej przy okazji spowodowały przegięcie w drugą stronę. Najlepiej widać to w mediach społecznościowych.

Ale gdy wszyscy stają się – a przynajmniej czują się – kreatywni, gdy każdy może mieć coś do powiedzenia, wtedy... nikt nie słucha. Kreatywność zamienia

się w zgiełk, w kakofonię sygnałów. Ogromna swoboda ekspresji poglądów i zachowań nie przekłada się ani na dobrostan jednostek, ani zbiorowości. Przynosi za to więcej agresji, polaryzacji, nieporozumień i rozczarowań.

Przegięcie ze swobodą kreatywności stało się nawet niebezpieczne. Wielu uczniów w ogóle nie ma nawyku, a nawet umiejętności słuchania. O utracie autorytetu przez nauczycieli nie muszę wspominać, bo szeroko i od lat się o tym mówi. Chcę zwrócić uwagę na coś innego. Nadmiar kreatywności – zwłaszcza byle jakiej, co świetnie widać w sztuce współczesnej – przynosi chaos i zagubienie.

MIEDZY TRADYCJĄ A INNOWACJĄ

Świat społeczny, by był sensowny, musi równoważyć zmiany wypływające z ludzkiej kreatywności strefami ciągłości – np. trwałych instytucji. Gdy zaczyna brakować tych ostatnich, w świecie nieustannych innowacji w imię innowacji, stajemy się coraz bardziej zdezorientowani.

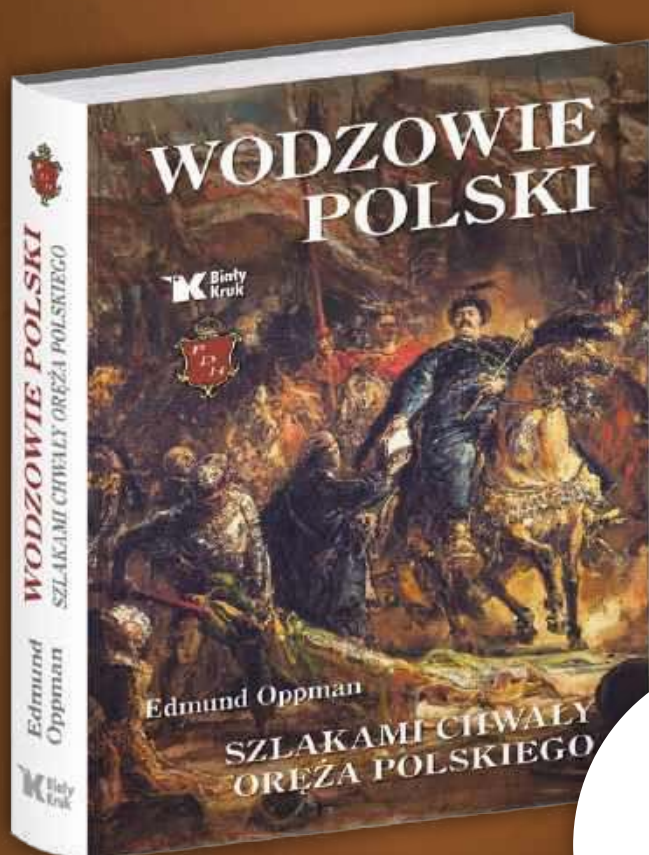
Co by to było, gdyby każdy z nas mógł zachowywać się tak niekonwencjonalnie, jak tylko pozwala jego własna kreatywność? Nie wiedzielibyśmy, czego można się spodziewać po ludziach, których napotkamy na ulicy, w pracy, w parku, na wczasach. Albo na drodze... Przecież przykład Kodeksu ruchu drogowego jest po to, byśmy w pewnych obszarach społecznego *współżycia* nie zachowywali się kreatywnie, lecz przewidywalnie.

Andrzej Zybertowicz

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW
WERSJI PAPIEROWEJ

SIECI

**w SIECI
HISTORII**



Edmund Oppman przedstawia historię Polski poprzez dokonania wielkich wodzów, bohaterów, patriotów.

Pasjonujące opowieści o wielkich Polakach splatają się z historiami orężnych zwycięstw Rzeczypospolitej i dniami chwały Ojczyzny.

PATRIOTYCZNY BESTSELLER | 360 STR. | TWARDA OPRAWA |
PIĘKNE ILUSTRACJE I MAPY

75
książek
w prezencie

Książkę „Wodzowie Polski. Szlakami chwały oręża polskiego” otrzymasz **GRATIS**,
zamawiając roczną prenumeratę pakietu:
tygodnik **SIECI** i magazyn **HISTORII** za **295 zł**.

Zamów już dziś na: www.sieciprawdy.pl/prenumerata

Przed zamówieniem prenumeraty upewnij się, że książka jest nadal dostępna:
prenumerata@fratria.pl | tel. 22 616 36 00 w godz. 9-16

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria Sp. z o.o.,
ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując pełne dane adresowe do wysyłki.



Fot. Shutterstock



ROK DO IGRZYSK! CZEKAMY NA OLIMPIJSKIE EMOCJE! #TEAMPOLSKA



Sponsor Strategiczny



Sponsor Generalny



Sponsor



Główny Partner Medyczny

